

Tytuł oryginału Stiiirt Fnday and Other Stor/esCopyright by Isaac Basheyis Singer"Ali Rights Reserved"Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo ATEXT, 1992

Wydanie pierwsze w języku polskim

Redakcja: Małgorzata Jaworska, Anna ZbierskaKorekta: Małgorzata JaworskaProjekt okładki: Tomasz BogusławskiKonsultacja problematyki judaistycznej: Michał Friedman

"s^

33zi^^

ISBN 83-85156-11-9

Wydawnictwo ATEXT, 80-557 Gdańsk, ul.

Załogowa 6,tel.

43-00-05, fax 43-10-53Skład: ATEXT, Maria ChojnickaDruk: ATEXT

Tajbele i jej demon

W Łaśniku, niedaleko Lublina,mieszkał pewien mężczyzna zeswążoną.

Nazywał się Chaim-Nusen, a ona Tajbele.

Nie mieli dzieci.

Nie,żeby małżeństwo było bezpłodne;.

Tajbele urodziła mężowi syna i dwie córki, ale cała trójka zmarła w dzieciństwie -  
jednodzieckona koklusz, drugie na szkarlatynę, a trzecie na dyfteryt.

Po tych przejściachłono Tajbele wyszło i nic nie pomagało: ani modlitwy, ani czary, ani zioła.

Smutek sprawił, że Chaim-Nusen odizolował się od świata.

Trzymał się z dala od żony, przestał jeść mięso i sypiać w domu, a nocował na ławce w domu  
modlitwy.

Tajbele była właścicielką sklepu tekstylnego, który odziedziczyła po swoich rodzicach.

Spędzała tam całe dni, z miarką w lewej ręce, nożycami w prawej, mając przed  
sobą Żydowski Modlitewnik dla Kobiet.

Chaim-Nusen, wysoki, szczupły, czarnooki mężczyzna ze spiczastą bródką, zawsze był ponury  
i mało mówny, nawet w najbardziej radosnych chwilach.

Tajbele była drobna blondynką o okrągłej twarzy.

Mimo, że spotkała ją kara od Wszechmogącego, uśmiech nadal przychodził jej z łatwością, a  
na jej policzkach pojawiały się pełne wdzięku dołeczki.

Nie miała już dla kogo gotować, ale codziennie rozpałała w piecu lub pod trójnogiem i  
przyrządzała dla siebie owsiankę albo jakąś zupę.

Wciąż też robiła na drutach - toparę pończoch, to kamizelkę, to znów wyszywała hafty na  
płótnie.

Nie leżało w jej naturze narzekać na los czy też pograżać się w smutku.

Pewnego dnia Chaim-Nusen włożył doworka swój szal modlitewny, filakterie, zmianę  
bielizny, bochenek chleba i opuścił dom.

Sąsiedzi pytali, dokąd się wybiera, a on odparł:

- Tam, gdzie mnie oczy poniosą.

Kiedy ludzie powiedzieli Tajbele, że mąż ją opuścił, było zbyt późno, aby go dogonić. Znajdował się już po drugiej stronie rzeki.

Ktoś się dowiedział, że wynajął furmankę, która miała go zawieźć do Lublina.

Tajbele wysłała za nim gońca, ale nikt już nie ujrzał ani jej męża, ani posłańca.

W wieku trzydziestu trzech lat Tajbele została porzucona przez męża.

Gdy minął okres poszukiwań, zdała sobie sprawę, że nie ma już nadziei.

Bóg odebrał jej i dzieci, i męża.

Niemogła ponownie wyjść za mąż.

Od tej pory musiała żyć samotnie.

Jedyną, co jej pozostało, to dom, sklep i dobytek.

Mieszkańcy miasteczka współczuli jej, ponieważ była to spokojna kobieta o dobrym sercu, uczciwa w interesach.

Wszyscy zadawali sobie pytanie: czym zasłużyła sobie na taki los?

Lecz niezbadane są wyroki Boga.

Tajbele przyjaźniła się z kilkoma mężatkami z miasteczka, które znały ją od dzieciństwa.

W ciągu dnia gospodynie zajęte są gotowaniem, ale wieczorami przyjaciółki Tajbele często wpadały do niej napogawędkę.

Latem przesiadywały na ławce przed domem, plotkując i opowiadając sobie przeróżne historie.

Pewnej bezksiężycowej letniej nocy, kiedy miasteczko pogrążone było w egipskich ciemnościach, Tajbele siedziała na ławce z przyjaciółkami i opowiadała im historię, którą przeczytała w książce kupionej od domokrajczy.

Była to opowieść o młodej Żydówce i demonie, który ją posiadł i żył z nią jak mąż z żoną.

Tajbele nie pominęła żadnego szczegółu tego opowiadania.

Kobiety usiadły bliżej siebie, wzięły się za ręce, splunęły, aby odegnać diabła, i zaśmiały się bojaźliwie.

Jedną z nich zapytała:

- Dlaczego nie przepędziła go za pomocą amuletu?

- Nie każdy demon boi się amuletów - odparła Tajbele.

- Dlaczego nie wybrała się do świętego rabina?

- Demon ostrzegł, że ja udusi, jeśli wyjawię tajemnicę.

- Biada mi, niech Bóg ma nas w swej opiece, aby nic takiego nam się nie przytrafiło!

- Wykrzyknęła jedna z kobiet.

- Aż się boję iść teraz do domu - powiedziała druga.

- Odprowadzę cię - obiecała jej trzecia kobieta.

Kiedy tak rozmawiały, nieopodal przechodził Elchonon, pomocnik nauczyciela, który marzył, że kiedyś zostanie weselnym wodzirejem.

Elchonon od pięciu lat był wdowcem i miał opinię dowcipnisa i figlarza, któremu brakuje piątej klepki.

Nie było słyhać jego kroków, ponieważ podeszwy miał tak zdarte, że chodził prawie boso.

Kiedy usłyszał Tajbele snującą swą opowieść, zatrzymał się, aby jej wysłuchać.

Panowała głęboka ciemność, a kobiety były tak pochłonięte dziwną historią, że go nie zauważyły.

Rozpustnik był z tego Elchonona, pełen przebiegłych i lubieżnych pomysłów.

Natychmiast uknuł podstępny plan.

Kiedy kobiety sobie poszły, Elchonon wkradł się na podwórko Tajbele.

Ukrył się zadrzewem i zaczął podglądać przez okno.

Gdy zobaczył, że Tajbele kładzie się do łóżka i gasi świecę, wśliznął się do jej domu.

Tajbele nie zaryglowała drzwi, bo w miasteczku nie było złodziei.  
W korytarzu zdjął swój połatany kaftan, tańs, spodnie nagi jak go Pan Bóg stworzył,  
podszedł na palcach do łóżka Tajbele.

Prawie zasypiała, gdy nagle ujrzała majaczącą w ciemności postać.

Ogarnęło ją takie przerażenie, że nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

- Kto tam?

- wyszeptała, cała drżąc.

Elchonon odparł tubalnym głosem:

- Nie krzycz, Tajbele.

Jeśli podniesiesz krzyk, zniszczę cię.

Ja jestem demon Hurmizah, władca ciemności, deszczu, gradu, piorunówi dzikich bestii.

To ja jestem złym duchem, który poślubił młodą kobietę i o którym opowiadałaś dziś wieczorem.

A ponieważ mówiłaś z takim przejęciem, usłyszałem twe słowa z otchłani i ogarnęłam nie żądza twojego ciała.

Nie próbujmi odmawiać, gdyż wszystkich, którzy sprzeciwiają się mojej woli, zaciągam aż za Góry Ciemności na Górę Sair, gdzie nie stanęła jeszcze stopa ludzka, gdzie nie

ośmielają się stąpać żadne zwierzę, gdzie ziemia jest z żelaza, a niebo z miedzi.

Rzucam ich w ciernie i w ogień, pomiędzy żmiję i skorpiony, nim każda kość ich ciała nie obróci się w prochy nie przypadną nawieki w otchłaniach piekieł.

Ale jeśli spełnisz me życzenie, włos ciz głowy nie spadnie i sprawię, że wszystkie twoje przedsięwzięcia będą wieńczone sukcesem.

Kiedy Tajbele usłyszała te słowa, zamarła w bezruchu, jakby omdlała.

Serce jej załomotało, a potem zdało się zatrzymać.

Pomyślała, że oto zbliża się jej koniec.

Po chwili odzyskała odwagę i wyszeptała:

- Czego ty ode mnie chcesz?

Jestem mężatką!

- Twój mąż nie żyje.

Sam szedłem w jego kondukcje pogrzebowym.

Głospomocnika nauczyciela zagrzmiął.

- To prawda, że nie mogę pójść do rabina i zaświadczyć o tym, abycię uwolnić z więzów małżeńskich.

Rabini nie wierzą przecież w istnienie takich demonów jak ja.

Ponadto nie ośmieliłbym się przekroczyć progu izby rabina- boję się Świętych Zwojów.

Ale ja nie kłamię.

Twój mąż zmarł wskutek epidemii, a robaki już dawnego gryzły mu nos.

A nawet gdyby żył, nikt nie mógłby ci zabronić przespać się ze mną, ponieważ zasady

Szulchan Aruch nie dotyczą takich jak ja.

Hurmizah, pomocnik nauczyciela, używał coraz to nowych argumentów, raz pełnych słodyczy, a raz przerażających.

Przywoływał imiona aniołów i diabłów, demonicznych bestii i wampirów.

Zaklinał się, że Asmodeusz, król demonów, był jego przyrodnim stryjem.

Powiedział, że Lilit, królowa złych duchów, tańczyła dla niego na jednej nodze i spełniała wszystkie jego zachcianki.

Szibta, diaboliczna, która wykradała kobietom niemowlęta łódeczek, wypiekała dla niego makowce w piekielnych piecach i nasączała je sadłem jaszczurek i czarnych psów.

Tak długo ją przekonywał, przytaczając całe mnóstwo sprytnych przypowieści i przysłów, że w końcu Tajbele nie mogła się uśmiechnąć.

Hurmizah zaklinał się, że kocha Tajbele od bardzo dawna.

Opisywał jej, jakie suknie i szale nosiła tego roku i rok wcześniej, opowiadał, jakie to sekretne myśli ją nawiedzały, kiedy zagniała ciasto, przygotowywała swój szabasowy posiłek, kąpała się w wannie, albo kiedy szła za potrzebą do wychodka.

Przypominał jej również, jak to pewnego ranka obudziła się z czarnoniebiskimi siniakami na piersi.

Sądziła, że był to ślad po ukąszeniu przez wampira.

W rzeczywistości jednak, przekonywał ją, był to ślad po pocałunku Hurmizaha.

Po pewnym czasie demon wszedł do łóżka Tajbele i posiadał ją.

Oświadczył również, że od tej pory będzie ją odwiedzał dwa razy w tygodniu, w środy i wieczory szabasowe, ponieważ wtedy własni diabelskie istoty błakają się po świecie.

Ostrzegł ją jednak, pod groźbą okrutnej kary, aby nie wyjawiała nikomu tego, co ją spotkało, ani nawet nie napomykała o tym.

W przeciwnym razie powyrzywa jej włosy z głowy, wykluje oczy i odgryzie pępek.

Porzuci ją na dzikim pustkowiu, gdzie łatwo jest chlebem, a krew wodą gdzie całe dni i noc słyszą jęki Calmaweta.

Kazał Tajbele przysiąc na kości jej matki, że zachowa tajemnicę aż do grobowej deski.

Tajbele zrozumiała, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Położyła rękę na jego udzie i złożyła przysięgę, oraz uczyniła wszystko, co potwór jej rozkazał.

Przed wyjściem Hurmizah złożył na jej ustach długie, pełen ząbków pocałunek, a ponieważ był demonem, a nie człowiekiem, Tajbele oddała mu jego pocałunki i zrosiła jego brodę łzami.

Mimo że był złym duchem, odniósł się do niej serdecznie.

Kiedy Hurmizah wyszedł, Tajbele szlochala w poduszkę aż do wschodu słońca.

Hurmizah przychodził w każdą środę i w każdą noc szabasową.

Tajbele obawiała się, że może zajść w ciążę i urodzić jakiegoś potwora z ogonem i rogami - diabełka albo kretyna.

Ale Hurmizah obiecał, że ochroni ją przed wstydem.

Tajbele spytała, czy musi zażywać kąpielirytualnej po swych nieczystych dniach, ale

Hurmizah powiedział, że prawnie dotyczące menstruacji nie obowiązują tych, którzy przestają zezłymi duchami.

Jak mówią przysłowia, niech Bóg chroni nas od wszystkiego, doczego możemy się przyzwyczaić.

I tak się stało z Tajbele.

Na początku obawiała się, że nocny gość może jej wyrządzić krzywdę, zrobić czyrak albo kołtuny we włosach, kazać szczekać jak pies albo pić mocz lub też okryć ją hańbą.

Lecz Hurmizah ani jej nie chłostał, ani nie szczypał, ani na nią nie pluł.

Wręcz przeciwnie, pieścił ją, szeptał czule słówka, układał dla niej kalambury i rymowane wierszyki.

Czasami płała takie figle i plótł tak wierutne bzdury, że śmiała się do rozpuku.

Pociągał ją delikatnie za ucho i tak namiętnie całował jej ramię, że rano znajdowała na skórze ślady jego miłosnych ukąszeń.

Przekonał ją, aby zapuściła włosy pod peruką i zaplatał jej warkocze.

Nauczył ją zakłęci czarów, opowiadał o swych nocnych braciach - demonach, z którymi latał ponad ruinami i polami muchomorów, ponad słonymi bagnami Sodomy i zamrzniętym pustkowiem Morza Lodowego.

Nie ukrywał, że ma inne żony, ale wszystkie one były diabolicami - Tajbele była jedyną ziemską żoną, jaką posiadał.

Kiedy Tajbele spytała go o imiona jego żon, wymienił je po kolei: Nama, Machlat, Affa, Chulda, Zlucha, Nafka i Cheima.

Razem siedem.

Powiedział jej, że Nama jest czarna jak smoła i kipi z wściekłości.

Kiedy się z nim kłóci, pluje jadem, a z jej nozdrzy buchają płomienie i dym.

Machlat ma twarz pijawki, a ci, których dotknęła swym jęzorem, na zawsze noszą jej piętno.

Affa uwielbia stroić się w srebro, szmaragdy i diamenty.

Ma warkocze ze szczyrego złota.

Na kostkach nosi dzwoneczki i bransolety.

Kiedy tańczy, pustynie rozbrzmiewają dźwiękiem jej błyskotek.

Chulda przypomina kota.

Zamiast mówić, miauczy.

Jej oczy są zielone jak agrest.

W trakcie stosunków zawsze żuje wątrobę niedźwiedzia.

Zlucha jest wrogiem pań młodych.

Odbiera potencję ich mężom.

Kiedy młoda mężatka wychodzi sama w nocy w czasie Siedmiu Błogosławieństw Weselnych, Zlucha dopada ją i wtedy panna młodatraci zdolność mowy albo dostaje ataku padaczki.

Nafka jest rozpustnicą i nieustannie zdradza z innymi demonami.

Wciąż żywi do niej uczucie, ponieważ raduje jego serce swym nikczemnym i bezczelnym sposobem mówienia.

Cheimapowinna być, stosownie do swego imienia, tak zwana, jak Nama subtelna; w rzeczywistości jest inaczej: Cheima jest diabolicą pozbawioną złości.

Wiecznie zajmuje się dobroczynnością, tucząc ciasto dla chorych gospodyń, to znów dostarczając chleba bogim domostwom.

W taki oto sposób Hurmizah opisał swe żony i opowiedział Tajbele, jak się z nimi zabawia, grając w berka na dachach i płatając przeróżne figle.

Zazwyczaj kobieta odczuwa zazdrość, kiedy jej mężczyzna zadaje się z innymi kobietami, ale czy istota ludzka może być zazdrosna o diabolicę?

Raczej odwrotnie.

Opowieści Hurmizaha bawiły Tajbele i bez przerwy zarzucała go pytaniami.

Niekiedy odkrywał przed nią tajemnice, których nie może znać żaden śmiertelnik - o Bogu, jego aniołach i serafinach, o jego niebiańskich pałacach i siedmiu niebach.

Opowiadał jej również, jak grzesznicy, mężczyźni i kobiety, poddawani są torturom w beczkach ze smołą i kotłach z rozpalonym węglem, na łożach nabijanych gwoździami i w wypełnionych śniegiem dołach.

Mówił też o tym, jak Czarne Anioły chłoczą ciała grzeszników ognistymi biczami.

Największą karą w piekle, jak twierdził Hurmizah, jest łaskotanie.

Był w piekle pewien diabełek o imieniu Lekisz.

Kiedy Lekisz łaskotał cudzołożnicę w stopy lub pod pachami, jej udręczony śmiech niósł się do wyspy Madagaskar.

Hurmizah zabawiał Tajbele w ten sposób przez całe noce i wkrótce okazało się, że zaczęła tęsknić za jego obecnością.

Letnie noce wydawały się zbyt krótkie, ponieważ Hurmizah odchodził zaraz po pierwszym pianiu koguta.

Nawet zimowe noce nie były dla niej wystarczająco długie.

Tak naprawdę zakochała się w Hurmizahu mimo iż wiedziała, że kobiecie niewolno pożądać demona, marzyła o nim dniami i nocami.

10

2

Chociaż Elchonon był wdowcem od wielu lat, swatki wciąż próbowały go poślubić.

Kandydatki na żonę pochodziły z ostatnich domów - były to albo wdowy, albo rozwódki, ponieważ pomocnik nauczyciela był raczej nędzną partią.

Ponadto miał on opinię niezaradnego i nieopinionego.

Elchonon odrzucał propozycje pod różnymi pretekstami:

albo kobieta była zbyt brzydka, albo miała niewyparzoną głowę, albo była flejtuchem.

Swatki zastanawiały się, jak pomocnik nauczyciela, zarabiający dziewięć groszy tygodniowo, może być aż tak wybredny i grymaśny?

I jak długo mężczyzna może żyć w samotności?

Alenikogo nie można siłą zaciągnąć pod ślubny baldachim.

Elchonon kręcił się po miasteczku - wysoki, szczupły obdartus z rozwidrzoną rudą brodą i w pogniecionej koszuli, z charakterystycznie podskakującym jabłkiem Adama.

Czekał na śmierć wodzireja reb Zekele, aby przejąć jego pracę.

Alereb Zekelemu wcale nie było spieszno do śmierci - wciąż ożywiał wesela niewyczerpanym zapasem dowcipów i wierszyków, jak za swych młodych lat.

Elchonon próbował usamodzielnic się jako nauczyciel dla początkujących, ale żaden gospodarz nie powierzyłby mu swego dziecka.

Rano i wieczorem odprowadzał chłopców do chederu i z powrotem.

W ciągu dnia przesiadywał na podwórzu nauczyciela, reb Iczele, leniwie strugając drewniane pałeczki albo wycinając z papieru dekoracje, których używano tylko raz do roku, w Zielone Świątki, albowiem lepiąc figurki z plasteliny.

Nie opodal sklepu Tajbele była studnia.

Elchonon chodził tam wiele razy w ciągu dnia po wiadro wody lub żeby się napić.

Kiedy pił, woda ściekała mu po rudej brodzie.

Za każdym razem rzucał szybkie spojrzenia na Tajbele.

Tajbele współczuła mu: dlaczego ten człowiek żyje tak samotnie?

A Elchonon mówił wtedy do siebie: "Oj, Tajbele, gdybyś ty знаła prawdę!

"

Elchonon wynajmował poddasze w domu starej wdowy, która była głucha i prawie niewidoma.

Starowinka często go karciała za to, że nie chodzi do synagogi, aby się modlić jak inni Żydzi.

Bo kiedy tylko Elchonon odprowadził dziecko do domu, zmawiał pośpiesznie modlitwę wieczorną i szedł spać.

Czasami staruszce zdawało się, że słyszy, jak pomocnik nauczyciela wstaje i wychodzi gdzieś w środku nocy.

Spytała go, gdzie się włóczy, ale Elchonon powiedział, że coś jej się przyśniło.

Kobiety, które siadywały wieczorami na ławkach, robiąc

skarpety na drutach i gawędząc, rozsiewały plotkę, że po północy Elchonon zamienia się w wilkołaka.

Niektóre twierdziły, że zadaje się sukubem.

W przeciwnym razie nieżyłby tyle lat bez żony.

Bogaci ludzienie powierzali mu już swoich dzieci.

Odprowadzał teraz jedynie dzieci ubogich, rzadko zdarzało mu się zjeść łyżkę gorącej stawy i musiał się zadowalać suchym chlebem.

Elchonon chudł coraz bardziej, ale jego stopy pozostały zwinne jak zawsze.

Kiedy kroczył po ulicy, jego kościste nogi wyglądały jak szczydła.

Musiał go dręczyć nieustanne pragnienie, gdyż bez przerwy chodził do studni.

Czasami nawet pomagał kupcom lub chłopom na pościeli.

Pewnego dnia, kiedy Tajbele zauważyła z daleka jego podarty i obszarpany kaftan, zawołała go do sklepu.

Spojrzał na nią przerażony i zbladł.

- Widzę, że masz podarty kaftan - powiedziała Tajbele.

- Jeśli chcesz, pożyczę ci kilka jardów materiału.

Możesz mi go spłacić później, pięć groszy tygodniowo.

- Nie.

- Dlaczego?

- spytała zdumiona Tajbele.

- Nie naskarzę na ciebie rabina, jeśli będziesz zalegał ze spłatą.

Zapłacisz, kiedy będziesz mógł.

- Nie.

Iszybko wyszedł ze sklepu, obawiając się, że mogłaby rozpoznać jego głos.

Latem łatwo było odwiedzać Tajbele w środku nocy.

Przekradał się bocznymi drózkami, opasując kaftanem swe nagie ciało.

Zimą bieranie i rozbieranie się w chłodnym korytarzu Tajbele stawało się coraz bardziej uciążliwe.

Ale najgorsze ze wszystkich były te noce, kiedy padał śnieg.

Elchonon bał się, że Tajbele lub ktoś z sąsiadów może trafić na jego ślad.

Przeziębiał się i bardzo kaszlał.

Pewnej nocy wszedł do łóżka Tajbele szcękając zębami i przedłuższy czas niemógł się rozgrzać.

Obawiając się, że jego oszustwo wyjdzie na jaw, wymyślał różne wyjaśnienia i wymówki.

Ale Tajbele ani niczego nie dociekała, ani nie miała takiego zamiaru.

Dawno już odkryła, że diabeł ma wszystkie zwyczajne słabości człowieka.

Hurmizah pocił się, kichał, miał czkawkę, ziewał.

Czasami jego oddech pachniał cebulą, czasem czosnkiem.

Jego ciało przypominało ciało jej męża, też było kościste i owłosione.

Czuła jego jabłko Adama i pępek.

Niekiedy Hurmizah był w radosnym nastroju, a niekiedy ciężko wzdychał.

Miał

12

stopy człowieka, a nie gęsi, z paznokciami i odciskami.

Pewnej nocy Tajbele spytała go, dlaczego tak jest, a Hurmizah wytłumaczył jej:

- Kiedy któryś z nas przestaje z ziemską kobietą, przybiera kształt człowieka.

W przeciwnym razie ona umarłaby z przerażenia.

Tak, Tajbele przyzwyczaiła się do niego i pokochała go.

Już nie czuł przed nim strachu i nie bał się jego diabelskich błazeństw.



Sypał opowiastkami jak z rękawa, lecz Tajbele często dostrzegała w nich sprzeczności.  
Jak każdy kłamca, Hurmizah miał krótką pamięć.  
Najpierw powiedział jej, że diabły są nieśmiertelne.

Ale pewnej nocy zapytał ją:

- Co zrobisz, kiedy umrę?
- Ależ diabły nie umierają!
- Kończą w najgłębszych czeluściach.

Tamtej zimy w miasteczku wybuchła epidemia.

Złowieszcze wiatry wiały znad rzeki, od strony lasów i bagien.

Malaria zwaliła z nóg ietylko dzieci, ale również dorosłych.

Padł deszcz i grad.

Powódź zerwała tamę na rzece.

Burze oberwały skrzydło wiatraka.

Pewnej środowej nocy, kiedy Hurmizah leżał w łóżku, Tajbele zauważyła, że jego ciało płonie gorączką, a stopy są lodowate.

Miał dreszcze i jęczał.

Próbował zabawić ją opowiadaniem o diabolicach, o tym jak zwabiają młodych mężczyzn, brykają z innymi diabłami, chlupią się w kąpielirytualnej, kołtunią brody starców.  
Był jednak za słaby, niezdolny nawet do tego, by się z nią kochać.

Nigdy nie widziała go w tak nędznym stanie.

Serce jej przeczuwało nieszczęście.

Zapytał go:

- Przynieść ci trochę malin z mlekiem?

Hurmizah odparł:

- Takie środki na nas nie działają.
- To co robicie, kiedy jesteście chorzy?
- Swędzi nas i się drapiemy.

Niewiele się odzywał po tej rozmowie.

Kiedy całował Tajbele, miał kwaśny oddech.

Zawsze pozostawał z nią aż do pierwszego piana i kogoś, ale tym razem wyszedł wcześniej.

Tajbele leżała nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy jego ruchów w korytarzu.

Przysięgał jej, że wylatuje przez okno, nawet kiedy jest zamknięta i uszczelniona, jednak usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi.

Tajbele wiedziała, że to grzech modlić się z diabły, że trzeba je przekląć i wymazać z pamięci.

Mimo to modliła się do Boga za Hurmizaha.

Wykrzyknęła pełna niepokoju:

- Tyle jest diabłów, jeden więcej nikomu nie zawadzi.

13.

W następny szabas Tajbele na próżno oczekiwała Hurmizaha aż do świtu - nie pojawił się. Wzywała go w duchu i szeptała zaklęcia, jakich ją nauczył, ale w korytarzu panował cisza. Tajbele była jak odrętwiała.

Kiedyś Hurmizah chwalił się, że tańczył dla Tubal-cainai Enocha, że siedział na dachu Arki Noego, zlizywał sól z nosa żony Lota i ciągnął Ahaswerusa za brodę.

Przepowiedział jej, że zmartwychwstanie sto lat po śmierci jako księżniczka i że on, Hurmizah, porwie ją przy pomocy niewolników Chittimai Tachtima i zaprowadzi ją do pałacu Baszemy, żony Esego.

Ale teraz prawdopodobnie leżał gdzieś chory, bezradny demon, samotny sierota - bez ojca i matki, bez wiernej żony, która by się nim zaopiekowała.

Tajbele wspomniała na nowo jego wiszący oddech przy ostatnim spotkaniu.

Kiedy wydychał powietrze nosem, świstałomu w uszach.

Od niedzieli do środy Tajbele poruszała się jak we śnie.

W środę ledwo mogła się doczekać uderzenia zegara opółnocy, alenoc minęła i Hurmizah się nie pojawił.

Tajbele odwróciła twarz do ściany.

Nastał dzień, równie ciemny jak wieczór.

Śnieżny pył opadał z mrocznego nieba.

Dym nie był w stanie unieść się ponad kominy;

rozciągał się wokół nich jak rozdarte prześcieradło.

Gawrony chrapliwie krakały.

Szczekały psy.

Po tak zmarnowanej nocy Tajbele nie miała siły pójść do swego sklepu.

Ubrała się jednak i wyszła na dwór.

Ujrzała czterech tragarzy z noszami.

Spod pokrytego śniegiem całunu wystawała niebieskosiną stopa trupa.

Członek bractwa pogrzebowego był jedyną osobą podążającą za zmarłym.

Tajbele spytała, kto to jest, na co człowiek ów odparł:

- Elchonon, pomocnik nauczyciela.

Dziwna myśl przyszła Tajbele do głowy - zapragnęła towarzyszyć Elchononowi w jego ostatniej podróży - temu nieudolnemu Elchononowi, który żył w samotności i zmarł w samotności.

I tak nikt by nie przyszedł dziś do sklepu.

I cóż ją obchodził interes?

Tajbele straciła wszystko.

Przynajmniej spełni dobry uczynek.

Szła za zmarłym długą drogą na cmentarz.

Tam odczekała chwilę, aż grabarz odrzucił śnieg i wykopał grób w zamrożonej ziemi.

Owinęli Elchonona, pomocnika nauczyciela, w szal modlitewny, założyli mu kaptur, zakryli oczy i wetknęli między palce gałązkę mirtu, która miała mu ułatwić drogę do Ziemi Świętej po nadejściu Mesjasza.

Potem zasypano gróbi grabarz powiedział kadysz.

Tajbele zaczęła płakać.

Biedny Elchonon wiódł samotne życie, zupełnie jak ona.

Również nie pozostawił żadnego dziedzica.

Tak, Elchonon, pomocnik nauczyciela, odtańczył swój

14

W

ostatni taniec.

Z opowieści Hurmizaha Tajbele wiedziała, że zmarli nie idą prosto do nieba.  
Każdy grzech daje początek diabłu i te diabły są dziećmi człowieka po jego śmierci.  
Przychodzą, aby otrzymać to, co im się należy.  
Nazywają zmarłego człowieka ojcem i tarzają go polasami dzikich pustkowiach, dopóki nie wypełni się czas jego kary i będzie gotów do oczyszczenia w piekle.  
Od tamtej pory Tajbele żyła sama, dwukrotnie opuszczona - przez ascetę i przez diabła.  
Szybko się starzała.  
Nic jej nie pozostało z przeszłości poza tajemnicą, której nie mogła wyjawić i w którą nikt by nie uwierzył.  
Istnieją tajemnice, których serce nie może zdradzić.  
Zabiera się je do grobu.  
Szepczą o nich wierzby, kraczą o nich gawrony, nagrobki rozmawiają o nich bezgłośnie, w języku kamienia.  
Umarli przebudzą się pewnego dnia, ale ich tajemnice będą czekać na Wszechmogącego i Jego Sąd do końca wszystkich pokoleń.

Duży i mały

Mówimy- duży, mały, a cóż to za różnica?

Człowieka nie mierzysz centymetrem.

Najważniejsza jest głowa, nie nogi.

Choć kiedyś człowiek wbija sobie coś do głowy, nigdy nie wiadomo, czym to się może skończyć.

Pozwólcie, że opowiem wam pewną historię.

W naszym mieście żyło sobie małżeństwo.

Jego nazywano Małym Motie, a ją - Motieche.

Nikt nie używał jej prawdziwego imienia.

On był niewiele większy od Karła.

Zuchwali dowcipnicy - a takich nigdy nie brakuje - zabawiali się kosztem biedaczyska.

Pomocnik nauczyciela, mówili, brał go za rękę i odprowadzał do Reb Berysza, który uczył najmłodszych dzieci w chederze.

W Simchat Tora mężczyźni upijali się i zaganiali go wraz z małymi chłopcami do czytania Tory.

Ktoś podarował mu świąteczną chorągiewkę - z jabłkami świecą na drzewcu.

Kiedy jakaś kobieta wydawała dziecko na świat, żartownicy przychodzili do niego, mówiąc, że potrzebny jest chłopczyk do zmówienia modlitwy przyłożeczku niemowlęcia, aby odegnać złe duchy.

Gdyby miał przynajmniej porządną brodę!

Ale nie, gdzieś kiedyś tylko sterczało mu parę włosków.

Niemiał dzieci i, tak naprawdę, sam wyglądał jak uczeń.

Jego żona, Motieche, też nie była piękną, ale za to miała mnóstwo ciętych włosów.

Tak czy inaczej, żyli sobie oboje, a Motie stał się całkiem zamożny.

Był kupcem zbożowym i posiadał magazyn.

Nasz miejscowy właściciel ziemski polubił go, mimo że czasami też się naśmiewał z wzrostu Motiego.

Był to jednak jakieś życie.

Po co być dużym, jeśli dziura w kieszeni może być jeszcze większa?

Ale najgorsze było to, że Motieche (niech Bóg jej wybaczy) bez przerwy mukoczuła.

Małeńki zrób to, Małeńki zrób tamto.

Zawsze wynałazła mu jakąś robotę w miejscach, których nie mógł osiągnąć.

16

"Wbij gwóźdź w ścianę, o tu, u góry!

" "Ściągnij miedziany rondel z półki!

"Ośmieszala go również wobec obcych ludzi, którzy potem roznosili o nim plotki po całym mieście.

Pewnego dnia powiedziała nawet (wyobraźcie sobie coś podobnego w ustach porządnej żydowskiej żony?

), że potrzebował stołka, aby wdrapać się do łóżka.

Nietrudno zgadnąć, co głosiły plotki na ten temat!

Kiedy ktoś przychodził pod jego nieobecność i pytał oniego, zwykła mówić:

- Zajrzyj pod stół, może tam go znajdziesz.

Był w naszym mieście bardzo złośliwy nauczyciel.

Opowiadał, jakto kiedyś zapodział wskaźnik.

Rozglądał się wszędzie i nagle zobaczył, że Motie używa go jako laski.

W tamtych czasach ludzie mieli dużo wolnego czasu, a ich ulubionym zajęciem było obracanie językiem.

Motie przyjmował te dowcipy, jak to się mówi, z uśmiechem, jednak sprawiały mu one przykrość.

W końcu cóż w tym śmiesznego, że ktoś jest mały?

Co z tego, że ktoś ma dłuższe nogi, czy jest on bardziej wartościowy w obliczu Boga?

Nie zapominajcie, że wszystkie te kpiny krążyły wśród motłochu.

Pobożni ludzie stronią od złośliwych plotek.

Motie nie był uczonym, tylko po prostu zwyczajnym człowiekiem.

Lubił słuchać przypowieści kaznodziejów odwiedzających synagogę.

Każdego sobotniego ranka śpiewał wraz z innymi psalmy.

Przypewnych okazjach nie odmawiał również szklaneczki whisky.

Czasami odwiedzał nasz dom.

Mój ojciec (świeć Panie nad jego duszą) kupował dla niego owies.

Motie drapał w skobel jak kot, który prosi, aby go puścić.

My, dziewczęta, byłyśmy wtedy małe i witałyśmy go wybuchami śmiechu.

Ojciec podsuwał mu krzesło i zwracał się do niego per reb Motie, ale nasze krzesła były zbyt wysokie i ledwo mógł się na nie wdrapać.

Kiedy podawano herbatę, kręcił się nerwowo, gdyż nie był w stanie dosięgnąć ustami brzegu szklanki.

Złośliwi plotkarze twierdzili, że używał wkładek do podwyższania obcasów i że kiedyś wpadł do drewnianego wiadra, służącego do polewania się wodą w łaźni. Ale poza tym, był on dobrym kupcem.

Motie chezaś wiodła przynim łatwe i wygodne życie.

Miał bardzo ładny dom, a półki w jego spiżarni zawsze były pełne rzeczy najlepszego gatunku.

A teraz posłuchajcie, co się zdarzyło.

Pewnego dnia mąż i żona pokłócili się.

Od słowa do słowa wybuchła prawdziwa awantura.

Takie rzeczy zdarzają się w rodzinie.

Ale, na nieszczęście, świadkiem tego byłeś ty, sąsiad.

Motieche (oby nie miała mi tego za złe) buzia się nie zamykała,

17.

a kiedy wpadała w szal, zapominała nawet o Bogu.

Wrzeszczała nameża:

- Ty karle!

Ty mały śmierdzielu!

Coz ciebie za mężczyzna!

Niewiekszy od muchy.

Wstyd mi przed ludźmi, kiedy idę do synagogiz takim niewyrośniętym kurduplem!

I tak dalej, i tak dalej, dolewając oliwy do ognia, aż stał się biały  
jak ściana.

Nie powiedział ani słowa, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.

Wrzasnęła:

- Po co mi taki karzeł za męża?

Kupię ci podnózek i wsadzę do

kołyski.

Gdyby moja matka mnie kochała, znalazłaby mi mężczyznę, a nie noworodka!

Dostała takiej furii, że już nie wiedziała, co mówi.

On miał rude

włosy i rumianą twarz, ale po tym wszystkim stał się biały jak kreda i powiedział jej:

- Twój drugi mąż będzie natyle duży, że wynagrodzi ci moje braki.

Po tych słowach załamała się i zaczął płakać rzęsiście miłzami, jak małe dziecko.

Nikt przedtem nie widział płaczącego Motie, nawet w święto Jom Kippur.

Jego żona natychmiast zaniemówiła.

Nie wiem, co się stało później, gdyż mnie tam nie było.

Pewnie się pogodzili.

Ale, jak mówi przysłowie, rana się goi, a blizna pozostaje.

Nie minął miesiąc i ludzie mieli nowy temat do plotek.

Motie sprowadził do domu pomocnika z Lublina.

Po co mu był pomocnik?

Przez te wszystkie lata dawał sobie świetnie radę w interesach.

Nowo przybyły spacerował po ulicach i wszyscy się za nim oglądali: był to

kawał chłopca, o śniadej cerze, czarnych oczach i czarnej brodzie.

Innikupcy pytali Motiego:

- Po co ci pomocnik?

A on odpowiadał:

- Dzięki Bogu, interes idzie coraz lepiej.

Sam już nie podołam.

No tak, myśleli, pewnie wie, co robi.

Ale w małym mieście wszyscy zaglądają sobie do garnka.

Człowiek z Lublina - miał na imię Mendel - niewyglądał na kupca.

Szwendał się po podwórzu, przewracając swym czarnymi oczyma i gapiąc się, gdzie popadło.

W dniach targowych sterczał jak słup pomiędzy wozami, górując ponad chłopami i  
przeżuwając słomkę.

Kiedy pojawił się w domu modlitwy, ludzie zadali mu pytanie:

- Czym się zajmowałeś w Lublinie?

Odpowiedział:

18

- Jestem drwalem.

- Czy masz żonę?

- Nie - odparł.

Był wdowcem.  
Próżniacy z ulicy Ceglanej mieli czym rozpowiadać i plotkować.  
Było w tym coś dziwnego.  
Ten człowiek był takogromny, jak Motiebył maleńki.  
Kiedy z sobą rozmawiali, pomocnik musiał się schylać do pasa, a Motie stawał na czubkach palców.  
Kiedyszli razem ulicą, wszyscy biegli do okien, aby na nich popatrzeć.  
Wielki mężczyzna kroczył przodu, a Motie musiał za nim biec truchcikiem.  
Kiedy pomocnik uniósł ramiona w górę, mógł dotknąć palcami krawędzi dachów.  
Tak jak w tej przypowieści biblijnej, kiedy to szpiedził Izraelitów wyglądali jak koniki polne, a ich przeciwnicy byli niczym giganci.  
Pomocnik mieszkał w domu Motiego i Motieche podawała mu posiłki.  
Kobiety pytały ją:  
- Po co Motie sprowadził do domu takiego Goliata?  
Na to ona odpowiadała:  
- Nie mam najmniejszego pojęcia.  
Żeby chociaż miał jakieś pojęcie o interesach.  
Ale nie potrafi odróżnić pszenicy od żyta.  
Żre jak koń i chrapie jak wół.  
Mało tego, jest głupkiem i na dodatek tak mało mównym, jakby każde jego słowo było warte majątek.  
Motieche miała siostrę, której się zwierzała ze swych problemów.  
Motie potrzebuje pomocnika, powiedziała, jak dziury w głowie.  
Robito wszystko na złość.  
Ten człowiek nie wykonuje żadnej pracy.  
Przeje nie tylko ich dom, ale i cały majątek.  
Takie były jej słowa.  
W naszym mieście nie było żadnych tajemnic.  
Sąsiedzi podsłuchiwali pod oknami i podglądali przez dziurkę od klucza.  
- Dlaczego na złość?  
- spytała siostra, na co Motieche odparła szlochając:  
- Bo nazwałam go wcześniakiem.  
Historia ta obiegła natychmiast całe miasto, ale ludzie nie mogli w to uwierzyć.  
Cóż to była za zemsta?  
Kogo Motie chciał ukarać taką chińską sztuczką?  
Przecież to on miał pieniądze, nie ona.  
Ale kiedy człowiek wbije sobie coś do głowy, niech Bóg ma go w swej opiece!  
Toprawda, gdzieś to zostało napisane, tylko nie pamiętam gdzie.  
Minęły niespełna dwa tygodnie, kiedy Motieche przyszła z płaczem do rabina.  
- Rebe- powiedziała - mój mąż postradał zmysły.  
Sprowadził do domu próżniaka i darmożjadę.  
I jakby tego było mało, powierzył mu wszystkie pieniądze.

Ten obcy człowiek, mówiła dalej, trzyma kasę i kiedy ona, Motieche, potrzebuje czegoś, musi zwracać się z prośbą do niego.

On jest kasjerem.

- Święty rebe - płakała - Motie doprowadził do tego wszystkiego tylko po to, żeby mi zrobić na złość, ponieważ nazwałam go kukiełką.

Rabin nie mógł się domyślić, czego od niego chciała.

Był to święty człowiek, ale bezradny wobec problemów życia doczesnego.

- Nie mogę się wtrącać w interesy twojego męża.

- Ależ rebe - wykrzyknęła - to nas doprowadzi do ruiny!

Rabin posłał po Motiego, a ten się upierał przy swoim:

- Dość już się nadzwigałem worków z ziarnem.

Mogę sobie pozwolić na zatrudnienie pomocnika.

W końcu rabin odesłał oboje z błogosławieństwem pokoju.

Cóż innego mógł im powiedzieć?

Niedługo potem Mały Motie rozchorował się.

Nikt nie wiedział, co mu dolegało, ale stał się biały jak kreda.

I chociaż był taki mały, skurczył się jeszcze bardziej.

Przychodził do synagogi, aby się pomodlić, i chwiały się w kącie jak cień.

Przestał nawet chodzić na targ.

Jego żona spytała go:

- Co się z tobą dzieje, mój mężu?

Ale on odparł:

- Nic, absolutnie nic.

Posłała po znachora, ale cóż on może wiedzieć?

Przepisała jakieś zioła, ale nic nie pomogły.

W środku dnia Motie kładł się do łóżka i leżał tak bez ruchu.

Motieche pytała:

- Co cię boli?

A on odpowiadał:

- Nic mnie nie boli.

- To dlaczego leżysz w łóżku, jakbyś był chory?

A on mówił:

- Nie mam siły.

Ona na to:

- Jak możesz mieć siłę, skoro jesz jak ptaszek?

Ale on powtarzał tylko:

- Nie mam apetytu.

Cóż wam mogę powiedzieć?

Wszyscy zauważyli, że z Motie dzieje się coś złego.

Gasł w oczach jak płomyk.

Motieche chciała zabrać go do Lublina, aby zbadali go lekarze, ale nie zgodził się.

Zaczęła jęczeć i lamentować:

20

- Co będzie zemną?

Z kim mnie zostawiasz?

A on na to:

- Wyjdiesz za mąż za tego dużego chłopca.

- Podlec!

Morderca!



- wykrzyknęła.

-Jesteś mi droższy odwszystkicholbrzymów.

Dlaczego mnie dręczysz?

I co z tego, że powiedziałam ci parę słów?

To było tylko wuniesieniu.

Jesteś moimmężem, moim dzieckiem, wszystkim, co posiadam na tym świecie.

Bez ciebie moje życie nie jest warte funta kłaków.

Aleon tylko odparł:

- Jestem jak uschnięte drzewo.

Z nim będziesz miała dzieci.

Gdybymchciała wam opowiedzieć o wszystkim,co miało miejsce,musiałabym spędzić tu cały dzień i całą noc.

Najbardziej szacowniobywatele miasteczka odwiedzali go i rozmawiali z nim.

Nawet rabinzłożył mu wizytę.

- Cóż to za szaleństwo opętało twoje myśli?

Bóg jest panem świata,a nie człowiek.

Ale Motieudawał, że nic do niego nie dociera.

Kiedy jego żonazauważała, że sprawy toczą się coraz gorzej, podniosła raban ikazałaobcemu opuścić dom.

Ale Motie rzekł:

- Nie, on zostaje.

Dopóki oddycham, ja tu rządę.

Mimo to męczyzna poszedł spać do zajazdu.

Alewrócił następnego ranka izajął się interesami.

Sprawowałteraz kontrolę nad wszystkim- pieniędzmi,kluczami, każdym drobiazgiem.

Motie nigdy niczego niezapisywał, ale jego pomocnik notowałwszystko w grubejksiędze.

Był równieżskąpy.

Motieche upominała się o pieniądze naprowadzenie domu, a on kazał jejsię rozliczać co dokopiejki.

Ważyli odmierzał każdyokruszek i każdą odrobinę.

Ona wrzeszczała:

- Jesteś obcy, wara ci od naszychspraw!

Idź do diabła, ty złodzieju, ty morderco, ty leśny rozbójniku!

Odpowiadał jej:

- Odejdę, jeśli twój mąż mniezwolni.

Ale prawie całyczas nie mówił nic, z rzadka tylko wydając z siebieniędźwiedzie pomruki.

Ponieważ lato tego rokubyło ciepłe, Motie dość często wstawał łóżka.

Nawet pościłw święto Jom Kippur.

Lecz wkrótce po święcieSukkot stanjego zdrowia zaczął się szybko pogarszać.

Położył się dołożka i już niewstawał.

Jego żona sprowadziładoktora z Zamościa,ale doktor nie mógł mu już pomóc.

Zasięgałarad u znachorów, mierzyła długość nagrobków knotem, robiła świece naofiarę dla synagogi,

wysyłała posłańców do świętych rabinów, ale Motie z dnia na dzień był coraz słabszy. Leżał na plecach i wpatrywał się w sufit.

Już nie był w stanie nałożyć rano szala modlitewnego i filakterii bez pomocy.

Brakowało mu siły.

Jedyną jego strawą była łyżka lub dwie owsianki.

Nawet już nie odprawiał błogosławieństw nad winem podczas wieczery szabasowej.

Teraz ten duży przychodził z synagogi, błogosławił anioly i odmawiał błogosławieństwa.

Kiedy Motieche zobaczyła, do czego to wszystko prowadzi, zawołała do domu trzech Żydów i przyniosła Biblię.

Umyła ręce, wzięła do rąk Świętą Księgę i wykrzyknęła:

- W obecności świadków przysięgam na Świętą Biblię i na Boga Wszchemogącego, że nie poślubię tego człowieka, choćbym miała zostać wdową do dziewięćdziesiątego roku życia!

Po tych słowach splunęła na wielgusa - prosto w oko.

Na to Motie powiedział:

- To nie ma znaczenia.

Zostaniesz zwolniona z przysięgi.

W tydzień później Motie był umierający.

Wkrótce odszedł nazawsze.

Ułożono go na ziemi, ze świecami u wezłowi i stopami skierowanymi ku drzwiom.

Motieche szczypała się w policzki i krzyczała:

- Morderca!

Sam odebrałeś sobie życie!

Niemasz prawdo porządnego żydowskiego pogrzebu!

Powinność cię zakopać pod cmentarnym płotem!

Postradała zmysły.

Duży mężczyzna gdzie wyjechał i nie pokazywał się nikomu naoczy.

Towarzystwo pogrzebowe domagało się pieniędzy za pochówek, ale Motieche nie miała ani kopiejki.

Musiała zastawić swoją biżuterię.

Ludzie, którzy przygotowali zwłoki Motiego do pogrzebu, powiedzieli potem, że był lekki jak piórko.

Widziałam, jak wynosili ciało.

Wyglądał jak małe dziecko przykryte prześcieradłem.

Na całunie leżał czerpak, którym nabierał ziarno z worków.

Zażyczył sobie, aby gotam położono dla upamiętnienia jego uczciwości.

Wykopalimu gróbi pochowali.

Nagle jak spod ziemi pojawił się wielkolud.

Zaczął odmawiać kadysz, ale wdowa krzyknęła:

- Ty Aniele Śmierci, to ty go zabrałeś z tego świata!

Irzuciła się na niego z pięściami.

Ludzie ledwo ją powstrzymali.

Był to krótki dzień.

Nadszedł wieczór i Motieche usiadła na niskim stołku, aby rozpocząć siedmiodniową żałobę.

A przez ten czas duży wchodził na podwórko, to znów z niego wychodził, prznosił coś

22

i robił przeróżne rzeczy.

Posłał do wdowy chłopaka z pieniędzmi na jej potrzeby.

I tak mijał dzień za dniem.

Wkońcu członkowiegminywzięli sprawę w swoje ręce i wezwali mężczyznęprzed oblicze rabina.

- O co tu chodzi?

- pytali.

-Dlaczego przyczepiłeś się do tego domu?

Na początku milczał, jakby uważał, że te pytania nie są adresowane do niego.

Potem wyciągnął dokument z kieszonki i pokazał go wszystkim: Motie uczynił go strażnikiem wszystkichwchodzących dóbr.

Żoniezostawiłjedynie przedmioty znajdujące się w domu.

Mieszkańcy miasteczka przeczytali testament i osłupieli ze zdumienia.

- Co go skłoniło do podjęcia takiej decyzji?

- spytał rabin.

Nocóż, to proste: Motie udał się do Lublina, wyszukał największego mężczyznę w mieście i uczynił go swym spadkobiercą i wykonawcą testamentu.

Przedtem człowiek ten był majstrem drwali.

Rabin udzielił mu napomnienia:

- Kobieta złożyła przysięgę, więc nie wolno ci przekroczyć prog tego domu.

Zwróć jej to, co do niej należy, bo cała ta sprawa jest nieprzyzwoita.

Ale wielki lud odparł:

- Nie można zwrócić tego, co zakopane w grobie.

Takie były jego słowa.

Starsi gminy wymyślali mu, grozili klątwą i chłostą.

Ale niełatwo było go zastraszyć.

Był rośnięty jak dąb, a kiedy mówił, jego głos grzmiał, jakby się wydobywał ze studni.

Tymczasem Motie chętnie dotrzymywała swego przyrzeczenia.

Za każdym razem kiedy ktoś przychodził złożyć jej kondolencje, wznawiała swą przysięgę - ślubując jej treść nad świecami, modlitewnikami i czymkolwiek, co jej wpadło w ręce.

W szabas zebrano się w jej domu quorum, aby się pomodlić.

Szybko chwyciła za Święte Zwoje i złożyła nanie przysięgę.

Krzyczała, że nie spełni woli Motiego, że nie damu satysfakcji.

-I tak gorzko płakała, że wszyscy szlochali wraz z nią.

Ale niestety, moi drodzy, poślubił go.

Nie pamiętam, jak długo stawiała opór - sześć miesięcy, a może dziewięć.

Krócej niż rok.

Wielki smiał wszystko, a ona nic.

Zapomniała o dumie i udała się do rabina.

^ ..^.

ti^,

- Święty rebe, co mam zrobić?

Motie tego chciał.

Nawożę mnie w snach.

Szczypie mnie.

Krzyczy mi do ucha, że mnie ud^".

Podwinęła rękaw, na samym środku izby rabina, i pokazała muswoje ramię pełne czarnych i fioletowych siniaków.

Rabin nie chciałam ponosić odpowiedzialności za decyzję i napisał do Lublina.

Przybyło trzech rabinów, trzy dni rozmyślali nad Talmudem w końcu - jak to się mówi?

- zwolnili ją z przysięgi.

Był to cichy ślub, ale tłum narobił wystarczająco dużo hałasu.

Możecie sobie wyobrazić wszystkie te szyderstwa igwizdy!

Przedślubem Motieche była chuda jak patyk i miała żółtozieloną cerę.

Ale zaraz po ślubie zaczęła kwitnąć jak róża.

Nie była już młoda, ale zaszła w ciążę.

Całe miasteczko oczekiwało w podnieceniu.

Tak jak nazywała swego pierwszego męża "Mały", tak do drugiego zwracałam się "Duży".

Teraz było Duży to, Duży tamto.

Łowiła każde jego spojrzenie i wkrótce zakochała się w nim do szaleństwa.

Po dziewięć miesięcy urodziła syna.

Dziecko było tak duże, że męczyła się trzydni przy porodzie.

Ludzie myśleli już, że umrze, ale dałam sobie radę.

Pół miasteczka zeszło się na ceremonię obrzezania.

Niektórzy przyszli, aby się radować, inni - aby się pośmiać.

Była to nie lada okazja.

Na początku wszystko układało się świetnie.

W końcu to niebyle co - mieć syna w tym wieku!

Ale tak jak Motiecha miał szczęście w każdym przedsięwzięciu, tak Mendel miał pecha.

Właściciel ziemski nie przepadał za nim.

Inni kupcy unikali go.

W magazynie załęgły się myszy wielkie jak koty i wyżarły całe ziarno.

Wszyscy twierdzili, że była to kara niebios i w krótkim czasie Mendel był skończony jak okupiec.

Wrócił do dawnego zajęcia i znów został majstrem drwali.

A teraz posłuchajcie.

Podchodzi do drzewa i opukuje korę młotkiem, a drzewo przewraca się wprost na niego.

Nie było żadnego wiatru.

Świeciło słońce.

Nawet nie miał czasu krzyknąć.

Motieche przeżyła go o kilka lat, ale wydawało się, że postradała zmysły.

Bez przerwy mamrotała - mały, duży, duży, mały.

Codziennie biegała na cmentarz i lamentowała nad ich grobami, biegając jak opętana od jednej mogiły do drugiej.

Wyjechałam z miasteczka, zanim umarła.

Wyprowadziłam się do rodziców mojego męża.

Jak już mówiłam - złość.

Nie należy dokuczać innym.

Mały jest mały, a duży jest duży.

To nie jest nasz świat.

My go nie stworzyliśmy.

Ale żeby człowiek zrobił coś tak przedziwnego!

Czy kiedykolwiek słyszeliście o czymś takim?

Na pewno zawładnął nim zły duch.

Nasamą myśl o tym wstrząsają mną dreszcze.

Kabaliści wiedzą, że żądza krwi i żądza ciała mają jedno źródło, dlatego też zaraz za przykazaniem "Nie zabijaj" następuje "Nie cudzołóż".

Reb Palik Ehrlichman był właścicielem dużego majątku ziemskiego niedaleko miasteczka Łaskaczew.

Tak naprawdę nazywał się Palik, ale za to, że był uczciwy w interesach, sąsiedzi już dawno daliśmy przydomek "Ehrlichman", który stał się częścią jego nazwiska.

Z pierwszą żoną miał dwoje dzieci, syna i córkę, którzy zmarli bezpotomnie w młodym wieku. Jego żona również zmarła.

Kilka lat później ożenił się ponownie, gdyż zgodnie z tym, co jest napisane w Księdze Koheleta, "rano siej swoje ziarno i do wieczora nie pozwól spocząć swej ręce".

Druga żona reb Palika była trzydzieści lat młodszą od niego i przyjaciele próbowali go odziamiaru poślubienia jej.

Po pierwsze, Risa była już dwukrotnie wdową i uważano, że się ciąga śmierć na mężczyzn.

Podrugie, pochodziła z prostackiej rodziny i nie miała najlepszej opinii.

Mówiono, że była swego pierwszego męża kijem, że w ciągu dwóch lat, które jej drugi mąż spędził sparaliżowany w łóżku, ani razu nie wezwała do niego lekarza.

Krały o niej również inne plotki.

Ale reb Palik nie przejmował się ostrzeżeniami pogłosek.

Jego pierwsza żona, niech odpoczywa w pokoju, bardzo długo chorowała, zanim zmarła na suchoty.

Risa, korpulentna i silna jak mężczyzna, była dobrą gospodynią i umiała prowadzić gospodarstwo.

Chustką przykrywała gęste, rude włosy, a jej oczy były zielone jak agrest.

Miała jędrne piersi i szerokie biodra, dobre do rodzenia dzieci.

Co prawda nie miała dzieci z żadnym ze swych mężów, ale

utrzymywała, że była to ich wina.

Miała donośny głos, a kiedyś miała, słycać ją było z daleka.

Wkrótce po tym, jak poślubiła reb Palikę, zabrała siędoroboty: wyrzuciła rządcę majątku, ponieważ pił, i zatrudniła na jego miejsce młodego i sumiennego człowieka.

Dogłądała zasiewów, zbiorów, hodowli bydła.

Pilnowała chłopów, aby mieć pewność, że nie kradną jajek, kurcząt i miodu z uli.

Reb Palik miał nadzieję, że urodzi mu syna, który by odmówił kadysz po jego śmierci, ale mijały lata i Risza nie zachodziła w ciążę.

Mówiła, że jest za stary.

Pewnego dnia zabrała go do Łaskaczewo do notariusza, gdzie przepisała na niego cały swój majątek.

Reb Palik stopniowo przestawał się zajmować sprawami gospodarstwa.

Był mężczyzną średniego wzrostu, miał śnieżnobiałą brodę, a na policzkach rumieńce odcieni spłowiałej czerwieni zimowych jabłek, tak charakterystyczne dla zamożnych i spokojnych starych ludzi.

Był jednakowo uprzejmy dla bogatych i biednych i nigdy nie krzyczał nad swymi służącymi ani nad chłopami.

Co roku na wiosnę, przed Paschą, wysyłał do Łaskaczewo pszenicę dla ubogich, a jesienią, po Święcie Kuczek, dostarczał do przytułku drewno na opał na całą zimę oraz worki pełne kartofli, kapusty i buraków.

Natępienie majątku znajdowała się mała domnauka, którą reb Palik zbudował i wyposażył w bibliotekę i Święty Zwój.

Kiedy w majątku było dziesięciu Żydów, mogących utworzyć quorum, odprawiali tam modły.

Po przepisaniu całego majątku na Riszę reb Palik spędzał praktycznie całe dni w swoim domu, recytując psalmy, a czasami drzemiał na kanapie w sąsiednim pokoju.

Zaczęły go opuszczać siły; trzęsły mu się ręce, a kiedy mówił, głowa kiwała mu się na boki.

W wieku prawie siedemdziesięciu lat, całkowicie zależny od Riszy, był, jak to się mówi, skazany na jej łaskę.

Niegdyś chłopcy mogli przychodzić do niego z prośbą o obniżenie grzywny, jak zarządca wyznaczył za to, że ich krowaczy koń weszły mu w szkodę.

Ale teraz, kiedy Risza rządziła majątkiem, chłopcy musieli płacić wszystko co do grosza.

W majątku żył od wielu lat rytualny rzeźnik, reb Dań, stary człowiek, który był też stróżem w domu nauki, który, wraz z reb Palikiem, codziennie rano studiował jakiś rozdział Miszny.

Kiedy reb Dań zmarł, Risza zaczęła się rozglądać za nowym rzeźnikiem.

Reb Palik jadł codziennie kawałek kurczaka na kolację; Risza sama też lubiła mięso.

Łaskaczewo było zbyt daleko, żeby tam jeździć za każdym razem, kiedy chciała ubić jakieś zwierzę.

Ponadto, na wiosnę i jesienią, droga

W

do Łaskaczewa zawsze była zalana.

Wypytał sąsiadów, Risza dowiedziała się, że w pobliskiej wiosce Krówka mieszka żydowski rzeźnik rytualny o imieniu Reuwen.

Jego żona zmarła, wydając na świat ich pierwsze dziecko.

Oprócz tego, że był rzeźnikiem, posiadał niewielką karczmę, gdzie chłopcy przychodzili wieczorami na kieliszek.

Pewnego ranka Risza kazała jednemu z chłopów zaprząć konie do bryczki i zawieźć się do Krowicy, żeby porozmawiać z Reuwenem.

Chciała, aby co jakiś czas przyjeżdżał do majątku bić zwierzę.

Zabrała ze sobą kilka kurcząt i gąsiorów tak ciasnym worku, że tylko cudem ptactwo się nieudusiło.

Kiedy dojechała dowski, ludzie wskazali jej chałupę Reuvena, tuż za kuźnią. Bryczka zatrzymała się i Risza otworzyła drzwi, weszła do środka, a za nią furman z workiem drobiu.

Reuven nie był w chałupie, ale kiedy wyjrzała przez okno na podwórko, zobaczyła stojącego nad płytkim rowem.

Bosa kobieta podała mu kurczaka, a on go zarzynał.

Nie wiedząc, że jest obserwowany ze swego własnego domu, Reuven zachowywał się figlarnie wobec kobiety.

Żartobliwie machnął w jej stronę zarzniętym kurczakiem, jakby go chciał rzucić jej w twarz.

Kiedy zapłaciła mu grosz za robotę, chwyciła za przegub dłoni i przytrzymała przez chwilę.

Tymczasem kurczak, z podciętym gardłem, upadł na ziemię, zatrzepotał skrzydłami, jakby chcąc się unieść w powietrze, i obryzgał krwią buty Reuvena.

W końcu mały kogut wydał ostatnie tchnienie i zastygł na ziemi, kierując jedno szkliste oko rozpiętą szyję ku niebu.

Wydawało się, że mówi: "Spójrz, Panie na Niebiosach, co ze mną zrobili.

I jeszcze się tego cieszą".

2

Reuven, jak większość rzeźników, był gruby, miał wielki brzuch, czerwony kark oraz krótką, tłustą szyję.

Na policzkach rosły mu kępki czarnych jak smoła włosów.

Jego ciemne oczy rzucały chłodne spojrzenie, typowe dla osób urodzonych pod znakiem Marsa.

Kiedy zauważył Riszę, panią wielkiego, sąsiedniego majątku, zmieszkał się, a jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej niż zwykle.

Kobieta na podwórku pospieszenie złapała zarzniętego ptaka i uciekła.

Risza wyszła na podwórko, każąc chłopu postawić worek z ptactwem u stóp

27.

Reuwena.

Zauważyła, że nie zachowuje się w stosunku do niej wyniośle, więc odezwała się do niego w sposób dowcipny, półżartem, a on odpowiedział jej w podobnym stylu.

Kiedy spytała, czy niezechciałby dla niej ubić ptactwa, które przywiozła w worku, odparł:

- A cóż innego robię?

Przecież nie przywracam życia padlinie.

A kiedy dodała, że jej mąż przykłada ogromną wagę do tego, żeby mięso było absolutnie koszerne, rzekł:

- Proszęmu przekazać, że nie ma obawy.

Mój nóż jest gładki jak smyczek!

- i aby to udowodnić, przejechał niebieskawym ostrzem popaznokciu palca wskazującego.

Chłop rozwiązał woreki i podał Reuwenowi żółtego kurczaka.

Zręcznie odkręcił mu łeb do tyłu, złapał za kępkę pierza pośrodkuszy i poderżnął mu gardło.

Wkrótce miał się zabrać do gąsiora.

- To twarda sztuka - powiedziała Risza.

- Postrach wszystkich gęsi.

- Już niedługo będzie twardy - odparł Reuwen.

- Nie żal ich panu?

- Nagabywała Risza.

Nigdy w życiu nie widziała tak zręcznego rzeźnika.

Miał grubedłonie krótkich, gęsto owłosionych palców.

- Gdyby mi było żal, nie mógłbym być rzeźnikiem - powiedział Reuwen.

Po chwili dodał:

- Kiedy w szabas oczyszcza pani rybę z łusek, myśli pani, że ryba jest tym zachwycona?

Trzymając ją, Reuwen spojrzał na Riszę niedwuznacznie, zlustrował ją od stóp do głów i w końcu zatrzymał wzrok na jej łonie.

Wciąż się w nią wpatrując, zarznął gąsiora.

Jego białe upierzenie pokryło się krwią.

Wstrząsnął przerażająco szyją i nagle wzbil się powietrze i przefrunął parę metrów.

Risza zagryzła wargi.

- Ludzie powiadają, że rzeźnicy to urodzeni mordercy, ale zamiast zabijać ludzi, zostają rzeźnikami - powiedziała Risza.

- Jeśli masz takie miękkie serce, to dlaczego przyniosłaś do mnie te ptaki?

- zapytał Reuwen.

- Dlaczego?

Przecież trzeba jeść mięso.

- Jeśli ktoś ma jeść mięso, ktoś inny musi zająć się ubojem.

Risza kazała chłopu zabrać ptaki.

Kiedy płaciła Reuwenowi, wzięła za rękę i przytrzymała przez chwilę w swojej dłoni.

Jego dłoń była ciepła, a jej ciało przeszył błogi dreszcz.

Kiedy go spytała, czy chce

przyjeżdżać do majątku ubijać zwierzęta, powiedział, że tak, o ile zapłaci za przysięgę niegospodarską.

- Nie będę miała dla ciebie całego stadabydła - zażartowała Risza.

- Dlaczego nie?

- odparł Reuwen.

- Zarzynałem już bydło.



W Lublinie zarząnąłem więcejsztuk w jeden dzień niż tu przez cały miesiąc - przechwalał się.

Ponieważ wydawało się, że Riszy się niespieszy, Reuwen poprosił ją, aby usiadła na skrzyni, a sam przysiadł na pieńku.

Opowiedział jej swojej szkole w Lublinie i wytłumaczył, jak to się stało, że przybyło tej zapomnianej przez Boga wsi, gdzie jego żona, niechspoczywaw pokoju, zmarła przy porodzie z winy niedoświadczonej akuszerki.

- Dlaczego nie ożeniłeś się ponownie?

- zapytała Risza.

- Nie brakuje kobiet - wdów, rozwódek czy młodych dziewcząt.

Reuwen powiedział jej, że swatki starają się znaleźć mu żonę, ale ta, która jest mu przeznaczona, jeszcze się nie pojawiła.

- Jak rozpoznasz tę, która jest twoim przeznaczeniem?

- spytała

Risza.

- Mój brzuch ją rozpozna.

Złapie mnie w tym miejscu - i Reuwen

strzelił palcami i wskazał napepek.

Risza została by jeszcze dłużej, ale nadeszła jakaś dziewczyna z kaczką.

Reuwen podniósł się.

Risza wróciła do bryczki.

W drodze powrotnej Risza rozmyślała o rzezaku Reuwanie, o jego lekkomyślności i żartobliwym sposobie mówienia.

Mimo że doszła do wniosku, iż jest gruboskórny i że jego przyszła żona wcale nie będzie miała najśladszego życia, to jednak nie mogła przestać o nim myśleć.

Tej nocy, położywszy się do swego łoża z baldachimem, które stało naprzeciw łoża męzowskiego, rzucała się i kręciła, nie mogąc zasnąć.

Kiedy w końcu przysnęła, naszły ją sny przerażające, ale i podniecające.

Obudziła się rano przepelniona żądzą, pragnąc ujrzeć Reuwa jak najszybciej, myśląc o tym, jak to zrobić.

Martwiła się, że może nie znaleźć jakiejś kobiety i wyjechać ze wsi.

Trzy dni później Risza znów udała się do Krowicy, mimo że spizarnia była jeszcze pełna zapasów.

Tym razem sama złapała ptaki, spętała im nogi i wrzuciła do worka.

W majątku był czarny kogut, słynny ze swoich rozmiarów, czerwonego grzebienia i pięknego piania, ponieważ jego głos był czysty jak dźwięk dzwoneczka.

Była również kura, która codziennie zносиła jedno jajko, i to zawsze w tym samym

miejscu.

Risza złapała te dwa stworzenia, pomrukując: - Chodźcie, wkrótce poznacie smak noża Reuwena - i kiedy wypowiedziała te słowa, dreszcze przeszły jej po kręgosłupie.

Nie kazała się wieźbryczką, tylko sama zaprzęła konia i ruszyła w drogę.

Reuwen stała progu domu, jakby niecierpliwie jej wyczekiwał.

I rzeczywiście tak było.

Kiedy mężczyzna i kobieta pożądata się wzajemnie, ich myślistają się takie same i jednastrona może przewidzieć, co druga zamaiar uczynić.

Reuwen wprowadził Riszę uroczyście, jak na gospodarza przystało.

Przyniósł jej dzbanek wody, poczęstował likierem i kawalkiemiernika.

Nie wyszedł na podwórze, lecz rozwiązał worek zdrobiemw chałupie.

Kiedy wyjął czarnego koguta, wykrzyknął:

- Ale wspaniały kawaler!

- Nie martw się.

Wkrótce się nim zajmiesz - rzekła Risza.

- Nikt nie ucieknie przedmym nożem- zapewnił ją Reuwen.

Zarznął ptaka na miejscu.

Kogut nie od razu wyzionął ducha, ale w końcu zwałił się na podłogę, niczym orzełtrafiony kulą.

Potem Reuwen podostrzył nóż na osełce, odwrócił się i podszedł do Riszy.

Był bład z pożądania, a ogień płonący w jego ciemnych oczach przerażał ją.

Czuła się tak, jakby zachwilę miał ją zarznąć.

Objął ją bezsłowa i przyciągnął do siebie.

- Co ty wyprawiasz?

Postradałeś rozum?

- zapytała.

- Podobasz mi się - odrzekł Reuwen ochryplym głosem.

- Puść mnie.

Ktoś może wejść - ostrzegał go.

- Nikt nie przyjdzie - zapewnił ją Reuwen.

Założył łańcuch nad rzwi i wciągnął Riszę do pozbawionej okien alkowy.

Risza mocowała się z nim, udając, że się broni, i wykrzyknęła:

- Biada mi!

Jestem mężatką.

A ty - religijnym, wykształconym człowiekiem.

Za karę będziemy się smażyć w Gehennie.

Ale Reuwen nie zwracała to najmniejszej uwagi.

Przycisnął Riszę do łóżka.

Ona zaś, trzykrotna mężatka, nigdy przedtem nie odczuwała takiej żądzy jak tego dnia.

Choć wyzywała go od morderców, złodziei, rozbójników i besztła zawstyd, jakiś cięga na uczciwą kobietę, to jednocześnie całowała go, pieściła i zaspokajała jego męskie aparysy.

W trakcie grymiłosnej poprosiła go, aby ją zarznął.

Ujął jej głowę w dłonie, odchylił dotyłu i udawał, że podcina jej gardło palcami.

Kiedy Risza podniosła się w końcu z łóżka, powiedziała Reuwenowi:

30

- Tym razem naprawdę mnie zamordowałeś.

- A ty mnie - odparł.

3

Ponieważ Rysza chciała mieć Reuwena tylko dla siebie i bała się, że mógłby wyjechać z Krowicy albo ożenić się z jakąś młodą kobietą, postanowiła znaleźć sposób na to, aby zamieszkał w jej majątku.

Niemogła go tak po prostu zatrudnić na miejscu reba Dana, ponieważ reba Dań był krewnym i tak czy inaczej reba Palik musiałby go wspomagać.

Sprowadzenie pracownika, który miałby zarządzać kilkoma kurczątami tygodniowo, byłoby bezsensowne, gdyby wysłała taką propozycję, zaraz wzbudziłaby podejrzliwość męża.

Po chwili zastanowienia Rysza znalazła wyjście z sytuacji.

Zaczęła skarżyć się mężowi, że zyski ze zbiorów są bardzo niskie, że plony były marne i że jak tak dalej pójdzie, w ciągu kilku lat będą zrujnowani.

Reba Falik próbował pocieszyć żonę, mówiąc, że Bóg nie opuścił go zupełnie, że trzeba żyć z wiarą, na co Rysza odcięła się, że wiary się nie je.

Ponieważ mieli pastwiska, zaproponowała, aby zwiększyli hodowlę bydła i otworzyli rzeźnię w Łaskaczewie - w ten sposób zyskaliby podwójny dochód: i z mleczarni, i ze sprzedaży detalicznej mięsa.

Reba Falik nie zaakceptował jej planu, uznając go za niepraktyczny i uwłaczający jego godności.

Przekonywał ją, że łaskaczewscy rzeźnicy narobią hałasu i że gmina nigdy nie zgodzi się na to, aby on, reba Falik, został rzeźnikiem.

Ale Rysza nie dawała za wygraną.

Pojechała do wsi, zwołała zebranie starszych gminy i oznajmiła im, że zamierza otworzyć sklep rzeźniczy.

Będzie sprzedawała mięso o dwa grosze taniej niż w sklepach.

Miasteczko wrzało.

Rabin ostrzegł ją, że nie pozwoli na sprzedaż mięsa z jej majątku.

Rzeźnicy grozili, że zarzną każdego, kto będzie szkodził ich interesom.

Ale Rysza nie poddała się.

Po pierwsze, miała swoje wpływy w władzach lokalnych, jako że miejscowy starosta otrzymywał od niej wiele wspaniałych prezentów, często odwiedzał jej majątek i polował w jej lasach.

Ponadto wkrótce znalazła sprzymierzeńców wśród ubogich mieszkańców Łaskaczewa, których nie było stać na kupno mięsa po obecnych, wysokich cenach.

Wielu stanęło po jej stronie: woźnice,

szewcy, krawcy, kuśnierze, garnarze, i wszyscy oznajmili, że jeśli rzeźnicy podniosą na nią rękę, odpłacą im, podpalając ich sklepy.

Risza zaprosiła całą tę rzeszę do majątku, poczęstowała piwem ze swojego browaru i otrzymała od nich obietnicę pomocy.

Wkrótce potem wynajęła sklep w Łaskaczewie i zatrudniła Wolfa Bondera, nieznającego strachu mężczyznę o opinii koniokradai awanturnika.

Co drugi dzień Wolf Bonder przyjeżdżał do majątku swym jednokonnym powozem pomięso, które zawoził do miasteczka.

Risza zatrudniła Reuvena jakoswego rzeźnika.

Przez wiele miesięcy nowy interes przynosił straty, ponieważ rabin wydał zakaz kupowania mięsa od Riszy.

Reb Palik wstydził się spojrzeć prosto w twarz mieszkańcom miasteczka, ale Riszy nie brakowało ani środków, ani siły, by czekać na zwycięstwo.

Ponieważ jej mięso było tanie, liczba klientów stopniowo wzrastała, a wkrótce, z powodu konkurencji, kilku rzeźników musiało zamknąć sklepy.

Jeden z dwóch łaskaczewskich rzeźników stracił pracę.

Wiele osób jej złośliwie życzęło.

Nowy interes był dobrą przykrywką dla grzechów, jakie Risza popełniała w majątku reb Palika.

Od samego początku asystowała Reuwenowi przy zarzynaniu zwierząt.

Często pomagała mu spętać woły lub krowy.

A jej żądza obserwowania poderżniętych gardeli spływającej krwi była tak bliska żądzy cielesnej, że nie potrafiła ich rozgraniczyć.

Kiedy w końcu interes zaczął przynosić zyski, Risza wybudowała jatkę i dała Reuwenowi mieszkanie w głównym budynku.

Kupiła mu eleganckie ubrania i zasiadał do stołu wraz z reb Palikiem.

Reuwen nabierał ogłady i zaczął tyć.

Rzadko pracował w ciągu dnia.

Krażył w jedwabnym szlafroku, w bamboszach, w jarmułce na głowie, obserwując, jak chłopcy pracują w polu i jak pastuchowie pilnują bydła.

Korzystał ze wszystkich przyjemności życia na świeżym powietrzu, a wieczorem często chodził kąpać się w rzece.

Starzejący się reb Palik kładł się wcześniej do łóżka.

Późnym wieczorem Reuwen i Risza szli do jatki.

Kiedy zarzynał zwierzęta, stała tuż obok niego, a kiedy stworzenia rzucało się walcząc o życie, omawiała z Reuwenem ich kolejny akt miłosny.

Czasami oddawała mu się zaraz po uboju.

O tej porze wszyscy chłopcy spali w swych chatkach, poza jednym starcem, na wpół głuchym i prawie ślepy, który pomagał im w jatce.

Czasami Reuwen kochał się z nią nawiącając się w szopie, czasem na trawie na podwórzu, a obecność zdychających obok stworzeń podsyciała ich rozkosz.

Reb Palik nie lubił Reuvena.

Mierzył go nowy interes żony, lecz

32

rzadko wyrażał swój sprzeciw.

Znosił te przykrości z pokorą, sądząc, że skoro i tak niebawem umrze, to nie ma sensu wdawać się w kłótnie.

Czasami dostrzegał, że stosunki jego żony i Reuvenasą nazbyt poufale, ale odrzucał wszelkie podejrzenia, ponieważ był z natury uczciwym i prawym człowiekiem, który nigdy nie oskarżał, nie mając dowodów.

Jeden grzech pociąga za sobą następny.

Pewnego dnia Szatan, król żądzy i przebiegłości, podkusił Riszę, aby współuczestniczyć w zarzynaniu.

Reuven był zaniepokojony, kiedy mu to zaproponowała.

Toprawda, był cudzołożnikiem, ale był też wierzący, tak jak wielu grzeszników.

Tłumaczył jej, że ich własne winy zasługują na chłostę, ale po cóż mieliby popychać innych do grzechu, każąc im jeść niekoszerne mięso?

Nie, broń Boże, ani on, ani Risze nie powinni czegoś takiego robić.

Aby zostać rzeźnikiem, należało studiować Szulchan Aruch oraz Komentarze.

Rzeźnik był odpowiedzialny za każdą skazaną nożem, choćby nie wiem jak niewielką, i za każdy grzech, najakiby był narażony jego klient, spożywając nieczyste mięso.

Ale Risza była

nieugięta.

- Co to za różnica?

- spytała.

- Tak czy inaczej będziemy torturowani na łożu nabijanym gwoździami.

Kiedy ktoś popełni grzechy, powinien mieć z tego jak najwięcej przyjemności.

Risza bezustannie nagabywała Reuvena, to mu grożąc, to znów przekupując.

Obiecywała mu nowe rozkosze, prezenty, pieniądze.

Przysięgła, że jeśli pozwoli jej zarzynać zwierzęta, natychmiast po śmierci reba Palika wyjdzie z niego i przepisze nań cały majątek, aby mógł odkupić część swych grzechów poprzez działalność dobroczynną.

W końcu Reuven ustąpił.

Risza znajdowała taką radość w zabijaniu, że wkrótce tylko ona zarzynała zwierzęta, a Reuven stał się za ledwie jej pomocnikiem.

Zacząła oszukiwać, sprzedawała sadło jak o koszerne tusz i przestała wyciągać z udźców krów zabronione przez prawo śięgna.

Wszczęła wojnę cenową z pozostałymi rzeźnikami z Łaskaczewa, aż w końcu wszyscy, którzy jeszcze zostali, stali się jej najemnymi pracownikami.

Podpisała kontrakt na dostawę mięs do garnizonu polskiej armii, a ponieważ oficerowie brali łapówki, a żołnierze dostawali tylko najgorsze ochłapy, zarabiała na tym kolosalne pieniądze.

Risza stała się tak bogata, że sama nawet nie wiedziała, jak wielka jest jej fortuna.

Stawała się też coraz bardziej złośliwa.

Kiedyś zarznęła konia i sprzedała go jako koszerne wołowinę.

Ubiłarównież kilka świń i sparzył je wewrzątku, tak jak to robią chrześcijanie.

jańscy rzeźnicy.

Nigdy jej nie przyłapano.

Odczuwała tyle satysfakcji z oszukiwania gminy, że stało się to wkrótce jej ogromną pasją, obok rozpusty i okrucieństwa.

Risza i Reuwen, tak jak wszyscy, którzy oddają się bez reszty przyjemnościom cielesnym, zaczęli się przedwcześnie starzeć.

Ich ciała stały się tak obrzękłe, że ledwo mogli się do siebie przytulić.

Ich serca pływały w tłuszczu.

Reuwen zaczął pić.

Spędzał cały dzień w łóżku, a kiedy się budził, sączył przez słomkę alkohol z karafki.

Risza przynosiła mu napoje i tak spędzali z sobą czas, rozmawiając o niczym, jak ludzie, którzy zaprzęśli swe dusze przyjemnościom tego świata.

Sprzeczali się i całowali, dokuczali sobie, szydzili z siebie wzajemnie, rozpaczając, że czas tak szybko mija i coraz bliżej im jest do grobu.

Reb Falik chorował teraz prawie cały czas, ale choć często wydawało się, że zbliża się jego koniec, to jednak dusza nie opuszczała jego ciała.

Risza roiła o śmierci męża i nawet myślała o tym, żeby go otruć.

Innym razem rzekła do Reuwena:

- Wiesz co, mam już dosyć życia!

Jeśli chcesz, zarżnij mnie i ożeń się z jakąś młodą kobietą.

Po tych słowach wyjęła słomkę z ust Reuwena i wysączyła zawartość karafki aż do dna.

4

Jest takie przysłowie: "Niebo i ziemia zaprzysięgły, że nic nie pozostanie tajemnicą".

Reuwen i Risza nie mogli ukrywać swych grzechów w nieskończoność.

Ludzie zaczęli szeptać, że obojgu żyje się zbyt dobrze.

Zauważyli też, że reb Falik postarzał się i podupadł na zdrowiu, że coraz częściej pozostaje w łóżku, i doszli do wniosku, że Reuwen i Risza mają romans.

Rzeźnicy, których Risza zmusiła dotychczas do zamknięcia swoich sklepów, rozpowiadali na jej temat najrozmaitsze oszczerstwa.

Niektóre bardziej wykształcone gospodynie znalazły w mięsie Riszy ścięgna, które, zgodnie z Prawem, powinny być usunięte.

Chrześcijański rzeźnik, któremu Risza miała zwyczaj sprzedawać niedozwolone rodzaje mięsa, narzekał, że od wielu miesięcy nie sprzedała mu ani grama.

Zebrawszy te dowody, byli rzeźnicy udalili się jak jeden mąż do rabina i starszych gminy i zażądali przebadania

34

mięsa Riszy.

Ale członkowie rady starszych wahali się, czy wszcząć kłótnię z Riszą.

Rabin cytował fragment Talmudu, mówiący o tym, że kto podejrzewa prawego człowieka, zasługuje na chłostę, i dodał, że dopóki nie pojawią się świadkowie któregoś z przestępstw Riszy, nie należy jej potępiać, bo ten, kto potępi bliźniego swego, traci prawo do życia na tamtym świecie.

Rzeźnicy, których rabin odprawił z kwitkiem, zdecydowali się, mimo wszystko, wynająć szp.

iega.

Wybrali twardego chłopaka o imieniu Jechiel.

Pewnej nocy ten młody łobuz opuścił Łaskaczew, zakradł się do majątku, nie zauważony przez złepsy Riszy, i ukrył się za jatką.

Przyłożył oko doszczeliny i zobaczył Reuwena i Riszę.  
Ze zdziwieniem patrzył, jak stary służący wprowadzał spętane zwierzęta, a Risza, za pomocą sznura, obalała każdą sztukę na ziemię.  
Kiedy stary wyszedł, Jechiel osłupiał ze zdumienia, widząc w świetle pochodni, jak Risza chwyciła długi nóż i zaczyna podcinać gardła każdej sztuce bydła pokolei.  
Wszędzie płynęły strumienie bulgoczącej krwi.  
Kiedy zwierzęta wykrwawiały się, Risza zrzuciła z siebie ubranie i wyciągnęła się nagana wiążąc słomy.  
Reuwen podszedł do niej, abyli tak tłusci, że ich ciała ledwo stykały się ze sobą.  
Sapalii dyszeli.  
Ich charczenie wraz ze śmiertelnymi idrgawkami zwierząt czyniło nieziemski hałas.  
Zniekształcone cienie pokryły ściany, cała jątka buchała rozgrzaną krwią.  
Jechiel był łobuzem, ale nawet on poczuł przerażenie, ponieważ tylko demony mogły się zachowywać w podobny sposób.  
Uciekł, bojąc się,  
    że zawładną nim szatany.  
    O świcie Jechiel zapukał w okiennice rabina.  
Jąkając się, wyjawił to, co widział na własne oczy.  
Rabin obudził szamesa i kazał mupukać młoteczką do okien starszych i zwołać ich natychmiast na zebranie.  
Najpierw nikt nie wierzył, że Jechiel mówi prawdę.  
Podejrzewali, iż rzeźnicy wynajęli go, aby złożył fałszywe zeznania, i grozili mu pobiciem i kłębem.  
Jechiel, na dowód tego, że nie kłamie, podbiegł do Świętego Zwoju Arki, która stała w Izbie Sądu, otworzył drzwiczki i zanim obecni mogli go powstrzymać, przysiągł na Święty Zwoj, że mówi prawdę.  
Jego opowieść wzburzyła całe miasteczko.  
Kobiety wybiegły na ulicę, bijąc się pięściami w głowę, płacząc i lamentując.  
Dowody wskazywały na to, że mieszkańcy miasteczka jedli niekoszerną mięso już od wielu lat.  
Zamożne gospodynie wносиły swoje garnki na rynek i tłukły je na skorupy.  
Kobiety ciężarne mdlały, a ludzie chorzy

tracili przytomność.

Wiele religijnych osób rozdzierało kłapy marynarek, posypywało włosy popiołem i pograżało się w żałobie.

Zebrał się tłum, który wtargnął do sklepów mięsnych, aby wymierzyć karę ludzom sprzedającym mięso Riszy.

Nie chcieli nawet słuchać tego, corzeźnicy mieli do powiedzenia na swoją obronę. Pobili kilku z nich, wyrzucili na ulicę wszystkie ochłapy, jakie im wpadły w ręce, i powywracali rzeźnicze pniaki.

Wkrótce rzucono propozycję, aby ruszyć do majątku reba Palika.

Motłoch zaczął uzbrajać się w pałki, sznury i noże.

Rabin, obawiając się rozlewukrwii, wyszedł na ulicę, aby ich powstrzymać.

Ostrzegał ich, że nie mogą wymierzyć kary, że muszą poczekać na dowód, iż grzech został popełniony z premedytacją.

Dopiero wtedy zostanie wydany wyrok.

Ale motłoch nawet go niesłuchał.

Rabin zdecydował się pójść wraz z tłumem, mając nadzieję, że zdoła go uspokoić po drodze. Starsi poszli z nim.

Kobiety wlokły się z tyłu, szczypiąc się wpoliczki i szlochając jak na pogrzebie.

Zanimi podążali uczniowie.

Wolf Bonder, który zawsze otrzymywał prezenty od Riszy i któremu zawsze dobrze płaciła za dowożenie mięsa z majątku do Łaskaczewa, pozostał wobec niej lojalny.

Widząc, jak osnie agresją tłum, poszedł do swej stajni, osiodłał szybkiego konia i pogalopował do majątku, aby ostrzec Riszę.

Traf chciał, że Reuwen i Risza spędzili tam noc w jatce i nie wrócili jeszcze do domu.

Słysząc tętent końskich kopyt, wstali z legowiska, wyszli przed szopę i ze zdziwieniem zobaczyli jadącego Wolfa Bondera.

Wyjaśnił im, co się zdarzyło, i ostrzegł przed nadchodzącym tłumem.

Poradził im, by uciekli, chyba że mogą udowodnić swoją niewinność, w przeciwnym bowiem wypadku rozwścieczony motłoch na pewno rozedrze ich na kawałki.

Sam bał się pozostać choćby chwilę dłużej, żeby przypadkiem tłum nie zwrócił się przeciwko niemu.

Wskoczył na konia i czym prędzej odjechał.

Reuwen i Risza zamarli z przerażenia.

Reuwen najpierw dostał wściekłych rumieńców, a potem pobał jak ściana.

Ręce mu się trzęsły i musiał złapać się drzwi, aby nie upaść.

Risza uśmiechała się niepewnie, a jej twarz pożółkła, jak gdyby zachorowała na żółtaczkę.

To ona jednak uczyniła pierwszy ruch.

Podeszła do swego kochanka i spojrzała mu prosto w oczy.

- No cóż, kochani moje - powiedziała - złodziejkończy na szubienicy.

- Uciekajmy.

36

Reuwen dostał takich drgawek, że ledwo mógł wydobyć z siebie głos.

Ale Risza odparła, że to niemożliwe.

W majątku było tylko sześć koni i chłopcy zabrali je wszystkie wczesnym rankiem do lasu, aby przywieźć drewno.

Woły są tak powolnymi zwierzętami, że motłoch może je dogonić.

Ponadto ona, Risza, nie miała najmniejszego zamiaru opuszczać swych włości i włączyć się jak żebraczka.



Reuwen błagał ją, aby uciekła wraz z nim, ponieważ życie jest dużo cenniejsze od dóbr materialnych, ale Risa nie ustępowała.

Nie chciała odejść.

W końcu poszli do domu, gdzie Risa przygotowała Reuwenowi tobołek, dała mu pieczonego kurczaka i bochenek chleba na drogę oraz woreczek z pieniędzmi.

Stojąc przed drzwiami, patrzyła, jak odchodzi, zataczając się i przechodząc chwiejnym krokiem przez drewniany most, który prowadził do sosnowego lasu.

Kiedy dotrzedo lasu, znajdzie drogę do Lublina.

Reuwen kilka razy odwracał głowę, szeptał i machał ręką, jakby ją wołał, ale Risa stała nieruchomo w tym samym miejscu.

Już dawno odkryła, że Reuwen jest tchórzem.

Bohaterem stawał się tylko wobec słabego kurczęcia albo spętanego wołu.

5

Kiedy tylko Reuwen zniknął z pola widzenia, Risa podążyła w kierunku pól, aby zwołać chłopów.

Kazała im złapać za siekiery, kosy i łopaty, wyjaśniła, że motłoch z Łaskaczewa jest już w drodze domajątku, i obiecała każdemu z nich guldena i dzban piwa, jeśli pomogą jej się bronić.

Risa sama schwyciła w jedną rękę długi nóż, drugą zaś wymachiwała toporem.

Wkrótce dały się słyszeć odgłosy hałaśliwego tłumu i zaraz potem wszyscy ujrzeni nadciągający motłoch.

Risa wdrapała się na wzgórze przy wejściu domajątku, a chłopci trzymający straż otoczyli ją kołem.

Kiedy przybysze zobaczyli chłopów uzbrojonych w siekiery i kosy, zwolnili tempo.

Kilku z nich szykował się nawet do odwrotu.

Rozwścieczone psy Riszy biegały wokół nich,

warcząc, szczekając i rżąc.

Rabin, widząc, że cała sytuacja może doprowadzić jedynie do owozlewu krwi, nakazał gromadzie rozejść się do domu, ale co bardziej parci odmówił posłuszeństwa.

Risa wykrzyknęła, szydząc z nich:

37.

-No, jazda!

Pokażcie, co potraficie!

Obetnę wam łby tym nożem -tym samym nożem, którym zarzynałam konie i świnie na wasz użytek!

Kiedy jakiś mężczyzna krzyknął, że nikt w Łaskaczewie nie kupi już jej mięsa i że spadnie na nią klątwa, Risa odkrzyknęła mu:

- Niepotrzebuję waszych pieniędzy!

Ani waszego Boga!

Przejdę na wiarę katolicką i to natychmiast!

I zaczęła się wydzierać popolsku, wyzywając Żydów od przeklętych morderców Chrystusa i zegnając się, jakby już była chrześcijanką.

Odwróciła się do jednego ze stojących za nią chłopów i powiedziała:

- Na co czekasz, Maćku?

Pędź i przyrowadź tu księdza.

Nie chcę już należeć do tej plugawej sekty!

Chłop pobiegł, a wśród tłumu zapanowało milczenie.

Wszyscy wiedzieli, że przechrztzy szybko stają się wrogami Izraela i wymyślają różnorodne oskarżenia przeciwko swym niedawnym braciom.

Odwrócili się i opuścili majątek.

Żydzi bali się wzbudzać gniew chrześcijan.

Tymczasem reb Palik siedział w swoim domu i recytował Misznę.

Głuchy i prawie ślepy, nic nie widział i nic nie słyszał.

Nagle Risa wpadła do niego z nożem w dłoni i wrzasnęła:

- Idź do swoich Żydów.

Nie chcę tutaj synagogi!

Kiedy reb Palik ujrzał ją z odkrytą głową, znożem w garści i z twarzą obrzękłą od alkoholu, ogarnęła go taka boleść, że aż zaniemówił.

Miała sobie szal modlitewny i filakterie.

Wstał, aby spytać, co się stało, ale stopy odmówiły mu posłuszeństwa i padł trupem na podłogę.

Risa kazała umieścić jego ciało na wozie zaprzężonym w woły i posłała jego zwłoki Żydom w Łaskaczewie, nie dając nawet płótna na całun.

Łaskaczewskie Towarzystwo Pogrzebowe obmyło i ubrało zwłoki reb Palika.

W czasie pogrzebu, kiedy rabin wygłaszał pochwały naczestę zmarłego, Risa przygotowywała się do przejścia na katolicyzm.

Wysłała mężczyznę na poszukiwanie Reuwena, gdyż chciała go przekonać, aby wziął z niej przykład, ale jej kochanek zniknął bez śladu.

Risa mogła teraz zrobić to, co chciała.

Po przejściu na nową wiarę ponownie otworzyła swe sklepy

i sprzedawała niekoszernie mięso chrześcijanom z Łaskaczewa oraz chłopom, którzy tam przyjeżdżali w dni targowe.

Już nie musiała niczego ukrywać.

Mogła zarzynać otwarcie, jak tylko jej się podobało świnie, woły, cielaki, owce.

Zatrudniła miejsce Reuena katolickiego rzeźnika i chodziła z nim do lasu na polowanie, strzelając do jeleni, zajęcy i królików.

Ale torturowanie

38

zwierząt nie sprawiało jej już takiej przyjemności jak dawniej - zarzynanie nie budziło w niej żądzy, awspółzycie z nowym rzeźnikiem dawało niewiele satysfakcji.

Kiedy łowiła ryby w rzece i udawało jej się złapać coś na haczyk lub do sieci, jej opływające tłuszczem serce odczuwało chwilową radość, a wtedy szeptała:

- No widzisz, rybko, jesteś w gorszej sytuacji niż ja.

Tak naprawdę to tęskniła za Reuwenem.

Brakowało jej lubieżnych rozmów, jego wiedzy, lęku przed reinkarnacją, strachu przed Gehenną. Skoro Reb Palik był już w grobie, nie miała kogo zdradzać, z kogo szydzić i nad kim się litować.

Natychmiast potem, jak się przechrzciała, wykupiła ławkę w kościele i przez kilka miesięcy co niedzielę przychodziła posłuchać kazań księdza.

W drodze do kościoła i z powrotem kazała woźnicy przejeżdżać obok synagogi.

Drażnienie Żydów dawało jej trochę chwilowego zadowolenia, ale wkrótce i to jej się sprzykrzyło.

Z upływem czasu Risa tak się rozleniwiła, że przestała chodzić do jatk.

Powierzyła wszystko chrześcijańskiemu rzeźnikowi i nawet nie zwracała uwagi na to, że ją okradał.

Rano, tuż po przebudzeniu, nalewała sobie szklankę wódki i człapała na swych obrzękłych stopach z pokoju do pokoju, mówiąc do samej siebie.

Stawała przed lustrem i mamrotała: -Oj, biada ci, biada, Riso.

Co się z tobą stało?

Gdyby twoja święta matka zmartwychwstała i ujrzała ciebie, natychmiast wróciłaby do grobu!

Niekiedy rano próbowała jakoś wpłynąć na swój wygląd, ale jej stroje były zbyt obcisłe i w żaden sposób nie mogła rozczesać włosów.

Często śpiewała przez długie godziny w jidyszy po polsku.

Miała szorstki i chrypiący głos, ale wymyślała piosenki, włączając się do pustego domu, powtarzając nic nieznaczące zdania, wydając z siebie dźwięki przypominające gdakanie kur, chrząkanie świń, konwulsje wołów.

Opadała na łóżko czkając, bekając, śmiejąc się i płacząc.

W snach pojawiały jej się różne wizje: byki bodły ją rogami, świnię trącały jej twarz swymi ryjami i kąsały; koguty dziobały i rozdzierały jej ciało nastrzępy.

Reb Palik ukazywał się jej owinięty w całun, pokryty ranami, powiewający wiązką liści palmowych, krzycząc: "Nie mam spokoju w grobie.

Zhańbił mój dom".

Wtedy Risa, od niedawna zwana Marią Pawłowską, budziła się w środku nocy z odrętwiałymi kończynami, cała złana potem.

Duch Reb Palikaznikał, ale ona wciąż słyszała szelest palmowych liści i echo jego krzyku.

Jednocześnie żegnała się i powtarzała słowa hebrajskiego

zaklęcia, którego matka nauczyła ją w dzieciństwie.  
Z trudem zwlekała swe białe stopy na podłogę i zaczynała się toczyć w ciemnościach jednego pokoju do drugiego.

Dawno już wyrzuciła wszystkie książki i spaliła jego Święty Zwój.

Dom nauki był teraz suszarnią skór.

Ale w jadalni wciąż stał stół, przy którym Reb Palik spożywał szabasowe posiłki, a z sufitu zwisały kandelabry, w których niegdyś płonęły szabasowe świece.

Czasami Risa wspominała dwóch pierwszych mężów, których zameczała swym gniewem, chytrością, przekleństwami i ciętym językiem.

Daleko jej było do skruchy, ale gdzieś tam w środku odczuwała żal i rozgoryczenie.

Otwierała okno i wpatrując się opólnocnym usianym gwiazdami niebem, krzyczała: - Boże, przyjdź wymierz mi karę!

Przyjdź, Szatanie!

Przyjdź, Asmodeuszu!

Pokażcie swą moc!

Zabierzcie mnie na płonąca pustynię za górami cieni!

6

Pewnej zimy Łaskaczew został nawiedzony przez mięsożernego zwierza, który w nocy wychodził na łowy i atakował mieszkańców.

Ci, którzy widzieli tego stwora, mówili, że jest to niedźwiedź, inni, że wilk, a jeszcze inni, że demon.

Pewna kobieta, która wyszła za potrzebą do wychodka, została ukąszona w szyję.

Uczeń szewca musiał się ratować ucieczką przed tym potworem.

Nocnemu stróżowi, mężczyźnie w starszym wieku, zwierzę podpało pazurami twarz.

Kobiety i dzieci Łaskaczewa bały się wychodzić domu po zmierzchu.

Wszystkie drzwi okiennice w miasteczku były zaryglowane.

Mówiono wiele dziwnych rzeczy na temat potwora: ktoś słyszał, jak majaczył ludzkim głosem, ktoś inny widział, jak stanął na tylnych łapach i zaczął biec.

Przewrócił beczkę z kapustą na czymś podwórzu, pootwierał kurniki, wyrzucił ciasto drożdżowe rosnące w dzieżach w piekarni, splugawił skrementami pieńki do rąbania mięsa w koszernych sklepach.

Pewnej głębokiej nocy łaskaczewscy rzeźnicy zgromadzili się z siekierami i nożami, zdecydowani zabić lub pojmać potwora.

Rozdzielili się na małe grupy i wyczekiwali.

Ich wzrok przyzwyczajał się do ciemności.

W środku nocy rozległ się krzyk i kiedy dobiegli na miejsce, zdążyli zauważyć zwierzę uciekające z miasteczka.

Jakiś mężczyzna wołał, że został ugryziony w ramię.

Niektórzy byli tak przerażeni,

40

że uciekli, ale pozostali nie zaniechali pogoni.

Jeden z myśliwych zauważył bestię i rzucił w nią siekierą.

Wydawało się, że trafił, gdy zwierzę wydało sobie upiorny jęk, zachwiało się i padło.

Rozległ się przeraźliwe wycie.

Potem bestia zaczęła przeklinać po polsku i w jidysz, i zawodzić tak głośno, jak rodząca kobieta.

Mężczyźni wrócili do domów, przekonani, że zranili diablicę.

Zwierzę jęczało i bredziło całą noc.

Dowlokło się nawet do jakiegoś domu i zapukało w okiennice.

Potem zamilkło.  
Zaczęły szczekać psy.  
Kiedy nastał świt, coodważniejsi ludzie wyszli z domów.  
Kuswemu zdumieniu odkryli, że tym zwierzęciem była Risa.  
Leżał martwa, ubrana w futro skunksa, wilgotne od krwi.  
Gdzieś po drodze zgubiła filcowy but.  
W jej plecach tkwił topór.  
Psy zdażyły już gęzając jej trzewiami.  
Obok niej leżał nóż, którym zadźgała jednego ze swych prześladowców.  
Teraz wszyscy wiedzieli, że Risa przemieniła się w wilkołaka.  
Ponieważ Żydzi odmówili jej miejsca na swym cmentarzu, a chrześcijanie nie chcieli jej pochować u siebie, zabrano ją na wzgórze w majątku, gdzie kiedyś walczyła z motłochem, i tam; wykopano dla niej dół.  
Miasteczko przejęło jej dobra.

Kilka lat później pewien włóczęga, który znalazł schronienie w przytułku w Łaskaczewie, zachorował.  
Przed śmiercią zawołał rabina i siedmiu starszych z miasteczka i oznajmił im, że jest Reuwenem rzezakiem, który grzeszył z Risa.  
Przez wiele lat wędrował od miasta do miasta, nie jedząc mięsa, poszcząc w poniedziałki i czwartki ubrany w zgrzebną koszulę, pełen skruchy za swą występki, przybył do Łaskaczewa, aby umrzeć, ponieważ tutaj był grób jego rodziców.

Rabin wysłuchał jego spowiedzi i Reuwen odkrył przednim wiele szczegółów dotyczących jego życia w przeszłości, których nieznali mieszkańcy miasteczka.

Grób Riszy na wzgórze stał się wkrótce wysypiskiem śmieci.  
Aledługo jeszcze uczniowie z Łaskaczewa mieli zwyczaj odwiedzać to miejsce w trzydziestym trzecim dniu omer, uzbrojeni w łuki, strzały i jaj hugotowane na twardo.  
Tańczyli na wzgórzu i śpiewali:

Zarzynajcie Risa  
Czarne konie Teraz w złego ducha  
Wpadładłonie.

41.

Sprzedawa/a wiedźma Risa Świnie za woły.

Teraz smaży się w siarcei w kotle pełnym smoły.

Przedodejście dzieci pluły na grób i wymawiały następujące słowa:

Nie będziesz cierpieć za życie wiedźmy Za wiedźmy życie cierpieć nie będziesz Nie będziesz za życie wiedźmy cierpieć.

Sam

Wiele razy w przeszłości pragnąłem, aby spełniło się coś niemożliwego - i to coś się zdarzało.

Ale mimo że moje życzenie się spełniało, stawało się to tak niesamowitym sposobem, jakby Ukryte Moce próbowały mi udowodnić, że nie rozumiem swoich własnych potrzeb.

Otoco się stało owego lata w Miami Beach.

Mieszkałem w ogromnym hotelu, pełnym ludzi podobnych do mnie, cierpiących na katar sienny, oraz turystów południowoamerykańskich, którzy przyjechali do Miami Beach, aby odetchnąć od upałów.

Miałem tego wszystkiego po dziurki w nosie - pluskania się w oceanie z hałaśliwymi gośćmi, hiszpańskiego przez cały boży dzień oraz dwóch ciężkostrawnych posiłków codziennie.

Kiedy czytałem gazetę albo książkę w jidysz, wszyscy patrzyli na mnie ze zdumieniem.

Dlatego też, wybierając się na spacer pewnego dnia, powiedziałem nagłos:

- Jaka szkoda, że nie jestem tutaj sam.

Musiałem chyba podsłuchać jakiś chochlik, bo natychmiast zaczął działać.

Kiedy następnego ranka schodziłem na śniadanie, w hallu hotelu panowało zamieszanie.

Goście stali tu i tam w niewielkich grupach rozmawiali głośniejszym niż zwykle.

Wszędzie leżały stosy waliz.

Gońcy hotelowi biegali tam i z powrotem, pchając wózki załadowane ubraniami.

Spytałem kogoś, o co chodzi.

- Nie słyszał pan ogłoszenia przez głośniki?

Zamykają hotel.

- Dlaczego?

- Zbankrutowali.

Mężczyzna odszedł, zaskoczony moją niewiedzą.

To dopiero zagadka: zamykają hotel!

Chociaż z tego, co wiedziałem, przynosił on

43.

dobrze zyski.

A zresztą, jak można nagle zamknąć hotel, w którym mieszkają setki gości?

Ale dawno już stwierdziłem, że w Ameryce lepiej jest nie zadawać zbyt wielu pytań.

Klimatyzacja została już wyłączona i powietrze w hallu zrobiło się stęchłe.

Goście stali w długiej kolejce do kas, aby uregulować swoje rachunki.

Panowało ogólne zamieszanie.

Ludzie gasili papierosy na marmurowej posadzce.

Dzieciobrywały liście i kwiaty tropikalnych roślin doniczkowych.

Niektórzy Latynosi, choć jeszcze wczoraj udawali, że są południowcami pełnej krwi, rozmawiali teraz głośno w jidysz.

Ja sam miałem bardzo mało bagażu, tylko jedną walizkę.

Wzięłem ją i udałem się na poszukiwanie innego hotelu.

Na zewnątrz panowała spiekota, która przypominała mi opowiadanie z Talmudu, o tym jak to na równinach Mamre Bóg uwolnił z zamknięcia słońce, tak aby nikt obcy nie przeszkadzał Abrahamowi.

Kręciło mi się trochę w głowie.

Przypominałem sobie swoje kawalerskie czasy, kiedy to bez troski pakowałem cały swój dobytek do jednej walizki, opuszczałem miejsce zamieszkania i w ciągu pięciu minut znajdowałem nową pokój.

Kiedy przechodziłem obok małego hotelu, który miał wygląd rozwalającej się rudery, przeczytałem napis: "Opłaty poza sezonem od 2 dolarów za dobę".

Czyż mogło być coś tańszego?

Wszedłem do środka.

Nie było tam klimatyzacji.

Garbata dziewczyna o przenikliwych, czarnych oczach stała za blatem recepcji.

Zapytałem ją, czy mogę wynająć pokój.

- Choćby cały hotel - odpowiedziała.

- Nikogo tu nie ma?

- Nikogo.

Dziewczyna roześmiała się, ukazując nierówny rząd zębów z wielkimi przerwami pomiędzy nimi.

Mówiła z hiszpańskim akcentem.

Powiedziała mi, że pochodzi z Kuby.

Wzięłem pokój.

Garbuska wprowadziła mnie do wąskiej windy, która zawiozła nas na trzecie piętro.

Tam szliśmy długim, ciemnym korytarzem, który oświetlała ledwie jedna żarówka.

Otworzyła drzwi i wpuściła mnie do pokoju, niczym więźnia do celi.

Z okna zabezpieczonego moskitierą rozciągał się widok na Atlantyki.

Ze ścian schodziła farba, a na podłodze leżały wytarte, spłowiały chodniki.

W łazience śmierdziało pleśnią, a z szafy ulatniał się zapach naftaliny.

Pościel była czysta, ale za to wilgotna.

Rozpakowałem swoje rzeczy i zszedłem na dół.

Wszystko było tylko moje: basen, plaża, ocean.

W patio stało kilka zniszczonych leżaków.

Uderzało mocne słońce.

Morze było żółte, a niskie i leniwe fale ledwo

44

się poruszały, jakby były zbyt zmęczone duszącym skwarem.

Tylko od czasu do czasu, jakby z obowiązku, wyrzucały w górę odrobinę piany.

Na wodzie siedziała jedna mewa, usiłująca podjąć decyzję, czy warto złowić rybę, czy też nie. Wokół mnie roztaczała się zalana słonecznym światłem melancholia upalnego lata- dziwne, bo przecież melancholia kojarzy się zwykle z jesienią.

Przez chwilę poczułem, jak gdyby ludzkość zginęła w jakiejś katastrofie i tylko ja pozostałem, jak Noe- tyle że w pustej jarce, bez synów, bez żony, bez żadnych zwierząt.

Mogłem pływać nago, ale jednak włożyłem kąpielówkę.

Woda była tak ciepła, jakby ocean był jedną wielką wanną.

Wokół mnie pływały mnóstwo różnych wodorostów.

W poprzednim hotelu powstrzymywała mnie nieśmiałość - tutaj samotność.

Jak można prowadzić gry zabawy w bezludnym świecie?

Mogłem sobie trochę popływać, ale kto by mnie wyratował, gdyby coś się stało?

Ukryte Moce obdarzyły mnie pustym hotelem- alerównie dobrze mogły mi zgotować cofając się fale, zapadnięte dno oceanu, rekinalub węża morskiego.

Kto igra z nieznanym, musi zachować podwójną ostrożność.

Po chwili wyszedłem z wody i ułożyłem się na jednym z kulawych plażowych leżaków.

Moje ciało było blade, łysina niczym nieosłonięta i chociaż miałem ciemne okulary, dokuczało mi słońce.

Najbardziej niebieskim niebie nie było ani jednej chmurki.

Powietrze pachniało solą, rybą i owocami mango.

Poczułem, że linia podziału między światem organicznym i nieorganicznym nie istnieje.

Wszystko wokół mnie, każde ziarnko piasku, każdy kamyczek, oddychało, rosło, odczuwało pożądanie.

Poprzez niebiańskie kanały, przez które, jak głosi Kabała, przepływa Święte Miłosierdzie, płyną prawdy, których nie sposób ogarnąć w północnym klimacie.

Czułem się pozbawiony wszelkich ambicji i rozleniwiony, a moje nieliczne pragnienia były nieistotnie namacalne - ograniczały się do szklanki lemoniady lub soku pomarańczowego.

Wyobraziłem sobie, że jakaś ognista kobieta zatrzymuje się w tym hotelu na kilka nocy.

Przecież nie chciałem być zupełnie sam.

Chochlik albo źle mnie zrozumiał, albo tylko tak udawał.

Jak całe istnienie, ja również chciałem owocować, chciałem się rozmnażać, lub przynajmniej stwarzać tego pozory.

Byłem gotów odrzucić wszelkie normy moralne czy estetyczne.

Byłem skłonny ukryć swój wstyd pod prześcieradłem i oddać się bezreszty, jak ślepiec, zmysłowi dotyku.

Jednocześnie chodziły mi po głowie odwieczne pytania: Kto rządzi światem pozorów?

Czy to Materia i jej nieskończone Atrybuty?

Czy to Monada wszystkich Monad?

A może to Absolut, Ślepy



Los, Podświadomość?

Za tymi wszystkimi ułudami musi się kryć jakaś  
nadmorska istota.

Na morzu, oleistożółtym przybrzeżu, aszklistozielonym na głębinie, pojawiła się  
żaglówka, która wyglądała niczym zwłoki pokryte całunem.

Płynęła pochylona nadwodą, jakby próbowała coś przywołać głębi morza.

Nad nią ukazał się wielki samolot, który pozostawił po sobie napis: KOSZERNA  
RESTAURACJA U MARGOLII, 7 DAN, 1.

75. A więc Świat nie powrócił jeszcze do pierwotnego chaosu.

Wciąż można było zjeść krupnik i knysze i nadziewaną szyjkę w restauracji Margolia.

Jeśli tak, to jutro pewnie otrzymam list.

Obiecano mi doręczyć pocztę do nowego miejsca pobytu.

W Miami było mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

Zawsze mnie dziwi, że ktoś do mnie pisze, zadaje sobie trud nalepienia znaczka i  
wrzucenia koperty do skrzynki.

Wszędzie doszukuję się ukrytych znaczeń, nawet na pustej kartce papieru.

2

Jak długo trwa dzień, kiedy człowiek jest sam!

Przeczytałam książkę i dwie gazety, wypilem filiżankę kawy w knajpce,  
rozwiązałam krzyżówkę.

Wstąpiłem do sklepu, gdzie wystawiano na licytację dywany ze Wschodu, a potem poszedłem  
do innego, gdzie sprzedawano akcje z Wali Street.

To prawda, byłem na Collins Avenue w Miami Beach, ale czułem się jak duch, odcięty od  
wszystkiego.

Poszedłem do biblioteki i zadałem jakieś pytanie - bibliotekarz przeraził się.

Byłem jak człowiek, który zmarł, a którego przestrzeń już została wypełniona.

Przechodziłem obok wielu hoteli, każdy z nich miał swoje specjalne dekoracje i atrakcje.

Palmy kokosowe zwieńczone były nawiązanymi koronami liści, a ich orzechy zwisały  
jak nabrzmiałe jądra.

Wszystko wydawało się zastygłe w bezruchu, nawet błyszczące, nowe samochody mknące po  
asfalcie.

Każdy przedmiot trwał w wymiślnym stanie dzięki tej bezwładnej sile, która, być może, stanowi  
istotę całej egzystencji.

Kupiłem sobie czasopismo, ale po kilku liniach nie byłem już w stanie czytać.

Wsiadłem do autobusu, którym jeździłem bez celu po autostradach, po wysepkach  
pełnych stawów, po dzielnicach willowych.

Mieszkańcy, zasiedlając to pustkowie, posadzili drzewa i kwiaty

46

ze wszystkich stron świata.

Zasypali płytkie zatoczki wzdłuż brzegu, stworzyli cuda architektury i wypracowali dla  
przyjemności całej nacji porządek.

Zaplanowany hedonizm.

Ale nuda właściwa pustkowiu wciąż pozostała.

Żadna głośna muzyka nie była w stanie jej rozwiać, żadna krzykliwość barw nie mogła jej  
wymazać.

Przejechaliśmy obok kaktusa, którego łodygi i zakurzone igły zrodziły czerwony kwiat.

Minęliśmy jezioro, wokół którego stały grupy flamingów, trzepoczących skrzydłami, a woda  
odbijała ich długie dzioby i różowe pióra.

Ptasi zjazd.

Dzikie kaczkę latały wokół kwacząc - życie namoczarach nie poddawało się.

Patrzyłem przez otwarte okno autobusu.

Wszystko, co widziałem, byłonowe, a jednak miało stary i podniszczonywygląd: babcie z farbowanymi włosami iróżem na policzkach, dziewczęta w bikini, któreledwo zakrywało ich nagość, opaleni młodzieńcy popijający coca-colęna nartach wodnych.

Jakiś stary mężczyzna wyciągnął sięna pokładzie jachtu, ogrzewając zreumatyzowane nogi i wystawiając na słońce klatkę piersiową,pokrytą siwymi włosami. Uśmiechał się sztucznie.

Obok niego kochanka, której zapisał cały swój majątek,dotykała stóp swoimi czerwonymipaznokciami, tak pewna swego uroku jak tego, że jutro teżwzajdzie słońce. Na rufie stał pies, który ziewając wpatrywał się wyniosłe w kilwater jachtu.

Minęło sporo czasu, zanim dojechałem do końca trasy.

Tam wsiadłem do innego autobusu.

Przejechaliśmy obok nabrzeża, gdzieważono świeżo złowioneryby.

Ich dziwaczne kolory, krwawiące rany naskórce, szkliste oczy, otworygębowe pełne zakrzepłej krwi,ostre zęby- wszystko to było świadectwem głębokiej jak otchłań nikczemności.

Mężczyźni patroszyli ryby z bezbożną radością.

Minęliśmy farmę żmiji kolonię małp.

Widziałemdomy zjedzone przez termity oraz stawzesłona wawodą, w którym pełzali i ślizgali się potomkowie pradawnychgadów.

Papugi skrzeczały piskliwymigłosami.

Od czasu do czasuprzez okno autobusu wdzierały się dziwne zapachy, fetor tak gęsty, że rozsadzało mi głowę.

Dzięki Bogu latem dni są krótsze na południu niż napółnocy.

Wieczór zapadł nagle,bezzmierzchu.

Ponad lagunami i autostradamizawisła tak gęsta ciemność, że żadne światło nie mogłoby jej przeniknąć.

Samochody sunęłyprzed siebie z zapalonymi reflektorami.

Wyłynął księżyc, ogromny i niesamowicie czerwony: zawisła niebiejak globus zwyrysowaną mapą innego świata.

Noc miała posmak

47.

cudu i kosmicznej przemiany.

Obudziła się we mnie nadzieja, której nigdy nie porzuciłem: Czy moim przeznaczeniem było doświadczyć własne oczy przewrotu w systemie słonecznym?

Może księżyc miał zaraz spaść?

A może ziemia, wyrwawszy się ze swej orbity wokół słońca, powędruje ku innym gwiazdozbiorom?

Autobus kluczył po nieznanym terenie, aż wreszcie powrócił na Lincoln Road, pełną bajecznych sklepów, które pomimo martwego sezonu wciąż wabiły wszystkim, czego mógłby zapragnąć bogaty turysta.

Była tam peleryna z gronostaja, kołnierzyk szynszyl, dwunastokaratowy brylant, oryginalny obraz Picassa.

Wystrojeni ekspedycjoniści, przekonani, że po nirwanie następuje tętniąca karma, rozmawiali ze sobą klimatyzowanych wnętrzach sklepów.

Nie byłem głodny; poszedłem jednak do restauracji, gdzie kelnerka ze świeżo zrobioną trwałą podała mi pełny obiad, grzecznie i bez żadnych problemów.

Dałem jej pół dolara napiwku.

Kiedy zbierałem się do wyjścia, rozboleł mnie żołądek, a głowa zrobiła się ciężka.

Wieczorne powietrze, rozpalone słońcem po całym dniu, ogłuszyło mnie, kiedy tylko znalazłem się na zewnątrz.

Na sąsiednim budynku neon wyświetlał temperaturę - było 96F, a wilgotność niewiele mniejsza!

Nie potrzebowałem meteorologa.

W tym momencie błyskawica przecięła płonące niebo, chociaż nie usłyszałem grzmotu.

Z nieba schodziła ogromna chmura, zwarta jak skała, pełna ognia i wody.

Pojedyncze krople deszczu spadały namożną łysiną.

Palmy wyglądały na przerażone, jakby oczekiwały napaści.

Pospiesznie ruszyłem w stronę mojego hotelu, ponieważ chciałem zdążyć przed ulewą; ponadto miałem nadzieję, że czeka na mnie poczta.

Ale kiedy byłem w połowie drogi, burza rozszalała się na dobre.

Po pierwszym podmuchu byłem przemoczony do suchej nitki, jakby zalała mnie wielka fala.

Ognisty błysk przeszył niebo i w tym samym momencie usłyszałem grzmot - a więc błyskawica była niedaleko mnie.

Chciałem się gdzieś schronić, ale krzesła porwane przez wiatr zalan i wierzchołki szalały w powietrzu, zagrażając mi przejściu.

Znaki drogowe leżały na ziemi.

Pod nogami wałała się korona palmy kokosowej, zerwana przez wiatr.

Zobaczyłem inną palmę, osłoniętą workiem, przygiętą przez wiatr, gotową przykłęknąć.

Wciąż biegłem, nie wiedząc, co się dzieje.

Nurzając się w kałużach, tak głębokich, że prawie w nich tonąłem, pędziłem przed siebie z chłopięcą lekkością.

Niebezpieczeństwo wzbudziło we mnie śmiałość, darłem się i śpiewałem, krzychałem do burzy w jej własnej tonacji.

Ruch uliczny już ustał, zniknęły nawet samochody.

Ale ja wciąż biegłem, chcąc albo

48

wymknąć się temu szaleństwu, albo mu ulec.

Musiałem dostać ten list polecony, którego nikt nie napisał i którego nigdy nie otrzymałem.

Do tej pory nie wiem, jak rozpoznałem mój hotel.

Wszedłem do hallu i stałem tam bez ruchu przez kilkadziesiąt minut, ociekając wodą.

W lustrze na przeciwległej ścianie widniało moje na wpółrozmażane odbicie, przypominające postać z obrazu Kubisty.

Jakoś dostałem się do windy i wjechałem na trzecie piętro.

Drzwido mojego pokoju były uchylone: wewnątrz fruwały i bzykały moskity, ćmy, świeliki i komary, które schroniły się tu przed burzą.

Wiatr zerwał moskitierę w oknie i rozrzucił papiery, które zostawiłem na stole.

Dywan był zupełnie mokry.

Podszedłem do okna i spojrzałem na ocean.

Fale urosły do rozmiaru gór na środku morza - monstrualne bałwany, gotowe raz za raz wystąpić z brzegów i zalać cały ląd.

Faleryczały z wściekłością, wyrzucając w ciemność nocy białą pianę.

Szczekały na Stwórcę jak sfora ogarów.

Z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała, zamknąłem okno i opuściłem żaluzje.

Przykucnąłem, aby poukładać moje zalane wodą książki i rękopisy.

Było mi gorąco.

Pot oblewał mi ciało, mieszając się ze strumyczkami deszczu.

Zdarłem z siebie ubranie, które leгло u mych stóp niczym porzucona muszla.

Poczułem się jak istota, która właśnie wykluła się z kokonu.

3

Burza nieosiągnęła jeszcze swego apogeum.

Wyjący wiatr stukali walił niczym potężne młoty.

Hotel wydawał się stateczkiem płynącym po oceanie.

Coś się oderwało i zważyło - dach, balkon, jakaś część fundamentu.

Pękły żelazne kraty.

Słychać było jęki metalu.

Puściły blokady okien.

Szyby drżały.

Ciężkie żaluzje na moim oknie falowały, jakby były lekką zasłoną.

Pokój był rozświetlony oślepiającym blaskiem wielkiego pożaru.

A potem piorun uderzył taką siłą, że zaśmiałem się histerycznie.

W ciemnościach zamajaczyła biała postać.

Serce mi stanęło, mózg zadrżał w czaszce.

Zawsze wiedziałem, że prędzej czy później ten stwór nawiedzi mnie wraz ze wszystkimi potwornościami, o których nigdy się nie mówi, ponieważ kto je oglądał, nie przeżył, aby móc o nich opowiedzieć.

Leżałem bez słowa, gotowy na swój koniec.

Potem usłyszałem głos:

49.

- Bardzo przepraszam, senor, bardzo się boję.

Śpi pan?

- Byłato kubańska garbuska.

- Nie, wejdz - odpowiedziałem jej.

-Cała się trzęsę.

Myślę, że umierać ze strachu- powiedziała kobieta.

- Takiegohuraganujeszczę nigdy tu nie być.

Jest pan jedynymgościem w hotelu.

Proszę wybaczyć, że przeszkadzam.

- Nie przeszkadzasz mi.

Zapalę światło, ale nie jestem ubrany.

- Ależ nie.

To nie jest konieczne.

Boję się być sama.

Proszępozwolić mi tu zostać dokońca burzy.

- Ależ oczywiście.

Możesz się położyć, jeśli chcesz.

Ja usiądę nakrześle.

- Nie, ja usiądę na krześle.

Gdziejest krzesło,senor?

Nie widzęgo.

Wstałem, odszukałem kobietę w ciemnościach i podprowadziłemją do fotela.

Trzęsącsię jak osika, powlokła się za mną.

Chciałempodejść do szafy i wziąć jakieś ubranie.

Ale potknąłem się o łóżkoiupadłem na wezglowie.

Szybko przykryłemsię prześcieradłem,abyta obca dziewczyna nie ujrzała mojej nagości w świetle nadchodzącejbłyskawicy.

Wkrótce potem rozległ się kolejny grzmot i zobaczyłem ją,siedzącą na krześle, zdeformowaną istotę w zbyt dużej koszuli nocnej,z garbem na plecach, rozczochraną, z długimi, owłosionymi rękami i krzywymi nogami, podobną do małpy chorej na gruźlicę.

Jej szerokootwarte oczy przepęłniał zwierzęcy strach.

- Nie bój się - powiedziałem.

- Wkrótce burza ustanie.

- Tak,tak.

Oparłem głowę napoduszce i leżałem spokojnie, mając niesamowite przeczucie, że mój szyderczychochlik spełniał właśnie mojeostatnie życzenie.

Chciałem całego hotelu dla siebie- miałem go.

Wymarzyłem sobie, że domojego pokoju przyjdzie kobieta - jak Rutdo Boaza - i kobieta przyszła.

Za każdymrazem, kiedy pojawiała siębłyskawica, nasze spojrzenia spotykałysię.

Wpatrywała się we mnie,milczącajak wiedźma wypowiadająca zaklęcie.

Bałem się tej kobietybardziej niż huraganu.

Raz tylkobyłem w Hawanie i stwierdziłem,że tam siły ciemności wciąż posiadają swą pradawną moc.

Nawetumarli nie spoczywaliw pokoju - wykopywano ichkości.

Nocamiślyszałemokrzyki kanibali i płacz dziewczic, których krwią skraplanoołtarze bałwochwalców.

Ona pochodziła stamtąd.

Chciałem wypowiedzieć słowa zaklęcia przeciwko szatanowi i modlić się do duchów, które podejmują ostateczne decyzje, aby ta wiedźma nie zawładnęła.

50

Coś wewnątrz mnie wykrzyknęło: Shaddai, zniszcz szatana.

Tymczasem uderzył piorun, morze ryknęło i wybuchło wodnistym śmiechem.

Ściany mojego pokoju stały się szkarłatne.

W diabelskim blasku zobaczyłem kubańską wiedźmę, która klęczała nisko, niczym zwierzę przykucnięte do skoku na swój łup - miała otwarte usta, ukazujące zepsute zęby, skołtunione włosy, czarno owłosione ręce i nogi, a stopy pokryte cyrakami i guzami.

Jej koszula nocna obsunęła się z ramion, a jej pomarszczone piersi zwisały jak puste worki.

Brakowało jej tylkopyśka i ogona.

Musiałem chyba zasnąć.

We śnie znalazłem się w mieście o stromych wąskich uliczkach, z zamkniętymi okiennicami, pograżonym w mrocznym świetle cienia, w ciszy Czarnego Szabasu.

Katolickie kondukty pogrzebowe bezustannie mijały mnie jeden za drugim, z krzyżami i trumnami, halabardami i płonącymi pochodniami.

Niesiono acmentarz nie jedne, ale mnóstwo zwłok - całe zniweczone plemię.

Płonęły kadzidła.

Żałobne głosy zawodziły pieśń najgłębszego smutku.

Nagle trumny zmieniły się, przybierając postać filakterii, czarnych i błyszczących, z pętelkami i rzemykami.

Podzieliły się nawiele rodzajów - trumny dla bliźniaków, trojczków, czworaczków, pięcioraczków.

Otworzyłem oczy.

Ktoś siedział na moim łóżku - Kubanka.

Zaczęła mówić swoim łamanym angielskim.

- Nie bój się.

Nie skrzywdzę cię.

Jestem człowiekiem, nie zwierzęciem.

Mam garbate plecy.

Alenie urodziłam się taka.

Spadłam zestołu, kiedy byłam dzieckiem.

Moja matka być zbyt biedna, aby mnie leczyć.

Mój ojciec, zły człowiek, stary pijak.

On zawsze chodził nazłe kobiety, a moja matka pracować w fabryce tytoniu.

Wykaszleć swe płuca.

Dlaczego się trzęsiesz?

Garb nie jest zaraźliwy.

Nie złapiesz go ode mnie.

Mam duszę jak wszyscy ludzie - mężczyźni mnie chcą.

Nawet mój szef.

On mi ufać i zostawiać mnie samą w tym hotelu.

Jesteś Żyd, co?

On też jest Żyd.

z Turcji.

Mówi po - jak to się nazywa?

- arabsku.

On poślubić niemiecką senora, ale ona jest nazistka.

Jej pierwszy mąż był nazista.

Ona przeklinać szefa i próbować go otruć.

Podał ją do sądu, ale sędzia jest po jej stronie.  
Myślę, że ona go przekupić - albo dać mu coś innego.  
Szef, on musi jej płacić - jak to się nazywa?

- alimenty.

- To, przede wszystkim, dlaczego się z nią ożenił?

- zapytałem, aby po prostu coś powiedzieć.

51.

- On ją kochać.

On jest prawdziwy mężczyzna, no wiesz, pełnokrwisty.

Tykiedyś kochałeś?

-Tak.

- A gdzie jest senora?

Ożeniłeś się z nią?

- Nie.

Zabili ją.

-Kto?

- Ci sami naziści.

-Ojej.

I zostałeś sam?

- Nie, mam żonę.

-Gdzie jest twoja żona?

- W Nowym Jorku.

-I jesteś jej wierny, co?

- Tak, jestem wierny.

-Zawsze?

- Zawsze.

-Raz można się zabawić.

- Nie, moja droga, chcę przeżyć swe życie uczciwie.

-A kogo obchodzi, co robisz.

Nikt nie widzieć.

- Bóg patrzy.

-No, jak mówisz o Bogu, to idę.

Ale jesteś kłamca.

Gdybym ja nie był kaleką, ty nie mówić o Bogu.

On karać za takie kłamstwa, tyś winio!

Splunęła na mnie, potem wstała z łóżka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Natychmiast się wytarłem, ale jej płwocina paliła mnie jak ogień.

W ciemnościach czułem, jak pulsują mi skronie, askóra swędziała mnie tak, jakby pijawki wysysały mi krew.

Poszedłem do łazienki, aby się umyć.

Zrobiłem kompres z mokrego ręcznika i przyłożyłem go do czoła.

Zapomniałem o huraganie.

Skończył się, a ja tego nawet nie zauważyłem.

Zasnąłem, a kiedy znów się obudziłem, było prawie południe.

Miałem zapchany nos, ściśnięte gardło i bolały mnie kolana.

Spuchła mi dolna warga i pojawiła się na niej febra.

Moje ubranie wciąż leżało na podłodze, zamoczone w ogromnej kałuży.

Owady, które skryły się w moim pokoju poprzedniej nocy, były teraz tylko plamami na ścianach.

Otworzyłem okno.

Powietrze było chłodne, choć wciąż wilgotne.

Niebo przybrało kolor jesiennej szarości, a morze miało barwę ołowiu i ledwo się kołysało pod swym własnym ciężarem.

Jakoś się zwlokłem i zszedłem nadół.

W recepcji



stała garbuska, blada, chuda, z włosami zaczesanymi do tyłu i błyskiem w czarnych oczach.

Miała na sobie modną bluzkę obszytą pończółką koronką.

Spojrzała na mnie szyderczo.

- Musi się pan wyprowadzić - rzekła.

- Szef zadzwonić i kazać

zamknąć hotel.

- Czy niema dla mnie listu?

- Nie ma nic.

- Poproszę o rachunek.

- Nie ma rachunku.

Kubanka spojrzała na mnie z ukosa - wiedźma, której nie wyszły nieczyste czary, milczący wspólnik otaczający mnie demonów oraz ich przebiegłych sztuczek.

53.

: , 'w;

Estera Kreindl Druga

W Biłgoraju mieszkał Meir Zysł, nauczyciel Talmudu.

Był to niski mężczyzna oszerokich ramionach i okrągłej twarzy.

Miał czarną brodę, rumiane policzki, wystające zęby i puszyste włosy, które opadały mu na ramiona.

Meir Zysł lubił dobrze zjeść, mógł wypić ćwiartkę wódki jednym haustem; lubił także śpiewać i tańczyć na weselach do białego rana.

Nie miał cierpliwości do uczenia, ale zamożni mieszkańcy wciąż posyłali do niego swoich synów na naukę.

Kiedy Meir Zysł miał trzydzieści sześć lat, zmarła jego żona, zostawiając go z szóstką dzieci.

Pół roku później ożenił się z wdową Rejce z Kraśnika, wysoką, szczupłą, małomówną kobietą z długim nosem i mnóstwem piegów.

Rejce była mleczarką, zanim poślubiła bogatego, siedemdziesięcioletniego reba Tanchuma Izhibitza, z którym miała jedną córkę, Simmele.

Przed śmiercią reba Tanchum zbankrutował i nie pozostawił swej żonie nic, oprócz ich jedyne go, ukochane go dziecka.

Simmele umiała pisać i potrafiła czytać Biblię w jidysz.

Kiedy ojciec wracał z podróży służbowych, zawsze przywoził jej prezenty - szal, fartuszek, bambosze, haftowaną chusteczkę, nową książkę z opowiadkami.

Simmele zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy i przeprowadziła się z matką do domu ojczyma w Biłgoraju.

Potomstwo Meira Zysła, cztery dziewczynki i dwóch chłopców, było chytrą zgrają obdartusów, zawadiaków, żarłoków i krzykaczy, speców od złośliwych kawałów, zawsze gotowych coś wyzłobaczyć lub ukraść.

Natychmiast zaatakowali Simmele, ograbili ją ze wszystkich jej skarbów i przezwali Panną Zarozumiałą.

Simmele była delikatna.

Miała wąską talię, długie nogi, pociągłą twarz, jasną cerę, czarne włosy, szare oczy.

Bała się psów na podwórku, wzdrygała się na widok rodziny,

54

której członkowie wyrzucali sobie wzajemnie jedzenie z talerzy, wstydziała się też rozbierać w obecności swych przyrodnych sióstr.

Wkrótce przestała rozmawiać z dziećmi Meira Zysła, nie nawiązała też żadnych przyjaźni z dziewczętami z sąsiedztwa.

Kiedy wychodziła na ulicę, iobuziaki rzucali w nią kamieniami i wołały na nią "Tchórzalska".

Simmele siedziała więc w domu, czytała książki i płakała.

Już od dzieciństwa Simmele lubiła słuchać opowieści.

Matka zawsze mogła ją w ten sposób uspokajać, a kiedy reba Tanchum jeszcze żył, codziennie opowiadał jej bajkę na dobranoc.

Temat do snucia prawdziwych opowieści przysparzała postać reba Zurecha

Lipowera, wielkiego przyjaciela reba Tanchuma, mieszkające go w Zamościu.

Reba Zurech znany był na pół Polski ze swego bogactwa.

Jego żona, Estera Kreindl, również wywodziła się z bogatego domu.

Simmele uwielbiała słuchać historii o tej słynnej rodzinie, ich bogactwie i dobrze urodzonych dzieciach.

Pewnego dnia Meir Zysł przyszedł do domu na obiad i przyniósł ze sobą wieść o śmierci żony Zurecha Lipowera.

Simmele otworzyła szeroko oczy.

Imię to wywołało w niej wspomnienia o Kraśniku, o jej zmarłym ojcu, o czasach, kiedy miała swój własny pokój, łóżko z dwiema poduszkami, atlasową kołderkę w haftowanej, lnianej poszewce, służącą, która podawała posiłki.

Teraz siedziała tu, w nie posprzątanym pokoju, w podartej sukiencei rozpadających się butach. We włosach miała pełno pierza.

Chodziła nie umyta i żyła w otoczeniu żłośliwych łobuziaków, którzy tylko czyhali, aby jej splatać figla.

Słyszając o śmierci Estery Kreindł, Simmele zakryła twarz rękoma i zapłakała.

Dziewczynka sama nie wiedziała, czy opłakuje los Estery Kreindł, czy też swój własny, czy szłocha z tego powodu, że rozpieszczana przez życie Estera Kreindł gnije teraz w grobie, czy też dlatego, że życie jej, Simmele, dobiegło smutnego końca.

2

Kiedy Simmele spała sama w swym łóżku, dzieci Meira Zysła dokuczały jej, więc Rejce często zabierała córkę do swojego łóżka.

Nie było to najlepsze rozwiązanie, gdyż Meir Zysł często chciał odwiedzać swą żonę, a wtedy Simmele, wiedząc dobrze, co robią dorośli, musiała udawać, że śpi.

55.

Pewnej nocy, kiedy Simmele spała w łóżku z matką, Meir Zysłwrócił pijany z jakiegoś wesela.

Podniósł śpiącą dziewczynkę i chciał ją przenieść na jej łóżko, ale zobaczył, że Rejce zostawiła tam stosmokrej bielizny.

Ponieważ bardzo pożałował swej żony, położył swą pasierbicę na piecu wśród szmat.

Simmele przysnęła.

Za jakiś czas obudziło ją chrapanie Meira Zysła.

Naciągnęła na siebie worek pomące, żeby nie zmarznąć.

Potem usłyszała szeleszczący dźwięk, jakby ktoś drapał po desce.

Uniosła głowę i ku swemu zdumieniu ujrzała jasną plamę światła na sąsiedniej ścianie.

Okiennice były zamknięte, ogień w piecu już dawno wygasł, wszystkie lampy były pogaszone.

Skąd więc to światło?

W miarę jak Simmele się przyglądała, jasność zaczęła migotać i drżeć, a kręgi światła zaczęły się zlewać ze sobą.

Oszołomiona Simmele zapomniała o strachu.

I tak oto zaczęła się materializować postać kobiety: najpierw czoło, potem oczy, nos, broda, szyja.

Kobieta otworzyła usta i zaczęła mówić, a jej słowa brzmiały tak, jak gdyby pochodziły prosto z żydowskiej Biblii.

- Simmele, moja córeczko - rzekł głos - chcę, abyś wiedziała, że jestem Esterą Kreindł, żoną reba Zurecha Lipowera.

Rzadko się zdarza, by umarli przerywaliswój sen, ale ponieważ mój mąż tęskni za mną bezustannie dzień i noc, nie mogę spoczywać w pokoju.

Mimo że już minęło trzydzieści dni żałoby, on wciąż rozpacza i nie może o mnie zapomnieć.

Gdybym mogła odrzucić śmierć, z radością bym powstała i wróciła do niego.

Ale moje ciało zakopano siedem stóp pod ziemią, a robaki już wyżarły mi oczy.

Dlatego też ja, duch Estery Kreindł, otrzymałam zgodę na znalezienie dla siebie innego ciała.

A ponieważ twój ojciec, reb Tanchum, był jak brat dla mojego Zurecha, to wybrałam ciebie, Simmele.

Nie jesteś dla mnie nikim obcym, lecz prawie kimś z rodziny.

Simmele, wkrótce wstąpię w twe ciało i staniesz się mną.

Nie obawiaj się, nic złego cię nie spotka.

Rano wstań, nałóż chustkę na głowę i opowiedz twojej rodzinie i mieszkańcom miasta o tym, co się zdarzyło.

Podli ludzie będą cię oskarżać i zaprzeczać twym słowom, ale ja cię ochronię.

Zważ na to, co mówię, Simmele, bo musisz czynić wszystko, co ci każę.

Jedź do Zamościa, do mego pogrążonego rozpaczy męża i bądź jego żoną.

Bądź mu posłuszna i służ mu wiernie, jak ja to czyniłam przez czterdzieści lat.

Zurech na początek może nie wierzyć, że wróciłam do niego, ale dam ci znaki, którymi go przekonasz.

Nie wolności zwlekać, bo, nie daj Boże, wkrótce tęsknota że reba Zurechai może być za późno.

Jeśli Bóg zechce, kiedy nadejdzie czas twojej śmierci, ty i ja będziemy podnózkami Zurecha w Raju.

56

Prawą stopę będzie opierał na mnie, a lewą na tobie.

Będziemy jak Rachela i Lea.

Moje dzieci będą twoimi dziećmi.

Będzie tak, jakby wydało twoje własne łono.

Estera Kreindł mówiła dalej, opowiadając Simmele o wszystkich intymnych sprawach, które tylko ona może znać.

Skończyła dopiero paniem koguta, kiedy przez szpary w okiennicach było już widać poświatę księżyca.

Potem Simmele poczuła coś ciężkiego, jakby ziarenko grochu dostało się do jej do nozdrzy i chciało się wedrzeć do czaszki.

Przez chwilę bolała ją głowa, ale potem ból ustał i poczuła, jak wyciągają się jej ręce i stopy, jak rośnie brzuch i dojrzewają piersi.

Jej umysł również stał się dojrzały, jej myśli były już myślami żony, matki, babki, kobiety, która jest przyzwyczajona do zarządzania wielkim domem, służącymi, lokajami, kucharzami.

Wszystko było zbyt

piękne.

- W Twoje ręce składam ducha mego - wyszeptowała Simmele.

Wkrótce zasnęła i natychmiast Estera Kreindł pojawiła się w jej śnie, została z nią, dopóki Simmele nie otworzyła rano oczu.

3 "

Delikatna Simmele zwykle spała bardzo długo, ale tamtego ranka obudziła się o tej samej porze, co reszta rodziny.

Jej przyrodnie rodzeństwo, widząc ją na piecu, przykrytą workiem, zaczęło się śmiać, opryskiwać ją wodą i łaskotać wpiętymi żdźbłami słomy.

Rejce odgoniła ich.

Simmele usiadła i uśmiechała się dobrotliwie, po czym zmówiła "Dzięki Ci, Boże".

I chociaż nie jest w zwyczaju, aby młodej dziewczynie podawano do łóżka dzban wody do ablucji porannych, Simmele poprosiła matkę o wodę i miednicę.

Rejce wzruszyła ramionami.

Kiedy Simmele się ubrała, Rejce podała jej kromkę chleba i kubek kawy zbożowej.

Simmele powiedziała, że najpierw chce się pomodlić, po czym wyjęła świętą chustę i nakryła nią głowę.

Meir Zysław zdumieni obserwował zachowanie pasierbicy.

Simmele modliła się 2 modlitewnikami, pochylała głowę i biła się w piersi, a po słowach "Onczyń pokój na wysokości" zrobiła trzy kroki do tyłu.

Potem, przed posiłkiem, obmyła dłonie aż po nadgarstki i odmówiła błogosławieństwo.

Dzieciaki otoczyły ją kołem, robiąc miny i przedrzeźniając, ale ona tylko się uśmiechała w matczyne sposoby i wołała:

57.

- Dzieci, proszę, dajcie mi się pomodlić.

Pocałowała najmłodszą dziewczynkę w czoło, uszczypnęła najmłodszego chłopca w policzek, a starszemu wytarła nos swoim fartuszkiem.

Rejce patrzyła w osłupieniu.

Meir Zysł podrapał się w głowę i rzekł:

- Cóżto zasztuczki?

Ledwo poznaje tę dziewczynę.

- Wydorosła przez noc - powiedziała Rejce.

-Dygodcze jak ŚwiętaJentł - zakpił najstarszy z chłopców.

- Simmele, co się dzieje?

- spytałaRejce.

Dziewczynka nie odpowiedziała natychmiast, tylko powoli przeżuwała chleb.

Takie spokojnej rozważne działanie nie leżało w jej naturze.

Kiedy przełknęła ostatni kęs, rzekła:

- Już nie jestem Simmele.

-A więc kim jesteś?

-zapytał ją Meir Zysł.

- Jestem Esterą Kreindł, żoną reb Zurecha Lipowera.

Jej dusza wstąpiła w me ciało wczorajszej nocy.

Zawieźcie mnie do Zamościa,

do mojego męża i dzieci.

Mój dom jest zaniedbany.

Zurech mnie nie potrzebuje.

Starsze dzieci wybuchnęły śmiechem, młodsze gapiły się na nią.

Rejce zbladła.

Meir Zysł chwycił się zabrodę i rzekł:

- Dybuk zawładnął dziewczyną.

-Nie, to nie dybuk wstąpił we mnie, lecz święta dusza Estery Kreindł.

Nie mogła pozostać w grobie, ponieważ jej mąż, Zurech Lipower, umiera z żalu.

Jego interesy są wopłakanym stanie, a zasoby pieniężne kurczą się z dnia na dzień.

Zwierzyła mi się ze wszystkich

swoich sekretów.

Jeśli mi nie wierzycie, mogę wam przedstawić dowody.

I Simmele zaczęła powtarzać niektóre z tych rzeczy, jakie Esterą Kreindł powierzyła jej w tajemnicę i na jawie.

Im dłużej matka Simmelei Meir Zysł słuchali dziewczynki, tym większe było ich zdumienie.

Słowa Simmele, zwroty, którymi używała, a także jej sposób bycia - wszystko sprawiało wrażenie, że jest to wypowiedź doświadczonej kobiety, przyzwyczajonej do prowadzenia interesów i dużego domu.

Mówiła o sprawach, których na pewno nie mógł znać ktoś tak młody jak Simmele.

Opisała ostatnie stadium choroby Estery Kreindł, opowiedziała im, jak to lekarze pogorszyli jej stan tabletkami i balsamami i wykończyli ją bańkami i pijawkami.

Wkrótce sąsiedzi doszli do wniosku, że dzieje się coś dziwnego, gdyż - jak to jest w zwyczaju mieszkańców małego miasta - podłuszczyli

chiwalipod drzwiami i zaglądali przez dziurki do klucza.

Historia rozniosła się i przed domem Meira Zysła zaczęły zbierać się tłumy.

Kiedy rabin usłyszał o tym, co się zdarzyło, nakazał, aby przyprawiono dziewczynę przed jego oblicze.

W izbie rabina zebrała się rada starszych wraz z najbardziej czcigodnymi matronami gminy.

Po przybyciu Simmele żona rabin zamknęła drzwi na łańcuch i rozpoczęło się przesłuchanie. Trzeba było wykryć, czy dziewczyna próbuje ich szukać, czy też opętał ją diabeł albo jeden z tych zuchwałych demonów, które chcą przechytryć i podstępnie doprowadzić prawych ludzi do zguby.

Po kilku godzinach wypytywania wszyscy, byli przekonani, że Simmelemówi prawdę. Każdy z nich znał kiedyś Esterę Kreindl, a Simmele nie tylko mówiła w identyczny sposób jak nieboszczka, ale również czyniła takie same gesty, uśmiechała się, oburzała i ocierała czoło chusteczką tak samo jak ona.

Jej sposób bycia z pewnością był typowy dla kogoś, kto zawsze żył w dostatku.

Ponadto gdyby dziewczyną zawałdął zły duch, jej mowa stałaby się wyniosła, natomiast Simmele była pełna szacunku i odpowiadała na wszystkie pytania uprzejmie i rozsądnie.

Wkrótce mężczyźni zaczęli szarpać się za brody; kobiety załamywały ręce, poprawiały czepki i wyglądały swe fartuszki.

Członkowie Towarzystwa Pogrzebowego, którzy są zazwyczaj twardzi i nie okazują swych uczuć, teraz ocierali łzy z oczu.

Nawet ślepiec by zauważył, że dusza Estery Kreindl powróciła na ziemię.

W trakcie przesłuchania furman Zejnwl zaprzął konia do swego powozu i wraz z kilkoma świadkami zdarzenia pogalopował do Zamościa z wieściami dla Reb Zurecha Lipowera.

Ten kazał woźnicy przygotować czterokonny powóz i ruszył w drogę z synem i dwiema córkami.

Woźnica nie szczędził bata.

Droga była sucha, konie pędziły galopem, toteż jeszcze przed zapadnięciem nocy Zurech Lipower i jego rodzina dotarli do Biłgoraja.

Simmele pozostała w domu rabin, a żona rabin opiekowała się nią, pragnąc uchronić ją przed ciekawskimi.

Dziewczyna siedziała w kuchni i robiła na drutach, czego - jak zaklinała się Rejce - nigdy przedtem nie umiała.

Simmele przywoływała w pamięci obecnych dawno już zapomniane zdarzenia:

surowe zimy sprzed trzydziestu lat, fale upałów, które następowały po Kuczach, śnieg w środku lata, wiatry, które łamały skrzydła wiatraków, grad, który rozbijał dachy w drobny mak, ulewy, podczas których na ziemię spadały ryby i żaby.

Rozprawiała też na temat pieczenia mięsa i ciast, o chorobach, które grożą ciężarnym kobietom, opisywała obrządki towarzyszące współżyciu małżeńskiemu i menstruacji.

Oszołomione kobiety siedziały w kuchni nie odzywając się.  
Miaływrażenie, że przemawiają do nichzwłoki.  
Nagle rozległ sięstukot kółipojazd reb Zurecha wtoczył się na podwórze.  
KiedyZurech przekroczyłpróg,Simmeleodłożyła robótkę, wstałai rzekła:

- Zurech, wróciłam.

Kobiety wybuchnęły płaczem.

Zurechstanął jak zamurowany.

Wypytywanie zaczęło się od nowa i skończyło dopiero po północy.

Później pojawiło się tyle sprzecznych relacji o tym, co zostało powiedziane, że ludzie prowadzili ze sobą długotrwałe spory.

Ale odsamego początku wszyscy byli zgodni codotego, że kobieta,którapowitałaZurecha, nie może byćnikim innym, lecz tylko Esterą Kreindł.

Wkrótce Zurech rozplakał się głosem rozdzierającym serce.

SynZurecha nazwał Simmele matką.

Córki nie poddały się tak łatwo i usiłowały dowieść, że Simmele jest kłamczuchą, którąpragnie przejąć przywileje ichmatki.

Stopniowojednak i one doszły downiosku, że sprawa nie jest taka prosta.

Najpierw umilkła młodsza córka, potem zwiesiła głowę starsza.

Zanim nastał świt, obie córki wyszeptaly słowo, którego unikały przez całą noc: Mamo!

4

Zgodnie z prawem, ZurechLipower mógł natychmiast poślubićSimmele, ale rebZurech miał jeszcze jedną córkę, BinęHodł, którauparcie nie dawała się przekonać.

Utrzymywała, że Simmele mogłasię dowiedzieć wszystkiego o Esterze Kreindł od swoichwłasnychrodziców lub od jakiejśsłużącej, której Esterą Kreindł kiedyś wymówiłasużbę.

Albo też jest wiedźmą lub zawarła pakt z diabłem.

Bina Hodłnie była odosobniona w swych podejrzeniach.

W Zamościu mieszkało sporo wdów i rozwódek, które uważałyreb Zurechaza dobrąpartię. Żadna z nich nie miała najmniejszego zamiaru patrzećspokojnie na to, jak Simmele zabiera im Zurechasprzed nosa, więc chodziły po mieście głosząc, że to cwana sztuka, rozpustna intrygantka, świnia, usiłująca wepchnąć swój ryj do cudzego ogródka.

Kiedyrabin Zamościa usłyszał o Simmele, nakazał jej stawić się przednimna przesłuchanie.

Nagle mieszkańcy Zamościa podzielili się na dwiegrupy.

Zamożni, uczeni oraz plotkarze o ostrychjęzykach podważalizeznanie Simmele i chcieli, żeby została dokładnie przeegzaminowana.

60

Sąsiedzi i przyjaciele Estery Kreindł również pragnęli zadać dziewczynie kilka pytań.

Kiedy doRejce doszły słuchy otym, jaksię mająsprawy w Zamościu i jak jejcórka może zostać potraktowana, z oburzeniem powiedziała, że nie życzy sobie, aby jej dziecka robiono publiczną atrakcję, i oznajmiła wszystkim, że Simmele wcale niejest zainteresowana bogactwem reb Zurecha Lipowera.

Ale Meir Zysł miał inne plany.

Byłmęczony nauczaniem dzieci i od dawna już chciał przeprowadzić siędo

Zamościa, ponieważ było to miastodużo większe i weselsze odBiłgoraja, pełne bogatych ludzi, wesolej młodzieży, ładnych kobiet, zajazdów i winiarni.

Meir Zysł przekonał Rejce, aby pozwoliłamu zabrać Simmele do Zamościa.

Zdażył już wziąć pewną kwotę od ZurechaLipowera.

W Zamościu, przed domem rabina, zebrał się tłum ludzi, którzychcieli zobaczyć przyjazd Simmele zMeirem Zysłem.



Meir Zysł oraz ci, którzy trzymali jego stronę, dopilnowali, aby zgromadzili się tam wyłącznie najbardziej wpływowi obywatele.

Simmele miała na sobie odświętną suknię Rejce oraz jedwabną chustę na głowie.

W ostatnie tygodnie urosła, zaokrągliła się i wydołała.

Atakowana pytaniami ze wszystkich stron, odpowiadała tak wytwornie i kulturalnie, że w końcu zamilkli nawet ci, którzy przybyli, aby z niej szydzić.

Sama Esterą Kreindł nieudzieliłaby lepszych odpowiedzi.

Na początku zadawano jej wiele pytań na temat życia po śmierci.

Simmele opowiedziała o swojej agonii, o oczyszczeniu jej ciała i o pogrzebie.

Opisałam, jak Anioł Dumach zbliżył się do jej grobu ze swym ognistym mieczem i zapytał ją, jak ma na imię.

Potem opowiadała, jak złe duchy upiory usiłowały się do niej zbliżyć i jak się uratowała dzięki temu, że jej pobożni synowie zmówili kadysz.

Na Sądzie Niebieskim ważona wadze jej dobre uczynki i grzechy.

Szatan knuł przeciwko niej, ale bronili jej święci aniołowie.

Opowiedziała wszystkim o swym spotkaniu z rodzicami, dziadkami, pradziadkami oraz innymi duszami, które oddawna już mieszkały w Raju.

W drodze do Najwyższego Sędziego pozwolono jej zajrzeć przez okno do Gehenny.

Kiedy opowiadała o okrucieństwach Gehenny, ołożach tortur, śnieżnych zaspach rozżarzonych węglach, w których trzymano grzeszników, o rozpalonych do czerwoności hakach, na których wisieli niegodziwcy, zaciępieni o języki lub żebra, zgromadzeni mieszkańcy wzdychali.

Drżelinawet szyderycy i zatwardziali grzesznicy.

Simmele wymieniła z nazwiska wielu zmarłych mieszkańców Zamościa, którzy odbywali swe kary:

niektórzy byli zanurzeni w beczkach z wrzącą smołą, innych zmuszano do zbierania drewna na własne stosy, jeszcze innych kasały węże albo pożerały żmije i jeże.

Do kogośobcego nigdy bynie dotarływieście tych ludziach ani o ich występkach.

Następnie Simmele opisała diamentowe kolumny Raju, pomiędzyktórymina złotych tronach siedzą sprawiedliwi.

Na głowach mają korony.

Ucztują, spożywając Lewiatana i Dzikiego Woła zwanego "SzorHabor", popijając wino, które Bóg zachowuje dla swych wybrańców.

W tym samym czasie anioły odkrywają przednimi tajemnice Tory.

Simmele wyjaśniła, że żonyprawych mężów wcale nie służą im zapodnóżki.

Świętekobiety zasiadają raczej u ich boku, na tronach,które są nieco niższe niż trony dla mężczyzn.

Kobiety z Zamościa,uradowane tą wiadomością, zaczęły śmiać się wznosić okrzyki.

RebZurechLipower zakrył swą twarz rękoma, a łzy spływały mu po brodzie.

Po przesłuchaniu u rabina zabrano Simmele dodomureb Zurecha, gdzie zgromadzili się jegosąsiedzi, krewni i dzieci.

Tam znów jazyasypano pytaniami, tym razemdotyczącymi przyjaciół Estery Kreindł, kupców i służących.

Simmele wiedziała owszystkim ipamiętała każdego.

Córki reb Zurechawskazywały palcami szuflady w szafach kredensach, aSimmele po koleiwymieniała, co igdzie się znajduje.

Powiedziała, że Zurech kupiłjej w prezencie w Lipsku ten haftowanyobrus; natomiast pudełko na kadzidło przywiózłjej z targów w Pradze.

Zwracała się do starszych kobiet, rówieśnic Estery Kreindł, jakbyznała je od wielu lat.

- Trejna, czy wciąż mężczy cię zgagapo jedzeniu?

Riwa Guta, czy zagoił ci się czyrak na lewej piersi?

I po przyjacielsku przekomarzała się z córkami reb Zurecha, pytając jedną:

- Czy wciąż nie znosisz rzodkiewek?

- i mówiąc do drugiej:

- Czy pamiętasz, jak zaprowadziłam ciędo doktora Paleckiego, a ty się przestraszyłaś świni?

Powtórzyła, o czym rozmawiały kobiety z Towarzystwa Pogrzebowego, które obmywały jej zwłoki.

Kiedy zaspokoila pierwszą ciekawość zebranych, powtórzyła, że tęsknotaję męża Zurecha nie pozwoliłaję spoczywaćw pokoju i że Pan Stworzenia, litując się nadZurechem, przysłał ją z powrotem na ziemię.

Powiedziała również, że kiedy Zurechumrze, ona też odejdziez tego świata, ponieważ jej czas

62

już się skończył, a teraz żyje tylko dla niego.

Nikt nie potraktowałtego poważnie, ponieważ wyglądała młodo i zdrowo.

'

Mieszkańcy Zamościa sądzili, że przesłuchiwanie Simmele potrwa wiele dni, ale większość spośród tych, którzy zadawali jej pytania u rabina, a później w domu reb Zurecha, bardzo szybko przekonała się, że była ona prawdziwym wcieleniem Estery Kreindł.

Nawet kotrozpoznałswą dawnąpanią, miaucząc radośnie naję widok i ocierającswój łebek o jej nogi.

Pod koniec dnia jedynie kilka osób miało jeszcze wątpliwości.

Przyjaciele Estery Kreindł obsypali Simmele pocałunkami, wszystkie córki Zurecha, z wyjątkiem Biny Hodł, popłakując obejmowały swą matkę.

Jego synowie przyjęli ją z szacunkiem, wnukicałowały jej dłonie.

Nikt nie zwracał uwagi na niedowiarków.

Reb Zurech Lipower i Meir Zysł ustalili datę ślubu.

Wesele było huczne, bo choć dusza należała do Estery Kreindl, panna młoda była dziewczicą.

5

Estera Kreindl powróciła.

Wciąż jednak zarówno Zurech, jak i mieszkańcy miasta nie mogli wprost uwierzyć, że zdarzył się taki cud.

Kiedy Estera Kreindl Druga szła na targ ze swą służącą, dziewczęta zerkały na nią z okien, a te, które szły ulicą, przystawały, aby jej się przyjrzeć.

W wolne popołudnia w czasie Paschy i Kuczek młodzież ze wszystkich stron zjeżdżała do Zamościa, aby zobaczyć kobietę, która powróciła zza świątów.

Tłumy gromadziły się przed wejściem do domu reb Zurecha, tak że w obawie przed natrętemi trzeba było zamykać drzwi na łańcuch.

Sam Zurech Lipower chodził jak w transie, a jego dzieci nawidok z martwych powstałej matki oblewały się rumieńcem i zaczynały się jąkać.

Miejscowi sceptycy bezustannie powracali do tematu, nazywając Zurecha starym satyrem.

Twierdzili, że to on sam zorganizował wraz z Rejce cały ten cud, i zastanawiali się, ile jej zapłacił za młodą córkę - niektórzy mówili, że aż tysiąc guldenów.

Pewnej nocy dwóch dowcipnisiów potajemnie oparło drabinę o ścianę domu Zurecha i podglądał przez okiennice, co się dzieje w jego sypialni.

Później w karczmie opowiadali, jak to Estera Kreindl Druga odmówiła modlitwy, przyniosła dzban z wodą do porannych ablucji, po czym zdjęła Zurechowi

63.

buty, połaskotała go w podeszwy stóp, a on lubieżnie pociągał ją zakoniuszek ucha. Nawet chrześcijanie dyskutowali na temat swej winiarni, a kilku z nich przewidywało, że sąd zajmie się tą sprawą zostanie wytoczony proces oszustce, która najprawdopodobniej jest świadczą sprzymierzoną z Lucyferem.

Przez wiele miesięcy młoda para spędzała noce na rozmowach. Zurech nieustannie wypytywał Esterę Kreindl o jej odejście z tego świata i o to, co zobaczyła po śmierci.

Wciąż poszukiwał niezbitych dowodów na to, iż jest ona osobą, za którą się podaje. Wielokrotnie opisywał niepokoje, jakie goniły ją, kiedy leżała chora i umierająca, oraz rozpacz, jaką odczuwał podczas sztywności i trzydziestu dni żałoby.

Estera Kreindl zaklinała się, żęteknęła za nim, spoczywając w grobie, że jego katusze nie dawały jej spokoju i że kiedy udała się przed Tron Chwały, aby błagać o rozgrzeszenie, cherubiny wychwalały jej dobroć, a demony rzucały na nią oskarżenia.

Wciąż dodawała nowe szczegóły dotyczące jej, spotkań ze zmarłymi krewnymi, opisywała przygody, jakie im się przytrafiły w grobach, w Tofecie, a później w Rajskim Ogrodzie. Nastawa!

świt, a oni wciąż rozmawiali.

Kiedy Estera Kreindl zażywała kąpiele rytualnych, Zurech przychodził do niej w nocy i zaklinał się, że jej ciało jest dużo piękniejsze, niż było, nawet w pierwszych tygodniach ich pierwszego małżeństwa.

Powiedział jej:

- A może ja również umrę i pojawię się ponownie jako młody mężczyzna?

Estera Kreindl zbesztła go czule, zapewniła, że kocha go bardziej, niż mogłaby kiedykolwiek kochać młodzieńca, a jedynym jej pragnieniem jest to, aby dożył stu dwudziestu lat.

Stopniowo wszyscy przyzwyczaili się do tej sytuacji.

Wkrótce po ślubie Rejce oraz jej pasierbowie przeprowadzili się do Zamościa i zamieszkali w domu, który Reb Zurech ofiarował im w prezencie.

Wprowadził również Meira Zysła w swoje interesy i uczynił go odpowiedzialnym za udzielanie kredytów miejscowej szlachcie.

Chłopcy Meira Zysła, którzy jeszcze nie tak dawno bili, kopali i opluwali Simmele, teraz przychodzili do Estery Kreindl z życzeniami udanego szabasu, a ona podejmowała ich migdałowym ciastem i winem.

Wkrótce wszyscy zapomnieli o imieniu Simmele.

Nawet Rejce nie nazywała już swojej córki w ten sposób.

Estera Kreindl miała prawie sześćdziesiąt lat, kiedy zmarła, więc Simmele traktowała teraz Rejce jak jedną z swoich córek.

Dziwnie to brzmiało, kiedy młodsza kobieta nazywała

64

Rejce swą córką i udzielała jej rad dotyczących wypieków, gotowania i wychowywania dzieci.

Estera Kreindl Druga, podobnie jak pierwsza, miała talent do interesów i jej mąż, Zurech, nie podejmował bez porozumienia z nią żadnej decyzji.

Również w gminie Estera Kreindl Druga zajęła pozycję pierwszej.

Zapraszano ją, aby prowadziła panny młode do synagogi, była honorowaną matroną na weselach oraz podawała dzieci do ceremonii obrzezania.

Zresztą zachowywała się tak, jakby od wielu lat przywykła do przyjmowania takich zaszczytów.

Na początku młode kobiety starały się ją zaprzyjaźnić, ale traktowała je tak, jakby należały do innego pokolenia.

Naślubie ludzie przepowiadali, że wkrótce Estera Kreindł Druga zajdzie w ciążę, ale kiedy minęło kilka lat, a ona w ciąży nie zachodziła, wszyscy zaczęli zauważać, że Estera Kreindł, która powróciła z grobu, przedwcześnie się starzeje, jej ciało się kurczy, a skóra staje się sucha.

Ponadto ubierała się jak stara kobieta.

Kiedy wychodziła, nakładała na siebie pelerynę z podwyższonymi ramionami i zawiązywała pod brodą czepek.

Często nosiła obszerne bluzki i sutomarszczone spodnice z długim trenem.

Codziennie rano zachodziła do kobiecej części synagogi, mając przy sobie modlitewnik z pozłocanymi brzegami i księgi z suplikacjami.

W przeddzień nowiu pościła i uczestniczyła w modlitwach, na których zbierały się tylko stare kobiety.

W miesiącach e/u/ inisan, kiedy zwyczaj nakazuje odwiedzać groby najbliższych, Estera Kreindł Druga chodziła na cmentarz i rzucała się na grób pierwszej Estery Kreindł, szlochając i błagając o

przebaczenie.

Wyglądało to tak, jakby pochowane zwłoki powstały z grobu, aby się oplakiwać i wychwalać swe własne zasługi.

Mijały lata i Zurech stawał się coraz bardziej stary i słaby.

Narzekał na bóle żołądka i dokuczały mu stopy.

Kiedy przestał doglądać swego interesu, spędzał cały dzień w fotelu na lekturze.

Estera Kreindł podawała mu jedzenie i lekarstwa.

Czasami bawiła się z nim w kotka i myszkę, a nawet grała z nim w karty.

Innym razem czytała mu na głos.

Zajęła się również prowadzeniem interesów, ponieważ synowie Zurecha byli leniwi i nieudolni.

Codziennie dawała mu sprawozdanie z tego, co się wydarzyło.

Mąż i żona rozmawiali o dawnych czasach, jakby naprawdę byli w tym samym wieku.

Przypominał jej ich problemy, kiedy dziećmi były jeszcze małe.

Wspominali rodzinne zmartwienia i kłopoty w interesach: zwierzycielami, szlachtą, konkurencją.

Estera Kreindł znała i pamiętała wszystkie szczegóły.

Często przypominała mu o sprawach, o których zdążył już zapomnieć.

Zdarzało się, że godzinami siedzieli w milczeniu, Estera Kreindł robiła

skarpety na drutach, a Zurech Lipower wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

Estera Kreindł Druga coraz bardziej przypominała wyglądem pierwszą: miała duży biust, zmarszczki i fałdy na twarzy, worki podoczyma.

Podobnie jak poprzednia Estera Kreindł, nosiła okulary naczubku nosa, drapała się w ucho drutem do robótek, pokrzepiała się wisińowym winem i dżemem, mrużąc do siebie albo do kota.

Nawet jej zapach - woń czystego płótna i lawendy - był taki sam jak pierwszej Estery Kreindł. Kiedy zaprzestała zażywania kąpieli rytualnych, wszyscy wywnioskowali, że przechodzi menopauzę.

Nawet Rejce, jej własna matka, nie rozpoznawała w niej dawnej Simmele.

Niektóre rówieśnice pierwszej Estery Kreindł uważały, że nie tylko dusza ich przyjaciółki wróciła z za grobu, ale również ciało.

Szewc twierdził, że martwych wstała kobieta ma takie same stopy jak żywa.

Na szyi drugiej pojawiła się kurczajka - dokładnie w tym samym miejscu, gdzie miała ją jej poprzedniczka.

Niektórzy mieszkańcy Zamościa mówili, że gdyby otwarto grób Estery Kreindł - broń Boże, by ktokolwiek się odważył na takie świętokradztwo - to znaleziono by w nim zwłoki Simmele, a nie Estery Kreindł.

Ponieważ kobieta nie jest w stanie całkowicie zastąpić mężczyzny, sporą część odpowiedzialności za prowadzenie interesów Zurecha Lipowera wziął na siebie Meir Zysł. Dawny nauczyciel Talmudu zaczął wydawać pieniądze na prawo i lewo.

Wstawał późno, pił wino ze srebrnego pucharu, a nawet zaczął palić fajkę z bursztynowym cybuchem.

Reb Zurech zawsze się kłaniał i uchylał kapelusza, kiedy spotykał dziedziców, ale Meir Zysł starał się im dorównać.

Nosił szlacheckie stroje ze srebrnymi guzikami, nakładał czapę z soboli, ozdobioną piórem, jadał ze szlachtą, a nawet chodził z nimi na polowania.

Kiedy był stawiony, rzucał chłopom monety.

Wysłał swych synów na studia do Włoch, a córki wydał za mąż za bogatych młodzieńców z Czech.

Wkrótce chrześcijanie zamojscy zwracali się do niego per pan.

Estera Kreindł wyrzucała mu jego zachowanie, mówiła, że Żyd nie powinien zażywać ziemskich przyjemności, że wzbudza to zazdrość chrześcijan, a także, że trwoni majątek. Jednak do Meira Zysła nic nie docierało.

Nadszedł czas, kiedy przestał chodzić do sypialni Rejce.

Plotki głosiły, że miał romans z hrabiną Zamoyską.

Wybuchł też skandal związany z kobietą lekkich obyczajów.

Meir Zysł stoczył pojedynek z pewnym szlachcicem, którego zranił w udo.

W końcu Meir Zysł przestał przychodzić do synagogi, z wyjątkiem wielkich świąt.

Stan zdrowia reb Zurecha coraz bardziej się pogarszał.

Ostatni stadium jego choroby było uciążliwej przewlekle.

Estera Kreindł spędziła

dużo nocy u boku swego męża.

Nie chciała, aby doglądał go ktokolwiek inny.

Kiedy umarł, rzuciła się w rozpacz na jego zwłoki, nie chciała pozwolić, aby go od niej zabrano.

Ludzie z Towarzystwa Pogrzebowego musieli odciągać ją siłą.

Po pogrzebie Estera Kreindł wróciła do domu wraz z synami i córkami Zurecha, z którymi przez siedem dni opłakiwała męża.

Ponieważ Zurech zmarł w bardzo podeszłym wieku, jego dzieci zdjęły obuwie, usiadły na taboretach i zaczęły paplać oprzyjemnych sprawach.  
Często padały słowa odnoszące się do jego testamentu.  
Wszyscy wiedzieli, że sporządził testament, lecz nikt nie znał jego treści.  
Przypuszczali, że Zurech zapisał swoją żonę majątek, już byli gotowi się z nią targować.  
Ci sami mężczyźni i te same kobiety, którzy przez całe lata nazywali Esterę Kreindł  
Drugą matką, teraz unikali jej wzroku.  
Ester Kreindł wzięła swoją Biblię i otworzyła ją na Księdze Hioba.  
Roniąc łzy, odczytała na głos słowa Hioba i jego przyjaciół.  
Bina Hodł, która ani razu nie zapłakała nad umierającym ojcem, wyszeptała na tyle głośno swoje słowa, że wszyscy usłyszeli: - Świętokradztwo.  
Ester Kreindł zamknęła Biblię i powstała z miejsca.  
- Dzieci, chcę się z wami pożegnać.  
- Wychodzisz gdzieś?  
- zapytała Bina Hodł, unosząc brwi.  
- Dzisiejszą noc spędzę z twoim ojcem - odparła Ester Kreindł.  
- A jutrzejszą?  
- docięła jej Bina Hodł.  
Tego wieczoru Ester Kreindł ledwo tknęła jedzenie na swoim talerzu.  
Potem stanęła przy wschodniej ścianie.  
Schyliła głowę, uderzyła się w piersi i wyznała grzechy, jakby to było Jom Kippur.  
Rejce zmywała naczynia w kuchni.  
Meir Zysł poszedł na bal.  
Kiedy Ester Kreindł skończyła, udała się do sypialni i kazała służącej pościelić łóżko.  
Służąca była temu przeciwna, mruczała, że pani powinna spać gdzie indziej.  
W tym pokoju zmarł przeciepan.  
Jeszcze nie wygasł knotniczka, a na stoliku nocnym stała tradycyjna szklanka wody z  
linianą ściereczką w środku, którą miała się obmyć dusza zmarłego.  
Któż miałby odwagę spędzić noc w pomieszczeniu, z którego dopiero co wyniesiono zwłoki?  
Ale Ester Kreindł kazała służącej spełnić polecenie.  
Ester Kreindł rozebrała się.  
Kiedy tylko wyciągnęła się na łóżku, jej twarz momentalnie zaczęła się zmieniać, aż stała się  
pożółkła i zapadnięta.  
Służąca pobiegła, aby zwołać rodzinę.  
Posłano po doktora.  
Ci, którzy widzieli umierającą Esterę Kreindł, zaklinali się później, że wyglądała dokładnie tak  
samo jak pierwsza Ester Kreindł w agonii.  
Jej oczy pozostały otwarte, ale były zamglone i nie widzące.  
Mówiono

do niej, ale nie odpowiadała.

Łyżka rosółu, którą jej wiano do ust, wyciekła.

Nagle wydała z siebie ostatnie tchnienie i jej dusza opuściła ciało.

Bina Hodł rzuciła się do stóp łóżka, wołając:

- Moja dobra matka.

Moja świętamatka!

Odbył się ogromny pogrzeb.

Estera Kreindł Druga została pochowana obok pierwszej.

Najbardziej czcigodna kobieta w mieście uszyła jej całun.

Rabin wygłosił mowę żałobną na jej cześć.

Kiedy uroczystości pogrzebowe dobiegły końca, Meir Zysł przedstawił rabinowi dwa testamenty.

W jednym z nich reb Zurech zapisał swojej żonie czwartą część swego majątku, w drugim Estera Kreindł przeznaczyła jedną trzecią swego spadku na cele charytatywne, a pozostałe dwie trzecie zapisała Rejce i jej dzieciom.

Meir Zysł miał być wykonawcą testamentu.

Niewiele miesięcy później zmarła Bina Hodł, a Meir Zysł zaczął postępować coraz bardziej nieroztropnie, tym bardziej że zabrakło równoważonej, statecznej Estery Kreindł. Udzielał kredytów niewypłacalnym kupcom, brał zastaw na hipotekę bez oszacowania wartości nieruchomości i wciąż tracił ogromne sumy pieniędzy.

Bez przerwy wszczynał procesy sądowe.

Coraz częściej musiał się ukrywać przed swymi wierzycielami i królewskimi poborcami podatków.

Pewnego dnia do pałacu Meira Zysła przybyła grupa właścicieli ziemskich w towarzystwie żandarmów i żołnierzy.

Gubernator Lublina wydał zezwolenie na publiczną licytację całego majątku.

Meir Zysł został aresztowany, zakuty w kajdany i osadzony w więzieniu.

Rejce starała się zebrać pieniądze w gminie, aby uwolnić go za kaucją, ale ponieważ Meir Zysł lekceważył Żydów i żydostwo, starszyzna odmówiła mu pomocy.

Wielcy panowie, z którymi upijał się i hulał, nawet nie odpisali na jego błagalne listy.

Pewnego dnia, dziewięć miesięcy później, kiedy strażnik więzienny wszedł do celi Meira Zysła z bochenkiem chleba i miską gorącej wody, zobaczył zwłoki wisielca na okiennej kratce.

Meir Zysł porwał swą koszulę napaski i upłótł z nich sznur.

Żydzi zabrali jego ciało i pochowali pod płotem.

6

Jeszcze wiele lat później mieszkańcy Zamościa, Biłgoraja, Kraśnika, a nawet Lublina rozprawiali o przypadku dziewczynki, która poszła spać jako Simmele, a obudziła się jako Estera Kreindł.

Rejce

68

już dawno zmarła w przytułku.

Jej dzieci, które mieszkały w obcych domach, porzuciły swą wiarę.

Nic nie pozostało z wielkiego majątku Zurecha Lipowera.

Ale spory trwały nadal.

Pewien wódzirej weselnym napisał wiersz o Simmele.

Szwaczki śpiewały o niej balladę.

W długie zimowe wieczory dziewczęta i kobiety, drąc pierze, szatkując kapustę czy robiąc swetry na drutach, wspominały tamte wydarzenia.



Nawet chłopczy z chederu opowiadali sobie o tym, jak dusza Estery Kreindl znalazła drugie wcielenie.

Niektórzy utrzymywali, że cała ta sprawa była jednym wielkim kłamstwem.

Cóż za głupcy, ten rebe Zurech i jego rodzina, żeby tak dać się zwieść młodej dziewczynie!

Uważali, że pomysłodawcą tego, co się stało, był Meir Zysl.

Chciał, rzucić pracodawcy używać życia dzięki bogactwu Zurecha.

Pewien mężczyzna po długim namyśle doszedł do wniosku, że Meir Zysl sypiał z nią pasierbicą i przekonał ją, aby wzięła udział w spisku.

Ktoś inny powiedział, że to Rejce uknuła całą tę intrygę i sama przygotowała córkę do tej roli.

W Zamościu mieszkał niejaki doktor Ettinger, który twierdził, że skoro powstanie kobietyz grobu i jej powrót do męża jest cudem, to jeszcze większym cudem jest to, że czternastoletnia dziewczynka mogła oszukać starszych Zamościa.

W końcu Zamość nie jest miastem głupców, tak jak Chełm.

Ponadto, jak to się stało, że Simmele nigdy nie zaszła w ciążę i zmarła pierwszą noc po pogrzebie męża?

Nikt nie jest w stanie spisać umowy z Aniołem Śmierci.

Tak czy inaczej, na grobie Zurecha Lipowera wyrosła brzoźka.

Ptaki wiją gniazda wśród jej gałęzi.

Liście drzewa drżą cały czas, a ich nieustanny szelest rozbrzmiewa niczym dźwięk dzwonczków.

Nagrobki pierwszej Estery Kreindl i Estery Kreindl Drugiej pochylili się ku sobie i z biegiem czasu stały się niemal jednym.

Świat pełen jest tajemnic.

Możliwe, że kiedy przyjdzie Mesjasz, nawet Eliasz nie będzie mógł odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania.

Nawet Bóg w Siódmym Niebie może nie rozwikłać wszystkich sekretów Swego Stworzenia.

Być może dlatego ukrywa Swą twarz.

”

Jaszid i Jeszida

W więzieniu, gdzie czekają na unicestwienie dusze mające podążyć do Szeolu - tam nazywają go Ziemią - błąkała się dusza kobietyo imieniu Jeszida.

Dusze nie pamiętają, skąd pochodzą.

Furach, Anioł Zapomnienia, który rozprasza światło Boga i przysłania Jego oblicze, ma władzę wszędzie, gdzie nie sięga władza Pana Boga.

Jeszida popełniała grzechy nie zważając na to, że może być rzucona z Tronu Chwały.

Jej zazdrość przysparzała wiele kłopotów w świecie, w którym żyła.

Podjęła wszystkie anielice o to, że romansują z jej kochankiem, Jaszidem, i nie tylko bluźniła przeciw Bogu, ale zaprzeczała nawet jego istnienie.

Mówiła, że dusze nie zostały stworzone, lecz wynurzyły się z nicości i nie miały ani misji do spełnienia, ani celu istnienia.

Mimo że władze wykazały się nadzwyczaj wielką cierpliwością i pobłażliwością, Jeszida została w końcu skazana na karę śmierci.

Sędzia wyznaczył chwilę, w której miała zejść na cmentarzysko zwane Ziemią.

Adwokat Jeszidy apelował do Sądu Najwyższego Niebios, a nawet wystąpił z petycją do Metatrona, Władcy Oblicza.

Ale Jeszida była tak wielką grzesznicą i do tego pozbawioną skruchy, że żadna moc nie mogła jej ocalić.

Strażnicy pochwycili ją i siłą oderwali od Jaszida.

Obcięli jej skrzydła i włosy, po czym ubrali w długie, białe ubrania.

Zabroniono jej słuchać niebiańskiej muzyki, wdychać woń rajskich perfum i rozmyślać nad tajemnicami Tory, która służy do pokarmienia duszy.

Nie mogła też kąpać się w studniach wypełnionych olejkiem balsamowym.

Już w więziennej celi zaczęła ją zewsząd otaczać ciemność piekieł.

Ale jej największą udręką była tęsknota za Jaszidem.

Nie potrafiła już kontaktować się z nim za pomocą telepatii, ani nie mogła mu przesłać żadnej wiadomości, ponieważ odebrano jej wszystkie służące.

Jeszidzie pozostał jedynie strach przed śmiercią.

Co prawda tam, gdzie mieszkała Jeszida, śmierć nie była jakimś nadzwyczajnym zdarzeniem, ale spadała ona jedynie na pospolite, wyczerpane dusze. Jeszida nie wiedziała dokładnie, co się dzieje po śmierci.

Była przekonana, że kiedy dusza zstępuje na Ziemię, natychmiast ginie, chociaż pobożni uważali, że pozostaje w niej isierka życia.

Zmarła dusza od razu zaczyna gnić i wkrótce pokrywa się śliską mazią zwaną nasieniem.

Grabarz wkłada ją dołona, gdzie zamienia się w coś w rodzaju grzyba, zwanego otdąd dzieckiem.

Później rozpoczynają się tortury Gehenny: narodziny, dorastanie, mozolny trud.

Albowiem zgodnie z tym, co mówią moralistyczne księgi, śmierć nie jest etapem ostatecznym.

Dusza, po oczyszczeniu, wraca tam, skąd przybyła.

Ale na jakiej podstawie wierzone w takie rzeczy?

Z tego co Jeszida wiedziała, nikt jeszcze nie powrócił z Ziemi.

Oświecona Jeszida wierzyła, że dusza ginie przez krótki czas, a potem rozpada się w bezpowrotną ciemność.

Teraz nadeszła chwila, kiedy Jeszida musi umrzeć, kiedy musi zejść na Ziemię.

Wkrótce miał się pojawić Anioł Śmierci ze swym ognistym mieczem i tysiącem oczu.

Na początku Jeszida bez przerwy płakała, ale potem zabrakło jej łez.

Nieustannie myślała o Jaszidzie, na jawie i we śnie.

Gdzie się podziewał?

Co robił?

Z kim był?

Jeszida zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie jej opłakiwał wnieskończoność. Wokół niego pełno było serafinów, cherubinów oraz pięknych kobiet, świętychbestii i anielic, a każda z nich miała uwodzicielską moc.

Jak długo ktoś taki jak Jaszid mógł trzymać na wodzy swe żądze?

Podobnie jak ona, był niewierzący.

To on nauczył ją, że dusze nie zostały stworzone, lecz były wytworem ewolucji.

Jaszid nie uznawał wolnej woli, ani nie wierzył w absolutne dobro i zło.

Cóż mogło go powstrzymać?

Najprawdopodobniej już leżał nałonie jakiejś bogini i opowiadał jej same historie o sobie, które kiedyś opowiadał Jeszidzie.

Ale coż mogła uczynić?

Wtrącona do lochu, utraciła wszelki kontakt z dworem.

Wszystkie drzwi były zamknięte: ani litość, ani piękno nie miały donich dostępu.

Jedynym wyjściem z więzienia prowadziło na 71.

Ziemię, do tych wszystkich okropności zwanych ciałem, krwią, szpikiem nerwami, oddychaniem.

Bogobojnianiołowie obiecywali zmartwychwstanie.

Głosili, że dusza nie błąka się po Ziemi bez końca i że po odbyciu kary powracado Wyższej Sfery.

Jednak Jeszida, która uważała się za nowoczesną, sądziła, że są to zabobony.

Jakże dusza mogłaby się uwolnić od cielesnego zepsucia?

Z naukowego punktu widzenia było to niemożliwe.

Zmartwychwstanie było marzeniem, bezsensownym pocieszeniem dla prymitywnych i przerażonych dusz.

2

Pewnej nocy, kiedy Jeszida leżała w kącie celi, rozmyślając o Jaszidzie i przyjemnościach, jakich z nim doznawała, o jego pocałunkach i pieszczotach, sekretnych zwierzeniach szeptanych do ucha, o pozycjach i grach miłosnych, których tajniki przed nią odkrywał, odwiedził ją Dumach, tysiącokrotny Anioł Śmierci z ognistym mieczem u boku, awyglądał dokładnie tak, jak opisano go w Biblii.

- Nadszedł twój czas, siostrzyczko- powiedział.

- To znaczy, że nie mam się po co odwoływać?

- Ci, których umieszczają w tym skrzydle więzienia, zawsze trafiają.

na Ziemię.

Jeszidę przeszły ciarki.

- No cóż, jestem gotowa.

- Jeszido, nigdy nie jest za późno na skruchę.

Wyspowiadaj się.

- I cóż to pomoże?

Jedyną rzeczą, której żałuję, jest to, że nie popełniłam więcej grzechów- buńczucznie odparła Jeszida.

Oboje zamilkli.

W końcu Dumach powiedział:

- Jeszido, wiem, że jesteś namnie zła.

Ale czy to moja wina?

Czy to ja chciałem zostać Aniołem Śmierci?

Jarównież jestem grzesznikiem, wygnanym z Najwyższego Królestwa, a swoje winy muszę odpokutować jako oprawca dusz.

Jeszido, nie chciałem twojej śmierci, ale pociesz się.

Śmierć nie jest aż tak przerażająca, jak to sobie wyobrażasz.

To prawda, pierwsze chwile nie są łatwe.

Ale kiedy już zdomowisz się w łonie, przez najbliższych dziewięć miesięcy nie czekać cię strasznego.

Zapomnisz wszystkim, czego nauczyłaś się tutaj.

Opuszczenie łona będzie dla ciebie wstrząsem, ale dzieciństwo zwykle

72

bywa przyjemne.

Zaczniesz zdobywać wiedzę o śmierci, mieszkając w świeżym, podatnym na wszelkie pokusy ciele, i wkrótce będziesz się obawiała końca swego wygnania.

Jeszida przerwała mu.

- Zabij mnie, skoro musisz, Dumachu, ale oszczędź mi tych wszystkich kłamstw.

- To, co mówię, jest prawdą, Jeszido.

Nie będzie cię co najwyżej sto lat, bo nawet najbardziej podłe dusze nie cierpią dłużej.

Śmierć jest tylko przygotowaniem do nowego istnienia.

- Dumachu, proszę.

Nie chcę tego słuchać.

- Ważne jednak, abyś wiedziała, że tam również istnieje dobro i zło oraz wolny wybór.

- Jaki wybór?

Po co mi opowiadasz te brednie?

- Jeszido, posłuchaj uważnie.

Prawa i przepisy rządzą nawet zmarłymi.

To, w jaki sposób będziesz postępować w śmierci, będzie miało wpływ na to, co się stanie z tobą później.

Śmierć jest laboratorium uzdrawiania dusz.

- Skończ ze mną, zaklinam cię.

- Cierpliwości, zostało ci jeszcze kilka minut życia i musisz wysłuchać wskazówek.

Bądź więc świadoma faktu, że na Ziemi można czynić dobro lub zło i że najbardziej zgubnym grzechem jest przywrócenie duszy do życia.

Słowa te były tak bezsensowne, że Jeszida, mimo swego przerażenia, roześmiała się.

- Jak mogą jedne włoki dać życie drugim?

- To wcale nie jest takie trudne, jak myślisz.

Ciało zbudowane jest z tak słabej materii, że jedno uderzenie może je zniweczyć.

Śmierć nie jest mocniejsza od pajęczyny - wystarczy lekki powiew wiatru, aby zniknęła.

Ale karygodne jest zniszczenie śmierci cudzej lub swojej własnej.

Poza tym wszystkim nie wolno cieżyc, mówić ani nawet myśleć o czymś, co by groziło śmiercią.

Tutaj celem naszym jest zachować życie, a tam przychodzi się pomóc śmierci.

- Dziecinne bajki.

Fantazje oprawcy.

- Mówię prawdę, Jeszido.

Tora, do której się stosują na Ziemi, opiera się na jednym założeniu: śmierć drugiego człowieka jest ci tak bliska, jak twoja własna.

Zapamiętaj moje słowa.

Kiedy zstąpisz do Szeolu, zrozumiesz ich znaczenie.

73.

- Nie, nie, nie będę wysłuchiwać tych kłamstw.  
Mówiaćto, Jeszida zatkała uszy.

3

Mijały lata.

Wszyscy w Najwyższym Królestwiezapomnieli o Jeszidzie, oprócz jej matki, która wciąż paliła świece ku pamięci swej córki.

Na Ziemi Jeszida miała nową matkę i nowego ojca oraz kilkoro rodzeństwa, a wszyscy cieszyli się dobrą śmiercią.

Poukończeniuliceum podjęła studia na uniwersytecie.

Mieszkała w ogromnej nekropolii, gdzie ciała są przygotowywane do różnych funkcji pogrzebowych.

Przyszła wiosna i ziemiska zgnilizna okryła się trędowatym kwieciami.

Znad grobów otoczonych pamiątkowymi drzewami i wodami do obmywania ciał unosił się przykry fetor.

Miliony istot, które zostały zmuszone do zejścia w królestwo śmierci, zamieniły się w muchy, motyle, dżdżownice, żaby, ropuchy.

Bzykały, rechotały, skrzeczały i grzechotały, już uwikłane w śmiertelną walkę.

Ale ponieważ Jeszida przywykła do zwyczajów panujących na Ziemi, wydawało jej się, że wszystko jest częścią jej życia.

Usiadła na ławce w parku i wpatrywała się w księżyc, który w ciemnościach piekieł wygląda czasami jak pamiątkowa świeca płonąca w czaszce.

Podobnie jak wszystkie zwłoki kobiet, Jeszida pragnęła nieustannej śmierci, chciała, aby jej łono dało śmierć kolejnej istocie.

Nie mogła jednak tego uczynić bez pomocy mężczyzny, z którym powinna odbyć stosunek pełen nienawiści, zwanej przez zwłoki miłością.

Kiedy tak siedziała, wpatrując się w księżycowy czerp świecący ponad nią, podszedł do niej trup odziany w białą kałun i usiadł natej samej ławce.

Przez moment oba trupy przyglądały się sobie, myśląc, że coś widzą, choć tak naprawdę wszystkie zwłoki są niewidome.

W końcu męski trup przemówił:

- Pani wybaczy, że spytam.

Która jest godzina?

Ponieważ wszystkie zwłoki pragną w głębi duszy, aby ich kara jak najszybciej dobiegła końca, bezustannie dopytują się o czas.

- Godzina?

- odparła Jeszida.

- Niech spojrzę.

Jej nadgarstek był przepasany instrumentem do mierzenia czasu, ale podziałka na jego tarczy była tak mała, a cyfry tak słabo widoczne, że trudno jej było odczytać godzinę.

Zwłoki męskie przysunęły się do niej.

- Czy mogę spojrzeć?

Mam dobry wzrok.

- Ależ proszę.

Trupy nigdy nie zachowują się prostolinijnie, lecz są chytre i przebiegłe.

Męskie zwłoki ujęły Jeszidę za rękę i pochylili się nad instrumentem czasu.

Nie był to pierwszy raz, kiedy męski trup dotykał Jeszidy, ale kontakt z tymi zwłokami spowodował, że zaczęła drzeć.

Wpatrywał się uporczywie w cyferblat, a lenie potrafił powiedzieć, którą godzinę pokazuje.

Potem powiedział:

- Sądę, że jest dziesięćpo dziesiątej.

Czyżby jużbyło tak późno?

- Proszę pozwolić, że się przedstawię.

Mam na imię Jaszid.

- Jaszid?

A ja - Jeszida.

- Cóżzadziwny zbieg okoliczności.

Słyszając swój śmiertniczny puls we krwi, umilkli na dłuższą chwilę.

Potem Jaszid rzekł:

- Jakapiękna noc!

-Rzeczywiście, piękna.

- Wiosna ma w sobie coś takiego, czego nie potrafiąwyrazić słowa.

-Słowa nie potrafiąwyrazić niczego - odparła Jeszida.

Kiedy to wypowiedziała, oboje wiedzieli, że ich przeznaczeniemjest spólkowanie i przygotowanie grobu dla nowych zwłok.

Faktemjest, że bez względu na to, jak bardzo zmarli są umarli, pozostajew nich trochę życia, ślad ich kontaktuz wiedzą, która wypełnia wszechświat.

Śmierć jedyniemaskuje prawdę.

Mędrzymówią, że jest jakbańka mydlana, którąpęka zadotknięciemzdźbła słomy.

Zmarli, wstydząc się śmierci, próbują przemyślnie ukryć swój stan.

Im bardziej konające są zwłoki, tymwięcej w nich sprytu.

- Czy wolno mi spytać, gdzie mieszkasz?

- spytał Jaszid.

"Gdzież ja go wcześniej spotkałam?

Dlaczego jego głos wydaje mi się taki znajomy?

" -zastanawiała sięJeszida.

"I jak to jest, że ma na imię Jaszid?

To takie rzadkie imię".

- Niedaleko stąd - odpowiedziała.

-Czy miałabyś coś przeciwko temu, abym cięodprowadził dodomu?

75.

'!.: e:g ?  
g-.s.  
s:s S-g^s-a S gg-s-Sg j .  
;g s.  
" ś -sS S j^ f ' i ;;-?  
J" 11 ijl -g o^.  
-sj .  
1 -! Ł s-g ?  
i.f-^s^^ls^fjj^^.  
^i-y.  
jgl^l.  
tl-g;.  
. ?^ll.  
-^lg-^Hiiij.  
-sllr^.  
-^li^ijj-i 5  
s?Sg?  
A\_i^:gl?  
'S..?  
jg^NS,.  
g^gL s.  
s.?.  
X S .  
S'  
Wj^-IS^^^.  
s.^s^^^ S  
j  
S^iSMni.  
Salo'-?  
0^'-3!  
S^cS"" -"a-oES""^S .  
-"^"njgn;,.  
A;SS-g^N-o,".  
^1 3O^N.  
u^3KloC?  
Q-U^O",^;-  
fSS?i?  
II^f!  
^:tlNHsJ^^i  
^jJji^l-ifJg.  
IS-j ?  
lp ^11 isis^ 3 gs s:  
e--ssfl ss S.  
S-SS i^ a^^" Isif.  
i j-ifs.  
i.ii  
ss ??  
; -S g'g g,g^j ,7 S S s-.



i? B-S o.  
,----- .  
, - "-Rs .  
;ag g^.  
g s^-gg^^"  
    \_^ BO ""^  
    ih'i.  
"-iig^^a^HI^Ijgf,ij5'^H.  
S^asg?  
8 ing^ijJ5.  
a:f;-I^^,  
i  
    e^o-""-" ^^""H-c-sco-.  
sa^ss^.  
^^^agg^og^^  
    s 1 HSHi^f^" :ni?  
,!gS HI s^-H^iIg.  
L..I?  
-^..S-g-H  
    ""osa.  
goS.^s^ " \_^ M fi,  
    ""C" a .  
-S,  
    av Sy Stm  
    88S^.  
H i^I^^^s,

Nóż

Lej b otworzył swoje zdrowe oko.  
W piwnicy było ciemno.  
Nie potrafił odgadnąć, czy był już dzień, czy też wciąż trwała noc.  
Wyciągnął rękę i zaczął szukać zapalek oraz paczek papierosów, które zostawił nastolku obok żelaznego łóżka.  
Ostatnio mieszkał w pokoju bez okien, w którym za każdym razem, kiedy się budził, nawiedzało go jedno i to samo zmartwienie - co się stanie, jeśli oślepie również na drugie oko?  
Zapalił zapalniczkę i obserwował jasny płomień.  
Przypalając papierosa zaciągnął się głęboko, a resztą błękitnego płomyka zapalniczkę rozniecił małą lampką naftową, którą miał w szklanej kieliszku.  
Jej drzące światło padało na przegniłą podłogę i na ściany, z których odpadała płatami farba.  
Ale jeśli nie musisz płacić czynszu, to nawet w wygrób jest dobrym miejscem.  
Dzięki Bogu, zostało mu od wczoraj jeszcze trochę wódki.  
Butelka stała na pojemniku do jajek, zatkała zwiniętym kawałkiem papieru.  
Lej b ostrożnie opuścił swoje stopy na podłogę i zrobił kilka kroków w kierunku pojemnika.  
- Przepluczę sobie tylko gardło - zażartował.  
Przystawił butelkę do ust, opróżnił ją do dna, a potem odrzucił nabok.  
Siedział przez chwilę, czując, jak opary wędrują mu z żołądka do mózgu.  
- W porządku, jestem upadłym człowiekiem - wymamrotał.  
Zwykle po pokoju harcowały myszy, ale wypędziło je zimno.  
Piwnica śmierdziała pleśnią, a powietrze przesycone było podziemną wilgocią.  
Na resztkach drewnianego stropu zdomowił się grzyb.  
Lej b oparł się o ścianę, poddając się działaniu alkoholu.  
Kiedy pił, tracił głowę, a jego myśli stawały się chaotyczne.  
Stracił wszystko: lewe oko, pracę, żonę Ruskę.  
On, Lej b, który niegdyś pełnił  
78  
ważną funkcję w Towarzystwie Miłujących Przyjaciół, był teraz pijaczną, włóczęgą.  
- Zabiję ją, zabiję - mrucał Lej b pod nosem.  
- To jej koniec.  
Zabiję ją, a potem odbiorę sobie życie.  
Powinna być wdzięczna za każdy dodatkowy dzień życia.  
Za tydzień takurwa  
będzie w grobie, gotowa do drogi.  
Jeśli Bóg istnieje, zajmiesz się nią w lepszym świecie.  
Lej b już od dawna wszystko zaplanował.  
Jeszcze raz rozważył każdy szczegół.  
Pomyślał tylko, że przełoży trochę termin.  
Nóż, który miał zamiar wbić w brzuch hardej Ruszki, leżał ukryty w sienniku.  
Ostatnio naostrzył go tak, że przecinał włosy pół.  
Wbiję go w jej brzuch i obróci nim dwa razy, aby porządkować jej wnętrze.  
Potem postawi nogę na jej piersiach i kiedy Ruszka będzie już konać, krzyknie do niej: "No i co, Ruszko, wciąż jesteś harda?  
Co?" I splunie jej  
w twarz.  
Potem pójdzie na cmentarz i podetnie sobie żyły nad grobem Chai.

Lejb zmęczył się siedzeniem, więc ponownie wyciągnął się nałóżku, przykrył czarnym kocem pełnymdziur wypalonych zarem papierosów i zdmuchnął płomień lampy.

Nadejdzie właściwy czas.

Czekał nato od bardzo dawna.

Najpierw wyprzedał wszystko, comiał;

później zaciągnął długi u przyjaciół.

Cudem udawało mu się jakoś przeżyć.

Jadał darmowe zupy.

Starzy przyjaciele dawali mu parę groszy, używane koszule, spodnie, parę niepotrzebnych butów.

Żył jak zwierzę, jak jeden z kotów, psów czy szurów, od których roiło się w sąsiedztwie.

W ciemności Lejb powrócił do swej umiłowanej wizji:

Ruszka, śmiertelnie blada, leży z zadartą sukienką, z wyciągniętymi nogami i potarganymi jasnymi włosami oraz nożem wbitym w brzuch aż po metalową rękojeść.

Krzyczy w udręce, błagając, bulgocząc, wytrzeszczając swe niebieskie oczy.

On, Lejb, deptając butami po jej piersiach, pyta: "I co, wciąż jesteś taka harda?"

"

2

Lejb obudził się.

Przez ostatnich kilka dni drzemał jak człowiek nękany gorączką.

Już nie wiedział, czy byłanoc, czy dzień, wtorek czy czwartek.

Mogła być nawet sobota.

Nie było już wódki i wypalił ostatniego papierosa.

Miał jakiś długi idziwny sen o Ruszce, dziwny, bo podrzynał jej gardło i jednocześnie kochał się z nią, tak jakby były.

dwie Ruszki.

Przypominając sobie na chwilę ten bezsensowny sen, próbował go wyjaśnić, ale wkrótce dał temu spokój.

"Czyżbym był chory?"

" - zastanawiał się.

"Może umrę w tej norzei Ruszka przyjdzie mój pogrzeb.

Ale nawet po śmierci dopadnę ją uduszę.

"

Jakiś czas później wzdrygnął się i znowu się obudził.

Dotknął czoła, ale było chłodne.

Zmęczenie zdążyło z niego wyparować, powróciły mu siły i odczuł potrzebę ubrania się i wyjścia na ulicę.

"Koniec z tym gniciem z życia!"

" - powiedział Lejb do siebie.

Chciał zapalić lampkę, ale nie mógł znaleźć zapalek.

Zdecydował, że ubierze się po ciemku.

Jego ubranie było wilgotne i sztywne.

Po omacku wciągnął spodnie, włożył polataną marynarkę, buty i czapkę z szerokim daszkiem.

Sądząc po zimnie, jakie panowało w środku, uznał, że na dworze pewnie pada śnieg.

Wszedł na schody, z których było widać podwórko, i zobaczył, że była już noc.

Nie padał deszcz ani śnieg, ale bruk był wilgotny.

W niektórych oknach paliło się światło, więc nie mogłobyć po północy, jak pomyślał wcześniej.

"No tak, umknęło mi parę dni" - powiedział Lejb do siebie.

Stawiając chwiejne kroki, niczym poatakutyfusu, minął bramę i wyszedł na ulicę.

Wszystkie sklepy były zamknięte, a ich okna szczelnie zasłaniały okiennice.

Ponad metalowymi dachami zawisło ciężkie niebo, czerwone od mrozu, nasycone śniegiem.

Kiedy Lejb tak stał, nie zdecydowany, dozorca zamknął za nim bramę.

"Ciekawe, co teraz robi Ruszka?"

" - zapytał siebie Lejb.

Itak doskonale wiedział, co robiła.

Siedziała pewnie z fryzjerem Lemkinem, jedli na kolację świeże, chrupiące w zębach bułeczki, wędlinę z musztardą i popijali herbatą z konfiturami.

W piecu było napalone, patefon grał, rozbrzmiewał dzwonek telefonu.

Powoli zbierali się jej przyjaciele: aptekarz Lejzer Cytryn, Kalman z niekoszernego sklepu mięsnego, Berele Bontz odryb i Szmul Zeinwł, muzyk z orkiestry w Wiedeńskim Pałacu Ślubów.

Ruszka uśmiechała się do wszystkich swymi zmysłowymi ustami, ukazując dołeczki w policzkach, zadzierała spódnicę, tak aby każdy zauważył jej krągłe kolana, czerwone podwiązki i obrębione koronką majtki.

Ani przez chwilę nie pomyślała o nim, o Lejbie.

Taka złodziejka, taka kurwa.

Śmierć byłaby dla niej zbyt lekką karą.

Lejb wyczuł w cholewce buta jakiś przedmiot i sięgnął po niego.

"Zabrałem nóż z sobą" - pomyślał zaskoczony.

Ale to, że go miał przy sobie, dodało mu odwagi.

Dokupił do niego skórzaną pochwę.

Nóż był teraz jego jedynym przyjacielem; przy jego pomocy mógł załatwić wszystkie swoje porachunki.

Lejb wsunął nóż głębiej do buta,

80

Tir

aby nie obijał mu się o kostkę.

"Może powinienem złożyć wizytę teraz" - powiedział do siebie.

Ale odrzucił ten pomysł.

Musi ją najść, kiedy będzie sama.

Najlepszą porą był rano, kiedy Lemkin wychodził do zakładu, a służąca Cypele szła do miasta po zakupy.

Ruszka leżałaby jeszcze w łóżku, drżąc lub słuchając śpiewów swych kanarków.

Uwielbiała sypiać nago.

Wtedy on otworzył drzwi mieszkania dorobionym przez siebie kluczem, wejdzie po cichu do pokoju, ściągnie z niej koc i zapyta: "No i co, Ruszko, wciąż jesteś harda?"

"

Lejb zatrzymał się, opanowany chęcią zemsty.

Dosyć czekania, nakazał mu wewnętrzny głos.

Głos ten zazwyczaj rozkazywał mu jak oficer przelozony - prawa, lewa, baczność, naprzód marsz!

A Lejb nigdy nie uczynił niczego bez polecenia tego głosu.

Teraz już wiedział, dlaczego przespał cały zeszły tydzień.

Niewidzialna moc, którą nim kieruje, przygotowywała go do działania.

Kiedy spał, dojrzywał w nim decyzja, tak jak choroba zbliżająca się ku punktowi zwrotnemu.

Poczuł chłodny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Tak, wystarczająco długo zwlekał ze swym planem.

Nadszedł już czas.

Nie czuł strachu, tylko lodowaty chłód w żebrach.

Jego umysł był zdumiewająco jasny, ale dawał sobie sprawę, że musi przemyśleć wszystko aż do najmniejszego szczegółu.

Był bez grosza, nie miał ani wódki, ani papierosów.

Wszystkie bramy były już zamknięte i nie miał gdzie się podziać.

Kiedy pomyślał o kolacji Ruszki, zaczął odczuwać głód.

On również miałby ochotę przełknąć kilka świeżych bułeczek z salami albo gorące parówki.

Dręczył go głód i burczało mu w brzuchu.

Po raz pierwszy odlatnała Lejbalić nad samym sobą.

Nagle przypomniał sobie słowo piosenki, którą śpiewał w dzieciństwie, grając w sztuce z okazji Purim.

Jego przyjaciel Berysz, w trójgraniastym kapeluszu w kształcie purimowego ciasta i w masce nieszczęśliwego z czarnymi wąsami, podchodził do niego, chcąc go zabić, wymachując tekturowym mieczem winiętym w sreberko.

On, Lejb, grając rudobrodęgo kupca, śpiewał:

Zabierz tęostatnią chleba odrobinę I podaruj mi przedśmiercią choć jedną godzinę;

Oddam ci całą resztę mojej chatki, Bym mógł spędzić godzinę ustóp mej wybranki.

Berysz zmarł dawno temu - kopnął go koń.

A teraz on, Lejb, stanie się mordercą, mimo że nie ma nawet odrobiny chleba, aby wykupić godzinę życia od Śmierci.

81.

Lejb szedł powoli, drobnymi krokami.  
Zaufał sile, która nim kierowała.  
Będziepotrzebować pomocy.  
Nie będzie w stanie dokonaćmorderstwa bez wódki, papierosów i z pustym żołądkiem.  
Wpatrywał się swym jedynym okiem w otaczający gopółmrok.  
Obok niego przeszło kilka osób, ale nie zauważył ich.  
Zamienił się cały w słuch;  
    coś wisi w powietrzu; coś musię zdarzyć.  
"Jeśli nic się nie stanie -pomyślał Lejb - to pójdę do domu".  
Po podjęciu tej decyzji poczuł, że rzuciłwyzwanie mocy, która nimrządziła przez tyle lat i  
właśniedoprowadzała go do ostatecznego kroku.  
Zacisnął powieki.  
Wydawało się, że przyćmione lampy gazowe rzucają ogniste promienie.  
Kilka kroplideszczu spadłomu na głowę.  
Poczuł się senny.  
Jednocześnie miałwrażenie, jakby to samo zdarzyło mu się już w przeszłości.  
WtedywłaśnieLejb usłyszał głos, który gozaskoczył, mimo że nańoczekiwał.  
    - Nie zimno ci, Lejbele?  
Wejdz, ogrzej się.  
    Lejb rozejrzałsię wokół.  
Przy bramie pod numerem szóstymstaładziwka.  
Lejbjej nieznał, ale ona najwyraźniej знаła jego.  
W świetle lampy gazowej zobaczył, że była niska, szczupła, o zapadniętychpoliczkachz  
resztkami rózu i rozmazanymtuszem pod oczyma.  
Jejgłowę przykrywał szal, spod którego wystawałyrude włosy.  
Miała na sobie czerwoną sukienkę oraz czerwone kozaczki oblepione błotem.  
Lejb zatrzymałsię.  
    - Znasz mnie?  
    -Owszem, znam.  
    - Czy rzeczywiście potrafisz mnie rozgrzać?  
Jesteś już starą babą  
    - powiedział Lejb, wiedząc, że tonieprawda.  
    -Oby moi wrogowie umierali takmłodo.  
    - Może mógłbym spędzić u ciebie całą noc?  
    -Za pieniądze wszystkomożna mieć.  
Lejb nie odzywał się przez chwilę.  
    - Nie mam pieniędzy.  
    -Tylko śmierć można mieć za darmo - odparła kobieta.  
Lejb przemyślał jejsłowa.  
    - Może weźmieszcoś w zastaw?  
    -A niby co?  
Złoty zegarek?  
    Lejb wiedział, że wyjdzie na głupka, ale sięgnął ręką do cholewkibuta i wyjął nóż w  
skórzanej pochwie.  
    - Coto - nóż?  
    -Tak, nóż.  
82  
    - A po co mi nóż?  
Nie chcęnikogo zadźgać.

- Wart jest trzy ruble.  
Spójrz tylko narękojeść.  
Lejb stanął bliżej latarni i wyciągnął nóż z pochwy.  
Ostrze zabłysło jak płomień i dziewczyna cofnęła się o krok.  
- Razemz pochwą wartjest cztery ruble.  
- Na nic mi się nie przyda.  
- No, to.  
nie mamy o czym mówić.  
Ale Lejb nie ruszył się z miejsca.  
Czekał, jakby się łudził, że dziewczyna zmieni zdanie.  
Owinęła się mocniej szalem.  
- Po co nosisz nóż przy sobie?  
Chcesz kogoś zabić?  
- Może.  
- Kogo?  
Hardą Ruskę?  
Lejb zamarł.  
- Dlaczego tak myślisz?  
- Ludzie mówią.  
Wszystko o tobie wiedzą.  
- A co mówią?  
- Że Ruzka cię rzuciła i że to z jej powodu stałeś się pijakiem.  
Coś złapało Lejba za serce.  
Ludzie znali go, mówili na jego temat.  
A on myślał, że ulica zapomniała o nim, jakby umarł.  
Oczy zasłzły mu łzami.  
- Pozwól mi pójść ze sobą.  
Zapłacę ci jutro.  
Dziewczyna uniosła głowę.  
Spojrzała na niego badawczo, uśmiechając się ostrożnie, tak jakby ich rozmowa była grą i egzaminem.  
Wydawało mu się, że należy do jego życia, jakby była jego krewną, która czekała na niego, aby mu podać rękę w potrzebie.  
- Masz szczęście, że nie ma dziś madame.  
Jak się dowie, obdrzemnie żywcem ze skóry.  
3  
Jej pokój znajdował się w suterenie.  
Korytarz prowadzący do niego był tak wąski, że mieściła się w nim tylko jedna osoba.  
Dziewczyna szła z przodu, a Lejb podążał za nią.  
Z obu stron osaczały ich ściany z cegły.  
Posadzka była nierówna i Lejb musiał się schylać, żeby nie uderzyć głową w strop.  
Odnosił wrażenie, jakby był trupem, włączającym się po podziemnych jaskiniach wśród diabłów z piekła rodem.  
W jej pokoju świeciła lampa.  
Ściany pomalowane były na

^w^i

różowo.

W piecu jarzyły się węgle, a na płycie podskakiwał czajnikz gotującą się wodą.

Na stołku siedział kot i mrużyłswe zielone oczy.

Na łóżku leżał tylko siennik przykryty brudnym prześcieradłem, niebyło żadnej pościeli.

Ale to było dla gości.

Poduszka i koc leżałyna krześle, które stało w kącie.

Na stoleleżałopół bochenka chleba.

Lejb zobaczył swe odbicie wlustrze: wysoki mężczyzna z dziobatątwarzą, długim nosem, zapadniętymi ustami oraz szparą zamiast lewego oka.

W zielonkawym lustrze, popękanym ipokrytym kurzem, jego postać odbijała się niczym w mętnej wodzie.

Nie golił sięjużprzeszło tydzień jego twarz pokryta była jasnym, krótkim zarostem.

Kiedy dziewczyna zdjęła szal, Lejbprzyjrzał jej się tak naprawdę poraz pierwszy.

Byłaniska, miała mały biust,kościste ręce i ramiona.

Na jej zbytdługiej szyi widniało białe znamię.

Miałażółte brwi, żółteoczy, haczykowany nos i wystający podbródek.

Jej twarz była jeszczemłoda, ale w kącikachust widniałydwie głębokie bruzdy, jakby zestarzały się tylko same usta.

Sądząc powymowie, pochodziłaze wsi.

Lejb wpatrywał sięw nią, powoliją sobie przypominając.

- Sama tu mieszkasz?

- spytał.

- Ta druga jest w szpitalu.

-A gdzie madame?

- Jej brat umarł.

Odsiadujesziwę.

- Mogłabyś wszystko stąd wynieść.

-Tu nie maczego ukraść.

Lejb usiadł na brzegu łóżka.

Niepatrzyłjużna dziewczynę, tylkona chleb.

Nie był głodny,a mimo to nie mógł oderwać oczu od bochenka.

Dziewczyna zdjęła buty, ale nie ściągnęła czerwonych pończoch.

- Nawet bezpańskiego psanie zostawiłabym na dworze wtakapogodę - powiedziała.

-Wracasz jeszcze na ulicę?

- zapytał Lejb.

- Nie, zostanę tutaj.

-To możemy porozmawiać.

- Oczym można ze mną rozmawiać?

Zmarnowałam sobie życie.

Mój ojciec był szanowanym człowiekiem.

Czynaprawdę chcesz zadzgaćRuszkę?

- Na nic lepszego nie zasługuje.

-Gdybym ja chciała zadzgać każdego, kto mnie skrzywdził, musiałabym mieć po sześć noży w każdej dłoni.

- Z kobietami to co innego.

84

- Tak?

Trzeba zaczekaći pozwolić, aby Bógosądził.



Połowamoich wrogów już gnije wgrobach, a drugą połowę też przeżyję.

Poco przelewać krew?

Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

- Jakoś nie jest sprawiedliwy wobec Puszki.

-Poczekaj jeszcze.

Nic nie trwa wiecznie.

Dostanie za swoje, szybciej, niż ci się wydaje.

- Szybciej niż się tobie wydaje - odpowiedział ze śmiechem przypominającym szczekanie psa.

Potem dodał:

- Skoro już tu jestem, daj mi coś na ząb.

Dziewczyna mrugnęła doniego.

- Dobra.

Masz tu chleb.

Przysuń krzesło do stołu.

Lejb usiadł.

Przyniosła mu szklankę słabej herbaty i swymikościstymi palcami wygrzebała dwie kostki cukru zblaszanego pudełka.

Krzątała się wokół niego niczym żona.

Lejb wyciągnął nóż z cholewki i odkroił sobie pajdę chleba.

Patrząc na niego, dziewczyna roześmiała się, ukazując rząd rzadkich, poczerniałych, krzywych zębów.

W jej

żółtych oczach pojawił się siostrzany i przebiegły błysk, jakby był jego współniczką.

- To nie jest nóż do krojenia chleba - zauważyła.

-A do czego?

Na ludzi?

Przyniosła mu szafki kawałki salami, a on przeciął go swoim nożem na pół.

Kot zeskoczył z podnóżka i miaucząc zaczął łasić się do niego.

- Nic jej nie dawaj.

Niech łapie myszy.

-

- A starczy ich dla niej?

- Nawet i dla dziesięciu kotów.

Lejb przekroił swój plaster salami na pół i rzucił kawałek kotce.

Dziewczyna spojrzała na niego z ukosa, nitoz ciekawością, ni toz szyderstwem, jakby cała ta wizyta była jednym wielkim żartem.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę.

Potem Lejb otworzył usta i spytał bez namysłu:

- Czy chciałabyś wyjść za mnie?

Dziewczyna roześmiała się.

- Nawet za Anioła Śmierci.

- Ja nie żartuję.

- Każda kobieta chce wyjść za męża, nawet na łożu śmierci.

- A za mnie byś wyszła?

- Za ciebie też.

- No to pobierzmy się.

8.

Dziewczyna nalewała wodę do imbryka.

- W łóżku czy przedrabinem?

- Najpierw w łóżku, a potem u rabina.

- Czego tylko zechcesz.

Nie ufam juźnikomu i co mnie to obchodzi, kiedy sobie ze mnie żartują?

Niech będzie, jak mówisz.

Jeśli się wycofasz, nic straconego.

W końcu to tylko słowa.

Co trzeci klient chce się ze mną żenić.

A potem nie chcą nawet zapłacić należnych dwudziestu kopiejek.

- Ja się z tobą ożenię.

Niemam nic do stracenia.

- A co ja mam do stracenia?

Tylko swoje życie.

- Nie masz żadnych pieniędzy?

Dziewczyna uśmiechnęła się znacząco, robiąc taką minę, jakby oczekiwała, że Lejb ją o to zapyta.

Jej twarz postarzała się, pokryła zmarszczkami.

Wyglądała teraz jak doświadczona, stara kobieta.

Zawahała się, rozejrzała wokół, spojrzała w stronę małego okna zaczarną zasłoną.

Na twarzy miała uśmiech, a jednocześnie rozmyślała nad czymś smutnym i odległym.

Potem skinęła głową.

- Cały majątek mam w tej pończosze.

Wskazała palcem na kolano.

4

Następnego ranka Lejb odczekał, aż dozorca otworzy bramę, i wyszedł na ulicę.

Wszystko poszło gładko.

Było jeszcze ciemno, ale powschodniej stronie Wisły, gdzie się znajdował, widać było kawałek błękitnego nieba, upstrzonego czerwonymi plamami.

Z kominów wydobywał się dym.

Obok przejeżdżały chłopskie furmanki, załadowane mięsem, owocami i warzywami.

Na wół śpiące konie stapały leniwie.

Lejb odetchnął głęboko.

Czuł suchość w gardle.

Kiszki grały mu marsza.

Gdzie o tej porze mógł coś zjeść i wypić?

Przypomniał sobie o restauracji Chaima Smeteny, którą otwierano, kiedy Bóg jeszcze spał.

Lejb udał się w jej kierunku, potrząsając głową jak koń.

"Tak musi być: spełnia się moje przeznaczenie" - pomyślał.

Oświetlona lampami gazowymi restauracja Chaima Smeteny, pachnąca flakami, piwem i gęsim tłuszczem, była już otwarta.

Mężczyźni, którzy nie spali całą noc, jedli tam albo wczesne śniadanie, albo resztki wczorajszej kolacji, trudno było określić.

Lejb usiadł przy pustym stole,

86

zamówił butelkę wódki, cebulę z kurzym smalcem i omlet.

Wypił od razu trzy kieliszki napusty żołądek.

"To mój ostatni posiłek" - wymamrotał pod nosem.

"Jutro o tej porze będę męczennikiem.

"Kelnerzyzerkali naniego podejrzliwie, myśląc, że chce ich naciągnąć na jedzenie.

Sam właściciel, Chaim Smetena, podszedł do niego i zapytał:

- Lejb, czy masz pieniądze?

Lejb chciał złapać butelkę i uderzyć go w gruby brzuch, obwieszony łańcuchem srebrnych monet rublowych.

- Nie jestem żebrakiem.

I wyciągnął z kieszeni plik banknotów, przewiązany czerwona tasiemką.

- Dobrze, tylko się nie obrażaj.

- Spieprzaj.

Lejb chciał zapomnieć o tej przykrości.

Piłkieliszek za kieliszkiemi tak był tym zajęty, że zapomniał nawet o omlecie.

Wyjął banknot i dał go kelnerowi jak napiwek, zamówił jeszcze jedną butelkę, tym razem już niewódki, ale spirytusu.

Knajpa wypełniała się gośćmi, robiło się tłoczno, duszno i gwarno.

Ktoś posypał trocinami kamienną posadzkę.

Obok Lejba rozmawiali jacyś mężczyźni i chociaż słyszał słowa, nie docierał do niego ich sens.

Wydawało mu się, że ma wodę w uszach.

Oparł głowę o krzesło, zachrapał, nie wypuszczając butelki z ręki, żeby nikt mu jej nie zabrał.

Nie spał, ale też nie był rozbudzony.

Ktoś nieprzerwanie do niego przemawiał, niczym kaznodzieja, ale Lejb nie był w stanie powiedzieć, kto to jest i o czym mówi.

Otworzył swe jedyne oko, ale zaraz je zamknął.

Po chwili usiadł.

Było już jasno i lampy przestały płonąć.

Zegarna ściana wskazywał za kwadrans dziewiątą.

Sala była pełna ludzi, ale chociaż znał wszystkich na ulicy, nie rozpoznawał nikogo.

Miał jeszcze trochę wódki w butelce, więc ją wypił.

Spróbował zimnego omleta, skrzywił się i zaczął uderzać łyżką w talerz, aby przywołać kelnera.

W końcu wyszedł na chwiejnych nogach.

Przed jego jedynym oknem wisiała mgła, w środku której coś trzęsło się jak galareta.

"Zupełnie tracę wzrok" - powiedział Lejb do siebie.

Poszedł na bazar Janusza, szukając Cypele, służącej Ruszki, która, jak wiedział, codziennie przychodziła tam na zakupy.

Bazar był pełen klientów.

Przekupki zachwalały swój towar, sprzedawcy ryb nachylali się nad wannami pełnymi ryb; trzej rzeźnicy zarzynali drób nad marmurowym zlewem, który

jaśniał od światła lampy naftowej, i podawali ptactwo dalej, do oskubania.

Oskubane ptaki, wciąż jeszcze żywe, wędrowały do koszyków.

"Każdy, kto ma nóż, robi z niego użytek - pomyślał Lejb - Bogu tonie przeszkadza".

Dochodząc do wyjścia, zauważył Cypełe.

Właśnie przyszła na bazar z pustym koszykiem.

Nadszedł czas!

Wyszedł z bazaru i skierował się w stronę podwórza Ruszki.

Nieobawiał się, że go ktoś zobaczy.

Minał bramę, wszedł na drugie piętro, gdzie widniała wygrawerowana wizytówka "Lemkin - Mistrz Fryzjerstwa".

"Co zrobię, jeśli klucz nie będzie pasował?"

" - zastanawiał się Lejb.

"Wyważę drzwi" - odpowiedział sobie sam.

Czuł swoją siłę, był teraz niczym Samson.

Wyjął klucz z kieszonki, jakby był właścicielem mieszkania, włożył go do zamka i otworzył drzwi.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył, był licznik gazowy.

Na wieszaku wisiał cylinder, poktórym przejechał palcami.

Przez uchylone drzwi do kuchni zobaczył młynek dokawy, mosiężny móżdżerki tłuczek.

Dobywał się stamtąd zapach kawy i smażonej cebuli.

"No, Ruszko, nadszedł twój czas!"

" Cicho stapał po dywanie w przedpokoju, posuwając się głową wysuniętą doprzodu, tak zręcznie i zwinnie jak hycel, który usiłuje złapać psa.

Kiedy wyciągał nóż z cholewki, ogarnęło go coś, co przypominało śmiech.

Otworzył na oścież drzwi do sypialni.

Była tam Ruszka.

Spała pod czerwonym kocem, jej farbowane blond włosy były rozrzucone na białej poduszce, a poźółkła, obwisła twarz pokryta była warstwą kremu.

Gałkioczne ledwo mieściły się pod powiekami, a podwójny podbródek zasłaniał jej pomarszczoną szyję.

Lejb stał, wpatrzony w nią.

Ledwo ją rozpoznał.

W ciągu kilku miesięcy, które minęły od ich ostatniego spotkania, bardzo utyla, straciła swój dziewczęcy urok, wyglądała jak matrona.

Na głowie widać było siwe odrosty.

Naszał nocnej stała szklanka wody, w której pływała sztuczna szczeka.

"A więc to tak" - powiedział Lejb.

Tamta miała rację.

Naprawdę stała się starą babą.

Przypomniał sobie jej słowa

sprzed ich rozstania: "Nie dam się już więcej wykorzystywać.

Przecież lata lecą.

"

Nie mógł tak dłużej stać.

W każdej chwili ktoś mógł zapukać do drzwi.

Ale nie mógł też tak po prostu wyjść.

"Coma być, to będzie" - powiedział sobie.

Podszedł do łóżka i zerwał z niej koc.

Ruszkanie spała nago, ale miała rozpiętą koszulę nocną, która odsłaniała jej obwisłe jak kawałki surowego ciasta piersi, wystający brzuch i tłuste, niebywale szerokie biodra. Lejb nigdy by nie przypuszczał, że Ruszka może mieć tak ogromny brzuch, że jej skóra może tak zżółknąć,<sup>88</sup>

zwiądnąć i zmarszczyć się.

Sądził, że będzie krzyżeć, ale ona otwierała oczy powoli, tak jakby dotejporo udawała, że śpi. Wpatrywała się w niego poważnie, ze smutkiem, a jej oczy zdawały się mówić: Bładaci, co się z tobą stało?

Lejb zadrżał.

Chciał powiedzieć to, co sobie obmyślił, ale wszystko wyleciało mu z głowy.

Miał te słowa na końcu

języka.

Ruszka oniemiała na jego widok.

Patrzyła na niego z dziwnym spokojem.

Nagle krzyknęła.

Lejb uniósł nóż.

5

"To naprawdę nie trudnego" - mruknął Lejb do siebie.

Zamknął drzwi i powoli zszedł ze schodów, stukając obcasami, jak gdyby chciał, żeby ktoś go zobaczył, ale nie spotkał nikogo ani na schodach, ani na podwórzu.

Zanim opuścił to miejsce, zatrzymał się na chwilę w bramie.

Niebo, które o wschodzie słońca było tak błękitne, pociemniało i zachmurzyło się.

Obok przeszedł tragarz, który dźwigał na plecach worek pełen węgla.

Jakiś garbus krzychał, że sprzedaje ryby.

Pod mleczarnią wyładowywano bańki z mlekiem.

Do spożywczego dostawca niósł w ramionach stos bochenków chleba.

Dwa konie z zaprzęgu zbliżyły się, jakby zwierzały się sobie z jakiejś tajemnicy.

"Tak, to tasamaulica, mę się niezmieniło" - pomyślał Lejb.

Ziewnął i wzdrygnął się.

Wtedy przypomniał sobie słowa, które chciał powiedzieć i których zapomniał: "No i co, Ruszko, wciąż jesteś taka harda?"

"Nie czułem w ogóle strachu, jedynie pustkę.

"Niby jest rano, a wydajesz się, jakby zapadł zmierzch" - zadumał się.

Obmacywał kieszenie w poszukiwaniu papierosów, ale gdzieś je zapodział.

Minął sklep papierniczy.

Zajrzał do rzeźnika.

Stojąc przy pniaku, rzeźnik Lejcer przerażał bok wołu szerokim toporem.

Tłumnie zgromadzone kobiety przepychały się potraçały, targując się i wyciągając ręce po kościszpikowe.

"Jeszcze obetnie którejś palec" - mruknął Lejb.

Nagle znalazł się przed zakładem fryzjerskim Lemkina i zajrzał do środka przez szklane drzwi.

Nie było tam nikogo oprócz Lemkina - niewysokiego, grubego i różowego mężczyzny z łysiną, krótkimi nogami i wystającym brzuchem.

Ubrany był w prążkowane spodnie, kamasze, kołnierzyk i muszkę.

Był bez marynarki, ale za to miał szelki, tak krótkie jak szelczki małego dziecka.

Stał i przeglądał polską gazetę.

"Nawet jeszcze nie.

wie że jest wdowcem" - powiedział Lejb do siebie.

Obserwował go z mieszanymi uczuciami.

Trudno było uwierzyć, że on, Lejb, od tak dawna już rozmyślał o tym świńskim człowieczku i tak strasznie go nienawidził.

Lejb otworzył drzwi, a Lemkin spojrzał na niego z kosa, zaskoczony, a nawet przerażony.

"Jego też załatwię" - zdecydował się Lejb.

Schylił się, aby wyciągnąć nóż z cholewki, ale coś go powstrzymało.

Jakaś niewidzialna siła schwyciła go za rękę.

"Widać takie jest jego przeznaczenie: żyć dalej" - wywnioskował Lejb i rzekł:

- Ogól mnie.

- Co? Ależ tak, oczywiście.

siadaj.

Lemkin ochoczo włożył swój fartuch, który leżał przygotowany na krześle, przykrył Lejba świeżym ręcznikiem, nalał ciepłej wody do miseczki.

Namydlając Lejba, raz go poklepywał, a raz łaskotał w szyję.

Lejb odchylił głowę do tyłu, przymknął powiekę swego jedynego oka i odprężył się w ciemnościach.

"Chyba sobie utnę drzemkę" - zdecydował.

"Każe mu również obciąć włosy".

Kręciło mu się w głowie i miał czkawkę.

Powiało chłodem i kichnął.

Lemkin pożyczył mu Gesundheit.

Krzesło było zbyt wysokie, więc Lemkin je obniżył.

Wyciągnął brzytwę z futerału, naostrzył ją na skórzanym pasku i zabrał się do golenia.

Delikatnie, jakby byli krewnymi, trzymał policzek Lejba swymi grubymi palcami.

Lejb poczuła sobie oddech fryzjera, który zwrócił się do niego poufale:

- Jesteś przyjacielem Ruszki.

wiem, wiem.

opowiedziała mi o wszystkim.

Lemkin czekał, aż Lejb mu coś odpowie.

Nawet przestał go golić.

Po chwili zaczął nowu:

- Biedna Ruszka jest chora.

Lejb nie odzywał się przez jakiś czas.

- Co jej dolega?

- Kamienie w woreczku żółciowym.

Lekarze twierdzą, że powinna się poddać operacji.

Już od dwóch tygodni leży w szpitalu.

Alenietak łatwo pójść pod nóż.

Lejb uniósł głowę.

- W szpitalu?

Gdzie?

- Na Czystej.

Codziennie ją odwiedzam.

- A kto jest w domu?

- Jej siostraz Pragi.

- Dużo starsza, co?

- Jest już babcią.

90

Lejb pochylił głowę.  
Lemkin podniósł mu ją.  
- Uwierz mi, Ruszkanie jest twoim wrogiem - wyszeptał w ucho Lejba.  
- Wciążo tobie mówi.  
Wkońcu stało się to, co się stało.  
Chcielibyśmy coś dla ciebie zrobić, ale ty stronisz od nas.  
Lemkin pochylał się tak nisko nad Lejbem, że prawiedotykał goczolem.  
Pachniał płynem dopłukania ust ibraterskim ciepłem.  
Lejb chciał coś powiedzieć, ale na zewnątrz rozległ się wrzask i zgiełk.  
- Zobaczę, skąd się wzięło to całe zamieszanie.  
Wyszedł przed zakład nie zdjawszy fartucha, z brzytwą w prawej ręce.  
Lewa ręka umazana była mydłem i drobnymi włoskami.  
Kręcił się przez chwilę, wypytyjąc o to, co się stało i wrócił w radosnym nastroju.  
- Zabili dziwkę!  
Rozpruli jej brzuch nożem.  
Tę małą rudą spod szóstego.  
91.

ni

e^B^o "  
ni l;s  
-gs  
-8"^\n  
0)  
g n,  
5"  
M "O  
5o  
ni U  
oo  
n  
I  
O  
e  
ni  
nf 93 'N  
5  
(U  
^\n  
u  
O  
u  
I s ^a 3  
S^^g  
S S-^ ^.

a

-- ^ T{\n  
-^g S  
N  
^ 2c E  
JS g  
IE.^S  
s^lj '  
^". ""1ni  
Q. O h N ,SP --' N  
^ jam ,o^g u  
NO  
-S '  
-Ai;  
V  
'UniQ.  
O  
O;  
^\n  
0}M U  
U -Cu nf -  
NO



S C."l n(  
gtf  
l0:  
^'g "-  
N S^^S ^  
C!  
'5  
N -g,  
2^  
c w  
"i ;?  
^  
v -^  
^  
E  
,N  
d'o  
-d mI^S  
^,t  
U  
é5  
-S1  
^,  
hb.2^ ^  
a  
s^-o  
co oUl O  
oQ,.  
5  
fg  
E  
o  
-K ni"  
3 6  
EJ-1'^  
0^ e -^ ^ o.

^

v a 'S  
^\_^^l'^  
'P 01"  
-OO  
-,:", J"  
a- ^ "-  
SSE<sub>2</sub>  
a .ca  
nP  
g S ^ .  
ni -H.

a '^

gc g s;

l s J .  
-'  
N N Q.  
S'-5  
nfN  
N-O  
Q,  
i.P  
R O  
SP  
3 O-^",-5  
S^^^  
5 .":-g  
^1^\_^  
^  
^5  
" N  
-st;  
u  
'a-s N  
3 O)1^  
Ro  
isJS ^s i  
'o  
^eiOCL,  
' " 2B-8^  
at;  
S '0  
j^ a  
la  
ijil  
" a)  
Ig^gh0^!

OU

ni  
-Q  
-ao  
-Q  
D  
"5  
-S g ^J^ E -;;  
3':y - g  
C 0,^ -N  
"^-g^  
a. 'N -i--l-i ^ny n ni  
^t65  
^-sw-5^o^^  
^^^S^ j S  
S ni Nn i-' 3'i-ii  
0^00^.

^

Ł 'a E " m - N

Nnii3 C

E

3

-g

ni

3

-i

-a

3 ? a.

pU3^""2t?

e

m

N

U

-n;^n;^-

S^S

^I.^.

t^i

ni-Qni

y^

ni 14

^nl?S """"N a, ^ ^ a.

W

M

n? S

'-^qł '^-!C!

II

^

-li^-

^^^

C!

2; ^

iS

S-^SE?

- 'o .

-

-o

a.j

^S

OJN

ni M

j.^-2St2

"gf^^i

^'

^ ^s ^ a

-S. ^ -Ł ^

^ ^"-ŁŁ,g

3 -- g, " ^ -O .

g 33A; a9-iri u-it;^  
^^^S^^ll  
l^gs-i^-^  
s .L?

:: Ij

Q,d, K, .  
-, oU- S g CL, " ^  
i^5 ^ i'-s  
^^s.8'^^  
8  
o  
E  
Q.  
M  
M ^  
O.-; S;  
^-glg"  
5 S, a-^ o  
s-i^l -  
ni '5 ^ ^ 'S-^  
rt.^"  
E c E  
-; -h?

g

I.'?  
Q. ^  
U  
uB-O  
L  
c^N" C  
2-3ni -i-C",.

,

^  
MO)  
m ^3  
'^S?

O; CQ '

m..i  
3E  
E"  
ho ho  
^

u  
5 g .

", "2 ^ ,

-!;  
+A^  
^^ M  
^g^  
C; CQ

4  
g:2S "  
n?-g  
J^fE06 .  
^1  
IN-2,,  
\_^-^^  
,b  
v  
m ^.'''g 0^  
Sg-.E  
C u ^^ ^r - nini -c i ^ rh rs ^u "'-'Su 0'U ^nj W.  
-L'Q-"T3 --a--C-?  
i  
^^^ar.  
jjgt.  
-  
^^  
u^  
v J5' ^-S^ 'l J  
g.s ga.  
s-gb  
-; -s^^^^S-i^5js^^^^.  
g^  
^ hi i .  
-.- COS  
TS 'u v S -^^ G S.  
vvN 'g^ W^OO A;.  
^5 Q^.  
s^j-^iilS5y-30,-eN  
N ^=: -Q, O?  
wU M f-t ^  
nit0  
d^; " 'OC!  
-QS'''' ftEt;-'u.  
5-s; ^'  
Sa  
^-n;  
nle  
^:  
;-^;  
OQ  
N  
nf  
v N ^  
Sog.t  
(U- C ^  
^ ^^  
(U-.-, "  
S ^ ni',2

l- T3 ni^0 -  
CO  
-.O ni !  
J  
a Q-^^a.  
N  
S n? pP -iri.  
"0, g  
E '?  
c  
N !s O.  
-N O)  
^  
E  
11  
n(  
^\_  
N  
'2  
niCu  
-Q3  
l  
O  
h0  
v  
-- c S?  
-^"m  
niC  
E m  
^S  
m .  
N-g g  
c "  
ni fe  
" '5  
nf  
G n?u M  
"5 'aE m  
S ES.  
-%E E  
-5-S?  
S 5^"Łw E  
u"nf O.  
ho  
-g,u  
NUNW  
^  
-i  
-  
M

'5  
'O ^M  
N -a  
't9  
E  
^S.:  
A;  
'l-aM  
Ł  
^^l^jg  
^  
o  
N  
ftf' ni  
o X f s  
bo ^ m^  
-22 N-^'G E m m'm ^.

c '3

ll^  
^ 3-^  
-Oni  
'coOU  
v  
M  
Q  
m  
a  
i-  
-C!uo  
's =s  
a ^ 5^T3^,  
-"s^  
-O ,-, ^ ^ M A;  
Ł ii'l^  
o""^ co -" u n?

,

N  
l'Ł"- 5.

s

:5^^-"^ ^ ^\_  
(ti nr -S  
o cg ^  
'i t^l U  
v ' 'mv  
g.^a'5  
Ł"Ł.- 25.

^ g.3,

-^ .  
n ^ r^^  
-c;

um  
co^  
O -4  
Q. g  
,  
-!s  
i^t M  
-it;  
V f  
ni" 'n  
-S  
(DMM ^-j CL)Q.

O

-C  
Q,  
-O  
Q. C3  
'-M  
A;  
^  
(U  
3  
i -i l^  
c  
i  
u .-io c  
Q.-O  
-- nic  
" tyi!  
"z;^  
co O  
'M  
C  
h0  
0  
3 N  
"l -.

S?g

L; ^ co ^y  
I.t2g^-  
-L' rt T-l  
T3  
,5 e  
'o  
^  
3^  
ni  
O -;  
o.m  
E C!



o  
-j^  
n(u  
5 -s S; c  
S-SA; ^.  
1 g s^  
;2:G 'l' o  
"U'0  
JS "- na.  
nio CE  
s^ ^ g-s  
N -'nyM  
vu' '3 g,5 a  
-s-g  
o ."f  
'u  
's  
cE  
(U  
o  
Cl,  
m o  
a  
o  
^Q  
SP-S  
l  
u  
-o  
-it;  
S  
u  
c  
o'o  
M  
o  
rt  
S ^ ""^ ^-M ^'N M  
2.S'n?  
O G ;L-5  
u  
ni" "^C O.  
N C  
, " ? 3 A?  
U ^/-  
"^^FT'  
N M3 -S S  
3CA;.  
l L -n  
^i

-o  
-i  
s^  
m  
j-O ^  
^-0 O^00  
co ^-.

-S

-, c EM  
co^ 3T3  
i -co ^ao  
C", u-c;  
C rt "jy  
3N -yQ  
- zla.  
m3 .,  
S;.S8  
S Su a,  
n.  
o  
u  
"- ni ,  
^(? S .

'L;

^1  
LO  
Q. CQ.

-

GQg  
gS  
u  
s-?  
SJg  
N J3  
I  
j  
T3O  
3 a'i  
3-QS ^  
filipl.  
S-s .

^is

m?^ia'  
E-^^i^ts'!

^

o-tg  
n^OSho^"  
nO  
-x:  
e

A;  
'o -  
o m  
-T?  
^i  
U ^  
-; .^  
a S E  
'^3Slst^.

s

-d  
^  
n?  
^5^  
CL) co Qrł  
E  
^  
" ^;- i.

2n

-l:-gt?

-;

ni Z; C!

E;

C u -" , .

N -.

N D T3

KE?E  
M J3 i- ni  
s-s-si  
S (U M  
(L' - C; N Ł3"3 N -O-;-i O  
E 3^ gQ Q  
"-a S "S v M  
'S ^ -S N " D  
5 y o -  
6^5 -S  
L  
1-1  
B  
^N1  
e a  
N.-, ni  
S E-EE  
liis-^"  
M  
0, C  
3 ^^  
h-C  
b0^  
5 s;

s-s  
(D  
E.^-'-NO  
O ^ bo 3 L)  
's^^-5  
ij  
-i'i^  
S  
'?.L  
N COU I'  
6o  
;^  
2 'S M "  
3U 'EA; .

co "

s.

c'^ .  
-^\_  
E.

czym nietoperz.

Grali muzycy, dudniły bębny.

Było to zarazem święto Purim i Simchat Tora.

"Jakto możliwe?

" - zastanawiał się Icek Nachum.

"Chyba nadszedł Mesjasz- sam Sabataj Cwi.

"

Zerwał się ze snu, zlany potem.

Przechwilę stałemu przed oczami wszystkie zjawy, niedorzeczności i omamy, ale wkrótce poszływ niepamięć.

Pozostała jedynie postać Rojzy Genendel.

Ciało jej śniło.

W oddali słyszał jeszczej śmiech.

"Nie powinienem być sięz nią rozwodzić!

" - powiedział do siebie IcekNachum.

"Powiniennembył ją rzucić i zniknąć, żeby nie wiedziała, gdzie spoczywają mojejkości.

Teraz jest jużza późno.

" Ludzie w Bychawie mówili, że miałazostaćsynową Galicyjki, żoną rabina z Komarowa.

Chasyd, który znałrabina z Komarowa, opowiadał, że sięgał on sufitu, miałskórę smagłąniczym Cygan i był trzykrotnym wdowcem.

Icek Nachum przyłapał się na grzechu.

Dlaczego chciał, abybyłaporzuconą żoną?

Z zemsty.

W swym umyśle złamał mojęszoweprzekazanie: Nie będzieszmścił się ani żywić urazy.

Icek Nachumzjął z półki Początki Mądrości, aby się dowiedzieć, jakabyła pokutaza mściwość.

Przeglądał pożółkłe kartki.

Była tam długa lista grzechów, ale brakowało naniejzemsty.

IcekNachum skrzywił się.

Niepo raz pierwszy przeklinał w myślach Roję Genendel, źle jejzycząc.

Wyobrażał ją sobie chorą, umierającą, martwą.

Wiedział, że zzerają go wściekłość, nienawiści niktzemne myśli.

Uparte ciało, pełnezamięści, nie chciało siępoddać.

Icek Nachum otworzył szufladę, gdzie trzymał garść kamykówzebranych na podwórzu, kilka zerwanychpod płótnem pokrzywi bodziaki, którymi uliczne urwisy rzucają w Tisza be-Aw.

Icek Nachumzamknął drzwi, zdjął pantofle i włożyłdo nich kamyki: niech mu poranią stopy.

Przyłożył pokrzywydo swych ramion i szyii natarł nimipiersi.

Parzyły, choć nie zabardzo.

Pęcherzepojawia się później.

- A teraz zaaplikujęci zimną kąpiel!

- powiedział sam do siebie.

- Chodź tutaj!

Otworzył drzwi i zaczął schodzić ze schodów.

Icek Nachum niebyłjuż jednym człowiekiem, ale dwoma.

Jeden wymierzał karę, a drugisię nie poddawał.

JedenIcek Nachum ciągnął drugiego do kąpieli rytualnej, a drugi bełkotał wyzwiska, przekleństwa i bluźnierstwa.

IcekNachum podniósł rękęi wymierzył sobie policzek:

- Rozpustnik!

94

2

Był to piąty dzień postu Icka Nachuma.

Zaczął pościć w wieczór szabasowy, a był już czwartek.

Na początku Icek Nachum chciał udowodnić sobie, że dzisiaj również może dokonać tego, co czynili ludzie dawnych czasach.

Skoro rabin Cadok z Jerozolimy mógł przeżyć czterdzieści lat jedząc tylko figi, to on, Icek Nachum, z pewnością może się powstrzymać od łakomstwa przez tydzień.

Ponadto ten drugi, jego wróg wewnętrzny, stawał się coraz bardziej niesforny. Siedział w leku. Nachumie niczym dybuk, zawsze robiąc mu na złość.

Jeden Icek Nachum się modlił, a drugi bełkotał jak błazen.

Jeden zakładał filakterie do modlitwy, a drugi bekał, czekał i pluł.

Jeden odmawiał Osiemnaście Błogosławieństw, a drugi wyobrażał sobie rabina z Komarowa, zabawiającego się z Rojzą Genendel.

Icek Nachum nie wiedział już, co czyni.

Trzykrotnie odmawiał tę samą modlitwę.

Skończył się potyczki, a zaczęła walka na śmierć i życie.

Icek Nachum przestał sypiać.

Jeśli człowiek nie może pokonać wroga poszcząc, leżąc na cierniach czy kąpiąc się w zimnej wodzie, to jak go ma wypędzić?

Niszcząc samego siebie?

Ale to jest zabronione!

Oczekuje się, że człowiek rozbije beczkę nie wylewając wina.

Ale jak tego dokonać?

Icek Nachum leżał na ławce w spodniach i skarpetkach, z kamieniem pod głową, niczym patriarcha Jakub.

Swędziała go skóra, ale postanowił się nie drapać.

Krople potu spływały mu po szyi, ale nie chciał ich obetrzeć.

Ten złyco chwila wymyślał nową sztuczkę.

Włosy kłuły go w czaszkę.

W uchu mu dzwoniło, jakby wpadł tam komar.

Podrażnione nozdrza chciały kichnąć, usta próbowały ziewać.

Bolały go kolana.

Jego brzuch spuchł, jakby przepięty jedzeniem.

Icek Nachum czuł mrówki biegające po plecach.

Wymamrotał w ciemnościach:

- No już, męcz mnie, rań me ciało!

Ten drugi stał na chwilę i Icek Nachum przysnął.

Olbrzymia żaba rozwarła swą gębę, gotowa go połknąć.

Rozległ się dźwięk kościelnego dzwonu.

Icek Nachum zerwał się ze snu cały drżący.

Czy topożar, czy też inne nieszczęście?

Czekał, aż znów odezwie się dzwon.

Ale w oddali słyszał jedynie słabe echo.

Icek Nachum poczuł nagłą potrzebę wysuszenia się.

Stanął nad wiadrem, ale nic nie poleciało.

Umył ręce, przygotowując się do odmówienia modlitwy na tę okoliczność, ale znów mu się zachciało.

Odczuwał pieczenie i pulsowanie.

^Wnętrznosci skręcały mu się z bólu.  
Gorycz wypełniła mu usta, jakty-".

miał zaraz zwymiotować.

"A może napiję się wody?"

" - spytał sam siebie Icek Nachum.

Podszedł do stołka, na którym stał dzban, do połowynapełniony wodą do rytualnego obmywania rąk, i z wielką niechęcią wylał jego zawartość.

Zamoczyła mu się jedna skarpetka.

"Nie poddam mu się!"

" - wyszeptał Icek Nachum.

"Daj psu palec, a odgryzie ci całą rękę."

"

Icek Nachum znów wyciągnął się na ławie, nie czując prawie swych kończyn.

Bóle i skurcze, dokuczliwy głód i suchość w gardle nagle ustąpiły.

Nie śnił i nie był też przytomny.

Jego umysł pracował, ale Icek Nachum nie wiedział, o czym myśli.

Ten drugi, ten złośliwy, zniknął i znów był tylko jeden Icek Nachum.

Znów był jedną osobą.

"Czyżbym umierał?"

" - spytał siebie.

Opuścił go strach przed śmiercią.

Był gotów.

Pomyślał, że kiedy pogrzeb odbywa się w piątek po południu, Czarny Anioł nie przesłuchuje i nie torturuje zmarłego.

Icek Nachum czuł, jak uchodzą z niego siły.

Umknęło mu trochę czasu, zostawiając lukę, jakby Furach, Anioł Zapomnienia, wydarł lekowi Nachumowi pamięć.

Rozmyślał nad tym w ciemności.

Ta luka mogła trwać minutę, godzinę albo całą dobę.

Icek Nachum przeczytał kiedyś opowiadanie o czarującym młodzieńcu, który pochylił się nad beczką, aby zaczerpnąć wody, a kiedy się wyprostował, był starszy siedemdziesiąt lat.

Nagle Icek Nachum przeraził się.

Coś w ciemności zamajaczyło koło drzwi - jakaś biała poświata, lekka i mglista niczym para.

Icek Nachum był tak zaskoczony, że zapomniał nawet o strachu.

Z mroku wynurzyła się postać, zjawą z głową, ramionami, szyją i włosami - kobieta.

Jej twarz jaśniała wewnętrznym światłem.

Icek Nachum rozpoznał ją: była to Rojza Genendel!

Górna część jej ciała zarysowywała się dookoła wyraźnie.

Pokiwała głową, jakby chciała coś powiedzieć.

Oczodoły uśmiechały się.

Poniżej rysy ducha stawały się coraz bardziej niewyraźne i rozpląwały się w nicość.

Icek Nachum usłyszał swój własny głos:

- Czego chcesz?

Próbował wstać, ale jego nogi były ciężkie i bezwładne.

Widmo płynęło ku niemu, wlokąc swój ogon, oślizły niczym kurczak przedwcześnie wykluwający się z jaja.

"Pierwotna Materia!"

" - zawołało coś w leku Nachumie.

Przypomniał sobie Psalm: "Oczy twe, choć niedoskonałe, widziały me oblicze".

Chciał przemówić do nocnego widma, ale utracił zdolność mówienia.

Chwilowo oniemiały obserwował, jak



zbliża się do niego- pół-kobieta, pół-bezkształtna meduza, monstrialny grzyb  
usiłujący wyrwać się ze swojego korzenia, stwór skleconynapędce.

Po chwilizaczęła się rozplwać.

Znikała po kawałku.

Jejtwarz rozmazała się, włosy rozwiały, nos wyciągnął się upodobnił doryja, jak u karłów,  
któreludzie wystawiają zimą na parapetach okien,aby odstraszałymróż.

Pokazałajęzyk.

Rojza Genendel zniknęła, a nawschodzie,niczym ostrze noża,zabłysło słońce.

Na ścianach, suficie,podłodze widniały krwaweplamy.

Poranek uśmiercił Rojżę Genendeli rozbryzgał jej krew.

Pękł ostatni pęcherzyk życia i wszystko znów

stałosię próżnią.

Icek Nachum usiadł i zaczął się kołysać, tak jakczyni się to nad zwłokami.

- Rojze Genendel!

Biada mi!

3

W Bychawie dęli w barani róg.

Wiatry miesiąca elul wiały odcementarnychwierz.

Babie lato unosiło się wysoko w powietrzu nadpodwórzem.

Dojrzałe owoce opadałyz drzeww sadzie rabina.

Dommodlitwy zionął pustką.

Jaskółki latały nad pulpitami.

Koza należącadogminy zawędrowała do przedsionka, oparła się o pudło ze zniszczonymi,  
wyrzuconymi modlitewnikami izaczęła przeżuwać róg psałterza.

Znówbył czwartek, a Icek Nachum nie miał niczego w ustachod wieczornegoposiłku w szabas,  
ale niktna to nie zwracał uwagi.

Kiedy człowiek pościcały rok, nie zaczyna znów jeść w elul,miesiącuskruchy.

IcekNachum siedział w swoim pokoju, przeglądając Traktat o Spoczytku.

Przez chwilę pomrukiwał.

Potempołożyłgłowę naoparciukrzesła i zasnął.

Nagle usłyszał kroki i podniesione głosy.

Ktośszybko szedł doniego po schodach.

Drzwi stanęły otworem i Icek Nachum ujrziałw nichRojżę Genendel, a tuż za nią jej służącą,  
Jente.

Nie byłato Rojza Genendel, która ukazywała mu się nocami i która byłaprzejrzytanicznym  
muślinowa zasłona,tylko Rojza Genendel z krwi ikości: wysoka, szczupła, z haczykowatym  
nosem, ognistymi, czarnymioczyma, mięsistymi wargami i długą szyją.

Miała na sobie czarnyszal,jedwabną pelerynę ibutyna wysokich obcasach.

Strofowała swąsłużącą, dając jej znak, aby nie szła za nią dalej.

Rojza Genendel we97.

szła do pokoju Icka Nachuma, zostawiając otwarte drzwi - wyraźnie to, żeby nie być z nim sam na sam.

Jente pozostała naschodach.

Icek Nachum był zdumiony.

"Czyżbym już osiągnął taką moc?

" -przemknęłomu przez głowę.

Przez długą chwilę stała na progu, podtrzymując spódnicę i taksując go wzrokiem, w którym złość mieszała się ze współczuciem.

Potem rzekła:

- Błady jak trup!

-Czego chcesz?

- spytał Icek Nachum głosem tak słabym, że ledwo słyszał sam siebie.

- Co robisz?

Pewnie pościsz, co?

- spytała szyderczo Rój za Genendel.

Icek Nachum nie odpowiedział.

- leku Nachumie, muszę z tobą pomówić!

Rojza Genendel zatrzasnęła zasobą drzwi.

- O co chodzi?

-leku Nachumie, zostaw mnie w spokoju!

- niemal wykrzyczała Rojza Genendel.

-Rozwiedliśmy się, teraz jesteśmy sobie obcy.

Jachcę wyjść za mąż, ty też możesz się ożenić.

Wszystko musi mieć swój koniec!

- Nie wiem, o co cichodzi.

-Wiesz, wiesz.

Siedzisz tutaj i rzucasz zaklęcia.

Już miałam wychodzić za mąż i musiałam przełożyć swój ślub.

Dlaczego mnie nie zostawisz w spokoju?

Chcesz mnie przepędzić z tego świata.

Rzucę się dostudni!

Rojza Genendel tupnęła nogą.

Wojowniczo złapała ręką framugę drzwi.

Na jej palcu zabłysnął brylantowy pierścień.

Promieniowała strachem i siłą.

Icek Nachum uniósł brwi.

Serce uderzyło mu jeden raz, po czym jego bicie jakby ustało.

- Przysięgam, że nie wiem.

-Budzisz mnie!

Krzyczysz mi doucha!

Czego ty chcesz odemnie?

Nie układało nam się razem.

Od pierwszego razu.

Wybacz mi, ale żaden z ciebie mężczyzna.

Dlaczego więc mnie zamęczasz?

Czy w końcu się dowiem?

- Aleco ja takiego robię?

-Nawiedzasz mnie, szczypiesz, obdzierasz ze skóry.

Słyszę twoje kroki.

Przez ciebie nie mogę jeść ani spać.

Chudnę coraz bardziej.

Ludzie widują cię na naszym podwórku, widując cię, jeszcze nie zwariowałam!

Jenteo mało co nie umarła z przerażenia.

Zawołam ją, sama cito opowie.

Szła, przepraszam zasłowo, do wychodka, a ty,

98

unosząc się w powietrzu, leciałeś w jej stronę.

Podniosła taki wrzask, że zbiegli się wszyscy z podwórka.

Tuż przed wschodem słońca przyszedłeś do mnie i usiadłeś na moim łóżku, tak że nie mogłam poruszyć stopami.

Kim ty jesteś, diabłem?

Icek Nachum milczał.

- Trzymaliśmy to w tajemnicy - mówiła dalej Rojza Genendel.

- Ale nie mogę cierpieć w nieskończoność.

Opowiem całemu światu, kim jesteś i co wyprawiasz.

Zostaniesz wyklęty.

Szkoda mi tylko twojego starego ojca.

Icek Nachum chciał jej odpowiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Wszystko w nim się kurczyło i wyschło.

Zaczął sapać i charczeć jak stary zegar, zanim wybije godzinę.

Coś w jego wnętrzu wiło się jak wąż.

Icka Nachuma ogarnęło przedziwne podniecenie.

Czuł coś w rodzaju chłodnego muśnięcia piórkiem w dołek ręgosłupa.

Potrząsał głową, jakby mówiąc: "Nie".

- Przyszłam tu, żeby cię ostrzec!

Przysięgnij, że zostawisz mnie w spokoju.

Jeśli nie, narobię takiego zamieszania, że cała Bychawa się zleczi.

Machnę ręką na wstyd.

Zejdź do domu modlitwy i przysięgnij na Święte Zwoje.

Albo ja zginę, albo ty.

Icek Nachum uczynił kolejny wysiłek i zaczął mamrotać stłumionym głosem, jakby go ktoś dusił.

- Przysięgam ci, tonie moja wina.

- A czyja?

Używasz Świętych Imion.

Pogrążyłeś się wlekturze Kabały.

Straciłeś to życie - i to lepsze też pewnie stracisz.

To mój ojciec, oby żył jak najdłużej, przysłał mnie do ciebie.

On też ma swych orędowników w niebie.

Ty zadajesz się ze złymi mocami, na moje nieszczęście.

Zawłoką ciężą za Góry Mroku!

Zostaniesz wtrącony do Doliny Wisielców!

Kretyn!

- Rój ze Genendel!

- Diabeł!

Szatan!

Asmodeusz!

Rojza Genendel nagle zamilkła.

Wpatrywała się w Icka Nachumawymi ogromnymi, czarnymi oczami i powoli zaczęła się cofać.

W pokoju nastała taka cisza, że słycać było bzykanie samotnej muchy.

Icek Nachum nabierał sił, aby coś powiedzieć.

Miał tak ściśnięte gardło, jakby coś go dławiło.

- Rojze Genedel, nie mogę.

nie mogę o tobie zapomnieć!

- Ty niedźzna pijawko!

Masz mnie w swojej mocy.

Usta Rojzy Genedel wykrzywił bolesny grymas.

Zakryła twarz obiema rękami i zaczęła zawodzić ochryłym głosem.

^

Ostatni demon

Ja, demon, zaświadczam, że nie ma już żadnych demonów.  
Poconam demony, skoro człowiek sam jest demonem?  
Po co przekonywaćdo złego kogoś, kto jest do niego przekonany?  
Jajestem ostatnimz tych, którzy przekonywali.  
Mieszkamna poddaszu w Tyszowcachi żyję dzięki książce z opowiadkami w jidysz,  
pozostałości sprzed wielkiej katastrofy.  
Opowiadkite nie sązadnym dziełemliteratury, alelitera hebrajskie mająswoją wartość.  
Nie muszę wam chyba mówić, żejestem Żydem.  
A kimże innymmogłbym być, chrześcijaninem?  
Słyszałem o istnieniu chrześcijańskich demonów, ale nie znam żadnegoani teźnie pragnę ich  
poznać.  
Jakub i Ezaw nigdy nie będą braćmi.  
Przybyłem tu z Lublina.  
Tyszowcesą zapomnianą przezBogamięsciną.  
Adam nie wdepnął tutaj nawet po to, aby się wysikać.  
Miasteczko jest tak małe, żekiedy przejeżdża przez nie fura i koń jestna rynku, to tylne koła  
furysięgają rogatek.  
Tyszowce toną wblócieod Sukkot ażdo Tisza be-Aw.  
Kozy w tej dziurze nie muszą zadzierać bród, żeby objadać dachy chałup krytych strzechą.  
Kurysiedzanaśrodkuulicy niczym na grzędzie.  
Ptaki wiją swoje gniazda w czepkachkobiet.  
W bóżnicy krawieckiej cap jest dziesiątym doquorum.  
Nie pytajcie mnie, w jaki sposób udało mi się znaleźć tę najmniejszą literkę w  
najmniejszym zewszystkich modlitewników.  
Ale kiedyAsmodeusz coś każe, tonie mawyboru.  
Droga z Lublina doZamościajest znana.  
Ale dalej jesteś już zdany tylko na siebie.  
Powiedzianomi, żebymsię rozglądał za żelaznym kurkiem, zatkniętym ogrzebieńna^achu  
domu nauki.  
Raz kiedyś tenkurek poruszył się na wietrze,  
100  
ale już od lat ani drgnie.  
Nie reaguje nawetna pioruny i błyskawice!  
W Tyszowcachumierająnawet kurki na dachu.  
Używam czasu terazniejszego, ponieważ dla mnie czas stoi w miejscu.  
Przyjeżdżam.  
Rozglądam się i za nic nie mogę znaleźć nikogoz naszych.  
Cmentarz jestpusty.  
Nie ma nawet wychodka.  
Idędo łaźni rytualnej, alenie dochodzi stamtąd ani jeden dźwięk.  
Siadam nanajwyższej ławce, spoglądam wdół na kamień, na który co piątek lejesię wiadra  
wody, i zaczynamsię zastanawiać.  
Do czego jestem tutajpotrzebny?  
Jeśli chcą jednego małego demona, toczy naprawdę trzebago sprowadzać ażZ.  
Lublina?  
Czyżby brakowało diabłów w Zamościu?  
Na zewnątrz świeci słońce- niedługo nastąpi letnie zrównanie dniaz nocą - ale w łaźni jest  
mroczno i zimno.

Nad sobą widzę pajęczynę wiążącego się w niej pajaka, który wydajesię prząść, chociaż nie ciągnie za sobą nici.

Niema śladu muchy, choćby jej pancerza.

"Czymsię żywi ten stwór?"

" - zapytuję.

"Swoimi własnymi trzewiami?"

" Nagle słyszę, jak śpiewnie zaczyna recytować Talmud.

"Nie zadowolisz

lwa odrobiną stawy, a rysztoła niewypełni brud ściekający z jego własnych ścian".

Wybucham śmiechem.

- Więc to tak?

Dlaczego przebrałeś się za pajaka?

- Byłem już robakiem, pchłą, żabą.

Siedzę tutaj od dwustu lat i nie mam nic do roboty.

Ale trzeba mieć zezwolenie, aby stąd wyjechać.

- Chcesz powiedzieć, że tutejsi ludzie nie grzeszą?

- Mali ludzie, małe grzechy.

Dziś ktoś z zazdrości drugiemu miotły, a następnego dnia pości i pokutuje w butach pełnych ziaren grochu.

Od czasu kiedy Abrahamowi Zalmanowi zaczęło się wydawać, że to on jest Mesjaszem, synem Józefa, tym ludziom zakrzepła krew w żyłach.

Na miejscu Szatana, nie wysłałbym tu nawet jednego z naszych pierwszoklasistów.

- A ileż go to kosztuje?

- Co nowego na świecie?

- pyta.

- Dla nas nic dobrego.

- Co się dzieje?

Czyżby Duch Święty stawał się coraz silniejszy?

- Silniejszy?

On może być mocny tylko w Tyszowcach.

W dużych miastach nikt o nim nie słyszał.

Przestał być modny nawet w Lublinie.

- To znaczy, że wszystko powinno grać.

- Alen gra - mówię.

- "Grzesznicy z krwi i kości są dla nas dużo gorsi niż Niewiniątka".

Doszło do tego, że ludzie chcą grzeszyć ponad.

swe możliwości.

Zamęczają się dla najbardziej trywialnych występków.

Jeśli tak jest, toco tu po nas?

Przedchwiła przelatywałem nad ulicą Lewertową i zobaczyłem mężczyznę w futrze ze skunksów.

Miał czarną brodę i faliste pejsy; w ustach trzymał bursztynowy ustnikcygara.

Po drugiej stronie ulicy szła żona urzędnika, więc mówię mu:

"Nieźła sztuka, wujek, nie sądzisz?"

"Chciałem tylko, aby podchwyciła myśl.

Nawet przygotowałem sobie chusteczkę, na wypadek gdyby chciał mnie opluć.

A on co?"

"Po co mi to mówisz?"

" - woła rozzłoszczony.

"Ja mamochotę, choćby zaraz.

Niemnie przekonuj, tylko

Ja".

' -1 to ma być nieszczęście?"

-To Oświecenie!

W ciągu dwustu lat, które przesiedziało tutaj na tyłku, Szatan zgotował nam niezłą kaszę.

Żydzi dorobili się teraźpisarzy.

Jedni piszą w jidysz, drudzy po hebrajsku i odbierają nam chleb.

Zdieramy sobie gardła, próbując przekabacić każdego podlotka i podrostka, a oni drukują swoje kicze w tysiącach egzemplarzy i rozprawiają je wśród Żydów.

Znają wszystkie sztuczki - szyderstwo, pobożność.

Wymyślają sto powodów, dla których nawetszczur musi być koszerny.

Chcą jedynie zbawić świat.

Dlaczego zostawili cię tu aż na dwieście lat, skoro nie udało ci się nic zdziałać?"

A skoro tobie się nie udało przez dwieście lat, to czego oczekują odemnie po dwóch tygodniach?"

-Znasz przysłowie: "Nowy człowiek, nowe spojrzenie".

- O jakie spojrzenie ci chodzi?"

-Przeniósł się tutaj młody rabin z Modlibożyc.

Nie ma jeszcze trzydziestu lat, ale jest naładowany wiedzą, zna na pamięć trzydzieścisześć traktatów Talmudu.

Jest największym kabalistą w Polsce, pościwił każdy poniedziałek i czwartek i bierze kąpiele rytualne w lodowatej wodzie.

Nie pozwala żadnemu z nas otworzyć ust.

Co więcej, maśliczną żonę - więc sprawy odpadają.

Nie mamy czym go skusić!

Równie dobrze mógłbyś próbować przebić głową mur.

Jeżeli ktoś mnie zapyta o zdanie, to powiem, że powinniśmy zapomnieć o Tyszowcach.

Proszę cię tylko, pomóż mi się stąd wydostać, zanim zwariuję.

- Najpierw muszę porozmawiać z tym rabinem.

Jak myślisz, odczego powinienem zacząć?"

- Nie wiem.

Posypie ci ogon solą, zanim otworzysz usta.

- Jestem przeciw z Lublina.

Nie tak łatwo mnie przestraszyć.

102

2

W drodze do rabina pytam diabła:

- Jakich sztuczek już z nim próbowałeś?
- Spytaj raczej, czego nie robiłem - odpowiada.
- Kobieta?
- Na żadną nie spojrzysz.
- Herezja?
- Ma odpowiedź na każde pytanie.
- Pieniądze?
- Nie wie nawet, jak wygląda moneta.
- Sława?
- Ucieka przed nią.
- Czy nie oglądasz się za siebie?
- Nawet nie odwraca głowy.
- Musi przecież mieć jakiś słaby punkt.
- Tylko jaki?

Okno do izby rabina jest otwarte, więc wlatujemy do środka.

Widzimy tam przedmioty, których rabin używa codziennie: arkę ze Świętymi Zwojami, półki naksiążki, mezzetę w drewnianej skrzyni.

Rabin, młody mężczyzna z jasną brodą, niebieskimi oczami, złotymi pejsami i wysokim czołem poranym brzdami, siedzi na rabinicznym krześle, pochłonięty lekturą Gemary.

Jest w pełnym rynsztunku: jarmułka, pas i taśma, którego każdy frędzel ma osiem splotów.

Wsluchuję się w jego myśli, a tu same czyste i niewinne rzeczy!

Kiwa się i mruży

po hebrajsku: "Rachel funahv'gazezah", a później tłumaczy to jako "dorodna ostrzyżona owca".

- Po hebrajsku Rachel oznacza zarówno owcę, jak i imię dziewczyny - mówię.
- I co z tego?
- Owca ma wełnę, a dziewczyna włosy.
- A więc?
- Jeśli nie jest obłąkana, to ma włosy łonowe.
- Przestań pleść bzdury i daj mi studiować - mówi zdenerwowany rabin.
- Zaczekaj chwilę - mówię - Tora nie ostygnie.

To prawda, że Jakub kochał Rachelę, ale kiedy mu dano Leę, wcale nie była mu

103.



wstrętna A kiedy Rachel dała mu Bilhę za konkubinę, to jak postąpiła Lea, żeby zrobić siostrze na złość?

Wpakowałam do łóżka

Zilpę.

- To było, zanim Bóg dał Żydom Torę.

- A co powiesz o królu Dawidzie?

- To się zdarzyło przed ekskomuniką rabina Gerszoma.

- Przed czy po rabinie Gerszomie, mężczyzna jest mężczyzną.

- Kanalia.

SAaddai kra Saran - mówi rabin.

Chwyta się za pejsy zaczyna drżeć, jakby go nawiedził złysen.

- Dlaczego myślę o takich bzdurach?

Palcami zatyka uszy.

Mówię dalej, ale on nie słucha, pochłania go jakiś trudny ustęp i nie ma z nim już żadnej rozmowy.

Mały diabełek

z Tyszowiec mówi: .

- Trudno go zagiąć, no nie?

Jutro będzie pościł tarzać się w gąszczu ostów.

Odda swój ostatni grosz na cele dobroczynne.

- I kto by się spodziewał czegoś tak wierzącego w dzisiejszych czasach?

- Jest twardy jak skała.

- A jego żona?

- Potulna jak baranek.

- A co z dziećmi?

- To jeszcze maleństwa.

- Może ma teściową?

- Jest już na tamtym świecie.

- A może jest uwikłany w jakieś spory?

- Nie ma ani pół wroga.

- Gdzie można znaleźć taki klejnot?

- Wśród Żydów trafiasz coś takiego raz na jakiś czas.

- Muszę go dostać w swoje ręce.

To moja pierwsza robotaw tejokolicy.

Obiecano mi, że jeśli mi się uda, to przeniosą mnie do Odessy.

- A dlaczego tak ci na tym zależy?

- To dla nas prawdziwy raj.

Można spać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ludzie tak tam grzeszą, że nie musisz nawet kiwnąć palcem.

- To co robicie przez cały dzień?

- Zabawiamy się z naszymi kobietami.

- Tutaj nie ma ani jednej z naszych dziewczyn - wzdycha diabełek.

- Była tu taka jedna starasuka, ale wyciągnęła kopyta.

104

- To co ci pozostało?

- To, co robił Onan.

- To donikądnie prowadzi.

Pomóż mi, a przysięgam ci na brodę Asmodeusza, że cię stąd wyciągnę.

Mamy wolny etat dla mieszczagorzkich ziół.

Pracuje się tylko wczasie Paschy.

- Mam nadzieję, że nam się to uda, ale nie mów hop, póki nieprzeskoczysz.

- Nie takim twardzielom dawaliśmy radę.

3

Mija już tydzień, a nasza sprawa stoi w miejscu.

Jestem w podłym nastroju.

Tydzień w Tyszowcach to tak jak rok w Lublinie.

Właściwie nic nie mam do tego diabła z Tyszowiec, ale kiedy ktoś przebywa w wieści lat w takiej dziurze, staje się po prostu kmiotkiem.

Opowiadają ci dowcipy, które nie bawiły Henocha, i sam pęka ze śmiechu; popisujesz swoją znajomością Hagady.

Każda z jego historii ma długą brodę.

Chciałbym wynieść się stąd do cholery, ale to żadna sztuka wrócić do domu z pustymi rękami.

Mam wrogów wśród swych kolegów i muszę mieć się na baczności przed ich intrygami.

A może wysłali mnie tutaj właśnie po to, abym się powinęła noga.

Kiedy diabły przestają wojować z ludźmi, zaczynają walczyć między sobą.

Doświadczenie uczy, że spośród wszystkich przynęt, które stosujemy, trzy są niezawodne - pycha, duma i chciwość.

Nikt się przed nimi nie uchwaja, nawet sam rabin Coc.

Najtrudniej ustrzec się przed pychą.

Talmud zezwala uczonemu na ósmą część ósmej części próżności.

Ale wykształcony człowiek zazwyczaj przekracza swój limit.

Kiedy widzę, jak upływa czas, a rabin z Tyszowiec uparcie odrzuca wszystkie pokusy, koncentruję się na jego pysze.

- Rabinie z Tyszowiec - mówię mu - nie urodziłem się wczoraj.

Pochodzę z Lublina, gdzie ulice są wybrukowane tekstami talmudycznymi.

Rękopisami palimy w piecach.

Poddasza uginają się pod ciężarem tomów Kabały.

Ale nawet w Lublinie nie spotkałem człowieka tak wybitnego jak ty.

Jak to się stało - pytam - że nikt o tobie nie słyszał?

Być może prawdziwi święci powinni się ukrywać, ale skromności nikomu nie przyniesie zbawienia.

Powinieneś być przywódcą całego

105.

pokolenia, a nie tylko rabinem tej gminy, choćby była nie wiem jak bogobojna.  
Nadszedł czas, abyś się ujawnił.  
Niebo i ziemia czekają na ciebie.  
Sam Mesjasz siedzi w Ptasim Gnieździe i rozgląda się poszukiwaniu tak nieskazitelnego świętego jak ty.  
A ty co robisz?  
Siedzisz na swym rabinicznym krześle, rozstrzygając, które garnki i patelnie są koszerne.  
Wybacz mi porównanie, ale to tak, jakby słoniowi kazano dźwigać źdźbła trawy.  
- Kim jesteś i czego chcesz?  
- pyta przerażony rabin.  
- Dlaczego nie pozwalasz mi studiować?  
- Czasem, służąc Bogu, trzeba zaniedbać Torę - wołam.  
- Każdy może zgłębiać Gemarę.  
- Kto cię tuprzyślał?  
- Wysłano mnie, więc jestem.  
Myślisz, że otobienie wiedziałam w górze?  
Zwierzchnicy są z ciebie niezadowoleni.  
Im szersze barki, tym większe brzemie muszą dźwigać.  
Innymi słowy: i pokornymi błędzi.  
A teraz posłuchaj: Abraham Zalman był Mesjaszem, synem Józefa, a ciebie wybrano, abyś przygotował świat na nadejście Mesjasza, syna Dawida.  
Obudź się!  
Bądź gotów do walki.  
Świat zniżasz do czterdziestej dziewiątej bram nieczystości, ale ty przedarłeś się do siódmego firmamentu.  
W salach niebieskich słyszą tylko jedengłos - człowieka z Tyszowiec.  
Anioł odpowiedzialny za Edom zebrał przeciwko tobie klan demonów.  
Szatan też tylko czyha.  
Asmodeusz kopie pod tobą dołki.  
Lilit i Nama krążą nad twym łóżem.  
Szabiriri Briri, chociaż ich nie widzisz, deptają ci popiętach.  
Gdyby nie opieka Aniołów ta bezbożna ciżba starłaby cię na proch.  
Ale nie jesteś sam, rabinie z Tyszowiec.  
Lord Sandalfon strzeże cię nakażdym kroku.  
Metatron czuwa nad tobą z swej świetlistej komnaty.  
Teraz ważą się losy tego świata i ty, człowieku z Tyszowiec, możesz przeważać szalę.  
- Co powinienem zrobić?  
- Zapamiętaj dobrze wszystko, co ci powiem.  
Nawet jeżeli polecę ci złamać prawo, zrób, co ci każe.  
- Kim jesteś?  
Jak się nazywasz?  
- Jam jest Elias Tiszbite.  
Trzymam w gotowości barani róg Mesjasza.  
To od ciebie zależy, czy zostaniemy zbawieni, czy też będziemy błędzić w ciemnościach egipskich przez następnych dwatysiąc sześćset osiemdziesiąt dziewięć lat.  
Rabin z Tyszowiec milczy przez długą chwilę.  
Jego twarz staje się biała jak papier, na którym zapisuje swoje komentarze.

- zapytuje drżącym głosem.

-Wybacz mi, Święty Aniele, ale musisz mi dać jakiś znak.

- Masz rację.

Zarazci go dam.

I wzniesam taki wiatr w izbie rabina, że kartka, na której pisze, spada ze stołu i zaczyna fruwać niczym gołąb.

Strony Gemary samą się przewracają.

Zasłona Świętych Zwojów zaczyna falować.

Jarmułka

spada z głowy rabina, wznosi się do sufitu i ponownie opada mu na głowę.

- Czy uważasz, że jest to dziełem Natury?

-Nie.

- Czy teraz mi wierzysz?

Rabin z Tyszowic waha się.

- Co chcesz, abym zrobił?

-Przywódca tego pokolenia musi być sławny.

- Co trzeba zrobić, aby zdobyć sławę?

-Podróżować po świecie.

- A co mam robić w tym świecie?

-Prowadzić kazania i zbierać pieniądze.

- Na jaki cel?

-Najpierw zbierz.

Później ci powiem, co z nimi zrobić.

- Od kogo mam zbierać?

-Od Żydów.

Namój rozkaz dają ci pieniądze.

- A z czego będę się utrzymywał?

-Emisariusz rabinów ma prawo do pewnej części tego, co zbiera.

- A co z moją rodziną?

-Wystarczy dla wszystkich.

- Co mam teraz zrobić?

-Zamknij Gemarę.

- Och, ale moja dusza nie może żyć bez Tory - zaczyna stękać rabin z Tyszowic.

Podnosi jednak kładkę księgi, jakby był gotów ją zamknąć.

Gdyby to uczynił, miałby to za sobą.

A co zrobił ten Józef de la Rina?

Po prostu wręczył Samaelowi szczyptę tabaki.

Już się śmieje do siebie: "Rabinie z Tyszowic, owinałem cię wokół palca".

Mały diabeł złaźni stoi w kącie, nadstawia uszu i zielenieje z zazdrości.

To prawda, obiecałem, że oddam mu przysługę, ale zazdrość w wydaniu naszych jest silniejsza od wszystkiego.

Nagle rabin powiada:

107.

- Wybacz mi, Panie, ale potrzebuję jeszcze jednego dowodu.

-Co chcesz, abym uczynił?

Zatrzymał słońce?

- Pokaż mi tylko swoje stopy.

Wchwiligdy rabin z Tyszowiec wymawia te słowa, wiem już, że wszystko jest stracone.

Możemy przykryć wszystkie części naszego ciała, z wyjątkiem stóp.

Od najmniejszego diabełka aż po Ketewa Meriri wszyscy mamy gęsie łapy.

Diabeł, który wciąż stoi w kącie, wybucha śmiechem.

Po raz pierwszy od tysiąca lat mnie, mistrzowi słowa, zabrakło języka w gębie.

- Nie mam zwyczaju pokazywać stóp - wykrzykuję pełen złości.

- To znaczy, że jesteś diabłem.

Pik, wynoś się stąd!

- krzyczy rabin.

Podbiega do swej biblioteczki, wyciąga Księgę Stworzenia i wymachuje mi nią przed nosem, jakby chciał mnie odstraszyć.

Który diabeł przeciwstawi się Księdze Stworzenia? Uciekam z izby rabinaz rozdartą duszą.

Żeby się dłużej nie rozwodzić, powiem krótko - wciąż siedzę w Tyszowcach.

Koniec z Lublinem, koniec z Odessą.

W jednej sekundzie wszystkie moje fortele obracają się wniwecz.

Otrzymuję rozkaz od samego Asmodeusza: "Pozostań w Tyszowcach i smaż się na ruszcie.

Nie wyruszaj dalej, aniżel człowiek może zająć napiechotę w szabas".

Jak długo tu tkwię?

Całą wieczność plus jedną środę.

Widziałem już wszystko - zniszczenie Tyszowiec, zniszczenie Polski.

Nie ma już Żydów, nie ma już demonów.

Kobiety nie wylewają już wody nocą w środku zimy.

Nie unikają też wręczania parzystej liczby prezentów.

Nie pukają już o świącę do przedsionka synagogi.

Nawet nie ostrzegają nas, kiedy wylewają pomyje.

Któryś piątku w miesiącu nisan zamęczono rabina na śmierć.

Całą gminę wymordowano, spalono święte księgi, zbezczeszczono cmentarz.

Księga Stworzenia powróciła do rąk Stwórcy.

Z łaźni rytualnej korzystają chrześcijanie.

Kapliczka Abrahama Zalmana zamieniła się w chlew.

Nie ma już Anioła Dobroci ani Anioła Zła.

Koniec z grzechami, koniec z pokusami!

Pokolenie siedemrazy przekroczyło swe winy, a Mesjasz wciąż nie nadchodzi.

Do kogomiałby przyjść?

Mesjasz nie przybył do Żydów, więc Żydzi poszli doniego.

Diabły nie są już nikomu potrzebne.

Nas też unicestwiono.

Jajestem ostatni, uchodźca.

Mogę iść tam, gdzie mi się spodoba, a gdzie taki diabeł jak ja miałby się udać?

Do morderców?

Znalazłem książkę z opowiastkami w jidysz między dwiema połamanymi beczkami w domu, który niegdyś należał do Welwela Beczka

rzą. Siedzę tam, ja, ostatni ze wszystkich diabłów.

Żywię się kurzem.

Śpię na miotełce z gęsich piór.  
Na okrągło czytamte brednie.  
Książkajest w naszym stylu: szabasowy kugel z wieprzowego sadła:bluźnierstwo pod  
płaszczykiem pobożności.  
Morał książkijest następujący:  
    ani sędziego, ani wyroku.  
Ale przynajmniej napisana jest po żydowsku.  
Alfabetu nie udało im się zniszczyć.  
Wysysam litery i to jest  
    moja strawa.  
Liczę słowa, układam rymy i do znużenia trawię każdąkropkę.  
    Aleph,absolutna otchłań, cóżwięcej jest nam dane?  
Bet, bicie od dawna nam zgotowane.  
Geemel, glorii pełen Bóg udaje, że wie o tym, Dalet, dostojna śmierć swój cieńrzuca na boki.  
Hey, hardy katjuż czeka na swoją ofiarę;  
    Wov, wiedzato głupota ponadludzkąmiarę.  
Zayeen, znaki zodiaku majaczące w oddali;  
    Chet, chrome dziecko, które przed narodzeniem na śmierć skazali.  
Tet, tęgi myśliciel, pan do więzienia wtrącony;  
    Jocf, judasz sędzia, zły wyrok przezeńogłoszony.  
    Tak, przetrzymam, dopóki istnieje ta jedna jedyna książka.  
Dopóki mole nie zjedzą ostatniejkartki, mam się czym bawić.  
Wolałbymniemówić, co się stanie, kiedy zniknie ostatnia litera.  
    A kiedy już zniknie ostatnia litera, Ostatniemu z diabłówprzyjdzie czas umierać.  
109.

Jentł, chłopiec z jesziwy

Kiedy umarł ojciec Jentł, dziewczyna nie miała po co zostawać w Janowie.

Była domuzupełnie sama.

Nie myślcie sobie, pełno było chętnych do wynajęcia pokoju i płacenia czynszu; mało tego, swatki wiedziały ją z ofertami z Lublyia, Tomaszowa, Zamościa.

Ale Jentł nie chciała wyjść za mąż.

Coś w jej wnętrzu powtarzało: "Nie!

" Boi coś ma z życia dziewczyna po ślubie?

Natychmiast zaczyna rodziców wychowywać dzieci.

A rządy nad nią obejmuje teściowa.

Jentł wiedziała, że babskie życie nie było jej przeznaczeniem.

Nie umiała szyć ani robić nadrutach.

Przypalała jedzenie, a mleko zawsze kipiało jej z garnków.

Szabasowy kugel nigdy się nie udawał, a ciasto drożdżowe chciało wyrosnąć.

Jentł o wiele bardziej wolała męskie zajęcia.

Jej ojciec, reb Todros, niech spoczywa w pokoju, przez wiele lat złożony chorobą, studiował Torę ze swą córką, jakby była chłopcem.

Kazał Jentł zamknąć drzwi i zasłaniać okna, aby potem snuć z nią rozważania na temat Pięcioksięgu, Miszny, Gemary i Komentarzy.

Okazała się tak zdolnym uczniem, że jej ojciec zwykł mówić:

- Jentł - ty masz duszę mężczyzny.

- To dlaczego urodziłam się kobietą?

- Nawet w Niebie popełniasz błędy.

Bez wątpienia Jentł różniła się od wszystkich dziewcząt w Janowie.

Była wysoka, chuda, koścista, miała małe piersi i wąskie biodra.

W szabasowe wieczory, kiedy ojciec zasypiał, wkładała jego spodnie, taśes, jedwabny płaszcz, jarmułkę, aksamitny kapelusz i bacznie przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

Wyglądała jak przystojny, młody brunet.

Miała nawet lekki meszek nad górną wargą.

Tylko jej grube

110

warkocze upodabniały ją do kobiety - ale przecież włosy zawsze można obciąć.

Jentł obmyślała pewien plan i całe dni i nocami nie mogła myśleć o niczym innym.

Nie, nie została stworzona do zagniatania makaronu na stolnicy czy też przyrządzania kugla, plotkowania z głupimi kobietami i przepychania się w kolejkach urzędnika.

Ojciec powiedział jej tyle ciekawych rzeczy o jesziwach, rabinach, ludziach nauki!

Głowę miała pełną mudycznych debat, pytań i odpowiedzi, uczonych zwrotów.

Jentł nawet paliła po kryjomu fajkę ojca.

Jentł powiedziała pośrednikom, że chce sprzedać dom i przeprowadzić się do Kalisza, aby zamieszkać tam z ciotką.

Kobiety z sąsiedztwa próbowały wybić jej ten pomysł z głowy, a swatki uznały, że jest szalona, gdyż znacznie łatwiej znalazłaby dobrą partiętu, w Janowie.

Ale Jentł się uparła.

Tak jej było śpieszno, że sprzedała dom pierwszemu chętnemu, a meble pozbyła się za bezcen. Z całego spadku wzięła dla siebie tylko sto czterdzieści rubli.

Pewnej nocy, w miesiącu aw, kiedy Janów był pogrążony we śnie, Jentł obcięła

warkocze, ufrizowała sobie pejsy i przebrała się w rzeczy ojca.

Spakowała do

wiklinowej walizki bieliznę, filakterie oraz kilka książek i wyruszyła pieszo do Lublina.

Na głównej drodze udało jej się zatrzymać wóz, który zawiózł ją do Zamościa.  
Stamtąd znów poszła pieszo.  
Po drodze zatrzymała się w pewnym zajezdzie, podając się za Anszela.  
Tak się nazywał jej świętej pamięci wuj.  
Zajazd roił się od młodzieńców, którzy podróżowali, aby studiować pod okiem słynnych rabinów.  
Akurat sprzeczała się na temat zasług różnych szkół.  
Niektórzy chwalili jeziwy na Litwie, inni z kolei uważali, że poziom nauki i warunki życia były lepsze w Polsce.  
Wtedy to po raz pierwszy Jentl znalazła się sama w towarzystwie chłopców.  
"Jakże inna ich rozmowa od babskiej paplaniny" - pomyślała, ale była zbyt nieśmiała, aby włączyć się do dyskusji.  
Jeden z młodzieńców mówił o swym weselu, które miało się odbyć w niedalekiej przyszłości, i rozwdził się nad wielkością posagunarzeczony, inny chłopiec, parodiując zachowanie purimowego rabina, deklamował fragment z Tory, dodając od siebie sprośne objaśnienia.  
Po chwili wszyscy zaczęli się siłować.  
Jeden usiłował rozewrzeć zaciśniętą pięść kolegi, drugi znów mocował się na rękę.  
Jeden student, posilający się chlebem i herbatą, nie miał łyżeczki i mieszał napój scyzorykiem.  
W pewnym momencie któryś z nich podszedł do Jentl, szturchnął ją w ramię i zapytał:



- Coś ty taki cichy?

Odjęło ci mowę?

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Jak się nazywasz?

- Anszel.

- Ty rzeczywiście jesteś nieśmiały.

Jak fiołek w parowie.

Mówiąc to, chłopak schwycił Jentl za nos.

Zapewne walnęłabygo w twarz, aleręka odmówiła jej posłuszeństwa.

Zbladła.

Inny student, niecostarszy od pozostałych, wysoki i blady, o płonących oczach czarnej brodzie, przyszedł jej z pomocą.

- Hej, ty, dlaczego mu dokuczysz?

- Jak ci się nie podoba, to nie patrz,

- Chcesz, żebym ci oberwał pejsy?

Brodaty młodzieniec skinął na Jentl, potem spytał, skąd przybywa i dokąd zmierza.

Jentl wyznała mu, że szuka jakiejś spokojnejjesziwy.

Młodyczłowiek poskubał brodę i rzekł:

- To jedź ze mną do Bychawy.

Wyjaśnił jej, że jedzie do Bychawy na czwarty rok studiów.

Tamtejsza jesziwa jest mała, liczy zaledwietrzydziestu studentów, a mieszkańcy miasteczka dają im wszystkim pokoje.

Nikt nie chodzi głodny, a gospodynie cerują skarpety studentów i piorą ich ubrania.

Rabin w Bychawie, prowadzący jesziwę, jest geniuszem.

Potrafi zadać dziesięć pytań i dać na niewszystkie jedną odpowiedź.

Większość studentów poznawała swe żony w miasteczku.

- To dlaczego wyjechałeś w środku semestru?

- zapytała Jentl.

- Zmarła moja matka.

Właśnie wracam z pogrzebu.

- Jak masz na imię?

- Awigdor.

9

- Dlaczego nie jesteś żonaty?

Itt" Młody człowiek podrapał się brodę.

- To długa historia.

- Opowiedz mi ją.

Awigdor zasłonił oczy dłońmi i zamyślił się na chwilę.

- Przyjedziesz do Bychawy?

- Tak.

- To i tak wkrótce się dowiesz.

Byłem zaręczony z jedyną córką Altera Wyszkowera, najbogatszego człowieka w miasteczku.

Nawet ustaliliśmy datę ślubu, kiedy nagle zerwanonasz zaręczyny.

- Dlaczego?

112

- Nie wiem.

Podjejrzwam, że to sprawa plotek.

Miałem prawdomagać się połowy posagu, ale to wbrew mojej naturze.

Teraz chcę mi wyswatać inną dziewczyną, ale ona mi się nie podoba.

- To znaczy, że w Bychawie studenci jesziwy patrzą na kobiety?
- W domu Altera, gdzie jadalem raz w tygodniu, podawała dostołu jego córka, Hadasa.
- Czy jest ładna?

- Jest blondynką.
- Brunetki również mogą być ładne.
- Nie.

Jentl zerknęła na Awigdora.

Był szczupły i kościsty i miał zapadnięte policzki.

Jego kręcone pejsy były tak czarne, że miały aż niebieski odcień, a brwi stykały się u nasady nosa.

Patrzył na nią nieśmiało, jakby żałując, że odkrył swą tajemnicę.

Kłapa jego marynarki była rozdarta na znak żałoby i widać było podszewkę.

Cały czas bębnił palcami po blacie stołu i nucił jakąś piosenkę.

Różne myśli kołatały mu się po głowie.

Nagle odezwał się:

- Nieważne.

I tak zostanie pustelnikiem.

2

Dziwne, ale kiedy tylko Jentl - czyli Anszel - przybyła do Bychawy, ustalono, że raz w tygodniu będzie się stołować w domu tego samego bogatego człowieka, Altera Wyszkowera, którego córka zerwała swe zaręczyny z Awigdorem.

Studenci w jesziwie uczyli się pararii Awigdor wybrał sobie Anszela za partnera.

Pomagał mu w lekcjach.

Był również znakomity pływakiem i zaproponował, że nauczy Anszela pływać żabką i utrzymywać się na powierzchni.

On jednak zawsze znajdował wymówki, aby nie iść nad rzekę.

Awigdor zaproponował, żeby wynajęli wspólny pokój, lecz Anszel znalazł miejsce w domu starszej wdowy, która była prawie niewidoma.

We wtorki Anszel jadał w domu Altera Wyszkowera, a do stołu podawała mu Hadasa.

Awigdor zawsze zadawał mu wiele pytań: "Jak wygląda Hadasa?"

Czy jest smutna?

Czy jest wesoła?

Czy starają się o męża dla niej?

Czy kiedykolwiek wymawiamy jej imię?

" Anszel opowiadał mu, jak to upuściła naczynia na obrus,

113.

zapomniała przynieść sól i zanurzyła palce w misce z kaszą, którąniosła do stołu. Poganiałaśluzącą, wiecznie czytała romansidła i cotydzień zmieniała fryzurę. Ponadto musi się uważać zapięknosc, bonieustannie przegląda się w lustrze, choć w rzeczywistości wcale nie

jest taka ładna.

- Dwa lata po ślubie będzie wyglądaćjak stary babsztyl - powiedział Anszel.

-Czyli niepodoba ci się?

- Nieszczęśliwie.

-Ale gdyby ciebie chciała, to byś jej nie odtrącił.

- Mógłbym bez niej żyć.

-Nie nachodzącę grzeszne pokusy?

Dwajprzyjaciele,dzieląc pulpit w kącie Bei-Lamidraszu,spędzaliwięcej czasu na rozmowach niż na studiowaniu.

Czasami Awigdor palił,a wtedyAnszel wyjmował mu papierosa z ust i też sięzaciągał.

Awigdor lubił placki gryczane, tak więc Anszel codziennie rano chodziłdo piekarni i kupowałmu jeden placek, za który nie chciał pieniędzy.

Anszel częstoroził rzeczy, które wielcezadziwiały Awigdora.

Na przykład kiedyAwigdorowi urywał się guzik przy płaszczu, następnego dnia Anszel przynosił z sobądo jesziwy igłę inicji przyszywał guzikna miejsce.

Kupował Awigdorowi całe mnóstwo prezentów: jedwabnąchusteczkę, parę skarpet, szalik.

Awigdorcoraz bardziej przywiązywał się do tego o pięć lat młodszegochłopca, który nawet niemiałzarostu.

Pewnego razuAwigdor powiedział Anszelowi:

- Chcę, abyś ożenił się z Hadasą.

-A cóż ty miałbyś ztego?

- Lepiej,żebyś tobył ty, a nie ktoś obcy.

-Stałbyś się moim wrogiem.

- Nigdy.

Awigdor lubił chodzić na długie spacerzy po miasteczku i Anszel często przyłączał się do niego.

Pochłonięci rozmową,dochodziliaż do młynaalbo do lasu sosnowego, albo do krzyżówki,gdzie stałachrześcijańskakapliczka.

Czasami wyciągali się na trawie.

- Dlaczego kobietanie może być jak mężczyzna?

- spytał kiedyśAwigdor, wpatrującsię w niebo.

- Co maszna myśli?

-Dlaczego Hadasą nie może być taka jak ty?

- Jak to jak ja?

114

- Och- dobrym kumplem.

Anszelzaczął błaznować.

Urwał kwiatek i oberwał wszystkiepłatki po kolei.

Potempodniósłkasztan i rzucił nim w Awigdora.

Awigdor obserwował biedronkę, która szła po jego dłoni.

Po chwiliodezwał się:

- Chcą mnie ożenić.

Anszelusiał natychmiast.

- Z kim?

-Z córką Fajtla, Pesią.

- Z tą wdową?
- Tak, z nią.
- Dlaczego miałbyś się żenić z wdową?
- Nikt innymnie niechce.
- To nieprawda, pojawi się jeszcze ktoś dla ciebie.
- Nigdy.

Anszel powiedział Awigdorowi, że była to zła partia.

Pesianiemiała ani urody, ani intelektu, była tylko krową o ludzkich oczach.  
Ponadto przynosiła pecha, gdyż jej mąż zmarł w pierwszym roku ich małżeństwa.  
Takie kobiety zabijają mężów.  
Ale Awigdor nic nie odpowiedział.  
Przypalił papierosa, zaciągnął się mocno i zaczął wypuszczać kółka dymu.  
Pozieleniał na twarzy.

- Potrzebuję kobiety.

Nie mogę spać po nocach.

Anszel był wstrząśnięty.

- Dlaczego nie poczekaasz na kobietę swego życia?
  - Hadasą była moim przeznaczeniem.
- Awigdorowi oczy zaszyły łzami.

Podniósł się szybko, mówiąc:

- Dostyc wylegiwania się.

Chodźmy.

Po tej rozmowie wszystko potoczyło się szybko.

Jednego dnia Awigdor zwierzył się ze swego problemu Anszelowi, dwa dni później zaręczył się z Pesią i przyniósł do niej wypiernik i butelkę wódki.

Wyznaczono bardzo bliski termin ślubu.

Kiedy przyszła panna młoda jest wdową, nie trzeba czekać na jej wyprawę.

Wszystko jest już gotowe.

Ponadto pan młody był sierotą i nie trzeba było nikogo prosić o zgodę.

Studenci jesziwy wypili wódkę i złożyli mu gratulacje.

Anszel też wypił łyk, ale zaraz się zakrztusił.

- Oj, ależ piecze!
- Słaby z ciebie mężczyzna - zaśmiał się Awigdor.

115.

Po uczczeniu tej okazji Awigdor i Anszel usiedli razem nad tomem Gemary, ale nauka im nie szła.

Ich rozmowa była równie powolna.

Awigdor kołysał się doprzodu i do tyłu, skubał się w brodę i szeptał coś do siebie.

- To mój koniec- odezwał się nagle.

- Skoro ci się nie podoba, to po co siężenisz?

- Poślubiłbym nawet kozę.

Następnego dnia Awigdor nie pojawił się w domu nauki.

Fajtl, handlarzskórą, był chasydem i chciał, aby jego przyszły zięć kontynuował naukę w chasydzkim domu modlitwy.

Studenci jesziwy mówili między sobą, że chociaż wdowa jest niska i okrągła jak beczka, jej matka jest córką mleczarza, a ojciec półgłupkiem, to jednak cała rodzina brodzi w pieniądzach.

Fajtl był współwłaścicielem garbarni; Pesia zainwestowała swe wiano w sklep, gdzie handlowano się śledziami, dziegciem, garnkami i patelniami, który był zawsze pełen wieśniaków.

Ojciec córka chcieli ubrać Awigdora i zamówili już dla niego futro, jesionkę, jedwabną kapotę i dwie pary butów.

Ponadto od razu obsypali go prezentami, rzeczami, które należały do pierwszego męża Pesii. Otrzymał wileńskie wydanie Talmudu, złoty zegarek, świecznik chanukowy, pudełko na przyprawę.

Anszel siedział sam przy pulpicie.

Wewtorek, kiedy Anszel przyszedł na obiad do domu Ałtera Wyszkowera, Hadasa rzekła:

- No i co powiesz o twym przyjacielu - znowu w sidłach, czyżnie?

- Myślałaś, że nikt go już me zechce?

Hadasa zarumieniła się.

- To nie była moja wina.

To mój ojciec był przeciwny naszemu małżeństwu.

- Dlaczego?

- Ponieważ wyszło na jaw, że jego brat się kiedyś powiesił.

Anszel spojrział na nią, kiedy tak stała - wysoka, jasnowłosa, o długiej szyi, pociągłej twarzy, niebieskich oczach, ubrana w bawełnianą sukienkę i perkalowy fartuszek.

Włosy, które zaplotła w dwa warkoczki, sięgały jej do ramion, "Szkoda, że nie jestem mężczyzną"- pomyślała Jentl.

- Czy teraz tego żałujesz?

- spytał Anszel.

- O, tak!

116

Hadasa wybiegła z pokoju.

Resztę obiadu, pierogi z mięsemi herbatę, przyniosła służąca.

Hadasa pojawiła się dopiero, gdy Anszel skończył jeść i mył dłonie przed Końcowym Błogosławieństwem.

Podeszła do stołu i rzekła przytłumionym głosem:

- Przysięgnij, że mu nie powiesz.

Po co ma wiedzieć, co się dzieje w moim sercu!

Po czym znów wybiegła, o mało co nie przewracając się o próg.

3

Przełożony jezuiwy kazał Anszelowi dobrać sobie innego partnera do nauki, ale mijały tygodnie, a Anszel wciąż studiował samotnie. Nie było nikogo w jezuiwie, kto mógłby zająć miejsce Awigdora.

Wszyscy pozostali byliby maluczcy, duchem icałem.

Prowadzili bezsensowne rozmowy, przechwalali się błazeństwami, szczerzyli głupkowato, zebv zachowywali się jak prostytutki.

Bez Awigdora dom nauki wydawał się pusty.

Nocami Anszel leżał na swym łóżku w domu wdowy mg mo. gać zasnąć.

Kiedy zdejmował płaszcz i spodnie, stawał się znowu tą samą Jentl, dziewczyną w wieku odpowiednim do małżeństwa, zakochaną w człowieku zaręczonym z inną.

"Możepowinam mu być powiedzieć prawdę" - pomyślała Jentl.

Ale na to było już za późno. Anszel nie mógł stać się ponownie kobietą, nigdy nie wyrzekłby się księżki i domu nauki.

Leżała tak, snując dziwaczne myśli, które nieomal doprowadzały ją do szaleństwa.

Zasypiała, a potem nagle zrywała się ze snu.

We śnie była jednocześnie mężczyzną i kobietą, ubrana w damską sukienkę w męski sposób.

Jej miesiączka opóźniała się, Jentl zaczęła się obawiać.

A bo to wiadomo?

W Midrasz Talpiot wyczytała o kobiecie, która zaszła w ciążę wskutek pożądania mężczyzny.

Dopiero teraz Jentl zrozumiała znaczenie zakazu Tory, który dotyczył ubierania się w odzież płci odmiernej.

Czyniąc tak, szukała się nie tylko u innych, ale również samego siebie.

Nawet dusza, wcielona nagle w inną postać, mogła się w tym wszystkim pogubić.

W nocy Anszel nie mógł spać, a w dzień ledwo patrzył na oczy.

W domu, gdzie jadał posiłki, gospodynie narzekały, że zostawia wszystko na talerzu.

Rabin dostrzegł, że Anszel nie uważa na wykładach i że tylko patrzy w okno, zagłębiony w swych własnych myślach.

Kiedy nadszedł wtorek, Anszel udał się na obiad do domu Wyszkowera. Hadasa postawiła przed nim miskę zupy i czekała, ale Anszel był tak zamyślony, że nawet jej nie podziękował.

Sięgnął po łyżkę, lecz wypadła mu z rąk.

Hadasa odważyła się na stwierdzenie:

- Słyszałam, że Awigdorcę opuścił.

Anszel obudził się z odrętwienia.

- Co masz na myśli?

- Nie jest już twoim partnerem.

- Opuścił jesziwę.

- Czy widujesz go?

- Chyba się ukrywa.

- Czy będziesz przynajmniej na jego ślubie?

Przez chwilę Anszel nie odzywał się, jakby nie rozumiejąc tego, co usłyszał.

Potem powiedział:

- On jest skończonym głupcem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ty jesteś piękna, a tamta wygląda jak małpa.

Hadasa zarumieniła się.

- To wszystko stało się z winy mojego ojca.

- Niemartw się.

Znajdziesz kogoś, kto będzie cię wart.

- Nie chcę nikogo.

- Ale każdy chce cię.

Zapadła cisza.

Oczy Hadasy stały się większe i pełne smutku, jakoczy kogoś, dla kogo nie ma pocieszenia.

- Zupa ci stygnie.

- Ja też cię chcę.

Anszel był zaskoczony własnymi słowami.

Hadasa spojrzała na niego przez ramię.

- Co ty powiadasz!

- To prawda.

- Ktoś mógłby usłyszeć.

- Nie mam się czego bać.

- Jedz zupę.

Za chwilę przyniosę ci pierogiz mięsem.

Hadasa odwróciła się do wyjścia, stukając wysokimi obcasami.

Anszel zajął się wylawianiem fasoli z zupy, wyciągnął jedną, potem znowu ją opuścił.

Stracił apetyt, czuł ucisk w gardle.

Doskonale wiedział, że wplątuje się w coś złego, ale jakaś siła kazała mu brnąć dalej.

Hadasa pojawiła się znowu, niosąc talerz z pierogami.

118

- Dlaczego nie jesz?

- Myślę o tobie.

- A co myślisz?

- Chcę się z tobą ożenić.

Hadasa zrobiła taką minę, jakby coś połknęła.

- O takich sprawach musisz rozmawiać z moim ojcem.

- Wiem.

- Zwyczaj nakazuje przysłać swatkę.  
Wybiegła z pokoju i zatrzasnęła drzwi za sobą.  
Śmiejąc się w duchu, Anszel pomyślał: "Mogę bawić się z dziewczynami, jakmi sięspodoba".  
Posolił zupę, a potem dosypał pieprzu.  
Siedział jak weśnie.  
"I co janarobiłem?  
Chybapostradałem zmysły.  
Nie ma innego wytłumaczenia.  
" Zmusił się do jedzenia, ale nie czuł żadnegosmaku.  
Dopierowtedy przypomniałsobie, że to Awigdor życzył sobie,aby ożenił się z Hadasa.  
W całym tym zamieszaniu zrodził się plan:  
Anszel pomści w ten sposób Awigдора,a jednocześnie, poprzez Hadasę, przyciągnie  
go bliżej do siebie.  
Hadasa była dziewczicą: cózmoğławiedzieć o mężczyznach?  
Taką dziewczynę możnabyło dość długooszukiwać.  
Oczywiście Jentł też byłdziewicą, ale sporo wiedziało tych sprawach z Gemaryi  
zmęskichchrozmów.  
Anszela opanowało przerażenie, aleteż i radość, tak jakkogoś, kto planuje oszukaćcałą gminę.  
Przypomniał sobiepowiedzenie: "Ludzi łatwo oszukać".  
Wstał od stołu i powiedział nagłos:  
- Teraz naprawdęim pokażę.  
Tej nocy Anszel nie zmrzyłoka.  
Cokilkaminut wstawał, abynapić się wody.  
Miał wysuszone gardłoi rozpalone czoło.  
Umysł jegopracował zawzięcie i gorączkowo,jakby toczył jakąś dysputę.  
Pulsował mu żołądek i drżałykolana.  
Czuł siętak, jakby zawarł paktz Szatanem, z Diabłem, który płata ludziom figle, rzucaim  
kłody podnogi i zastawia na nich pułapki.  
Ledwo Anszelzasnął, a jużnastałdzień.  
Jeszcze nigdy nie obudził się tak wyczerpany.  
Ale niemógłdłużejspać u wdowy.  
Jakoś zwłókl się z posłania, wziął torbę, w której trzymałfilakterie, i wyruszył do domu nauki.  
I kogóż spotkałwdrodze do bóżnicy?  
Oczywiście, ojca Hadasy!  
Anszel przywitałgoz szacunkiem i usłyszałprzyjaznepozdrowienie.  
Reb Alter pogładziłbrodę i nawiązał z nim rozmowę:  
- Moja córka, Hadasa, najwyraźniej karmi cię resztkami.  
Wyglądasz nawygłodzonego.



- Pańska córka jest wspaniałą i bardzo szczerą dziewczyną.

-To dlaczego jesteście taki blady?

Anszel zamilkł na chwilę.

- Reb Alter, jest coś, co muszę ci wyznać.

-Mów, nie krępuj się.

- Reb Alter, podoba mi się twoja córka.

Alter Wyszkwower przystanął.

- Czyżby?

Sądziłem, że studenci jesziwy nie rozmawiają na taki temat.

Jego oczy przepelnione były wesołością.

- Ale to prawda.

-O tych sprawach nie rozmawia się bezpośrednio z zainteresowanym młodzieńcem.

- Ale ja jestem sierotą.

-No cóż.

w tej sytuacji wyczuwa nakazuje przysłać swatkę.

- Tak.

-Co ty w niej widzisz?

- Jest piękna.

wspaniała.

inteligentna.

- No już dobrze, dobrze.

A teraz powiedz mi coś o swojej rodzinie.

Alter Wyszkwower objął Anszela ramieniem i w taki oto sposób doszli aż do dziedzińca synagogi.

4

Kiedysie powiedziało "A", należy powiedzieć "B".

Myśli prowadzą do słów, a słowa prowadzą do czynów.

Reb Alter Wyszkwower wyraził zgodę na małżeństwo.

Matka Hadasy, Frejda Lea, wahała się trochę.

Powiedziała, że nie życzy sobie następnego studenta jesziwy w Bychawie dla swojej córki i że woli raczej kogoś z Lublina albo z Zamościa, ale Hadasa ostrzegła ją, że jeśli jeszcze raz spotka ją publicznie wstyd (tak jak to było z Awigdorem), to rzuci się do studni.

Jako zwykle bywa w przypadku nierozważnych związków, wszyscy silnie popierali to małżeństwo - rabin, krewni i przyjaciółki Hadasy.

Od jakiegoś czasu dziewczęta z Bychawy z nadzieją wpatrywały się w Anszela, wyglądając z okien, kiedy przechodził ulicą.

Anszel miał zawsze

120

wypastowane buty i me spuszczał wzrok w obecności kobiet.

Kiedy kupował placki w piekarni Bejła, żartował z dziewczętami bardzo swobodnie, czemu się niemogły nadziwić.

Wszystkie kobiety uważały, że Anszel ma w sobie coś niezwykłego: nikt nie miał tak kręconych pejsów jak on, nikt inny nie wiązał tak chustki na szyi, jego oczy były wesołe, ale jakby nieobecne, zawsze skierowane w jakiś odległy punkt.

Ponadto fakt, że Awigdor zaręczył się z Pesią, córką Fajtla, i opuścił Anszela, zbliżył go jeszcze bardziej do mieszkańców miasteczka.

Alter Wyszkwower spisał wstępny umowę zaręczynową, obiecując Anszelowi bogatsze wiano, więcej prezentów i utrzymanie przez czas dłuższy, niż obiecywał Awigdorowi.

Dziewczęta z Bychawy obejmowały Hadasę i gratulowały jej przyszłego męża.

Hadasa natychmiast zaczęła robić mu na szydełku woreczekna tefilin, serwetkę na chałkę i torbę na macę.

Kiedy do Awigdora dotarły wieści o zaręczynach Anszela, przybył do domu nauki z gratulacjami.

Postarzał się w ciągu ostatnich kilkutygodni.

Miał zmierzwioną brodę i zaczerwienione oczy.

Rzekł do Anszela:

- Wiedziałem, że tak się stanie.

Od samego początku.

Jak tykocię spotkałem w zajeździe.

- Ale to ty wpadłeś na ten pomysł.

- Wiemo tym.

- Dlaczego mnie opuściłeś?

Odszedłeś bez słowa pożegnania.

- Chciałem spalić za sobą wszystkie mosty.

Awigdor poprosił, żeby Anszel poszedł z nim na spacer.

Mimożemineło już święto Sukkot, było ciepło i słonecznie.

Awigdor, bardziej przyjazny niż kiedykolwiek, otworzył serce przed Anszelem.

Tak, to prawda, jego brat uległ melancholii i powiesił się.

On sam czuje się teraz bardzo bliski krawędzi przepaści.

Pesia ma mnóstwo pieniędzy, a jej ojciec jest bogaczem, on jednak nie może spać po nocach.

Nie chce zostać właścicielem sklepu.

Nie może zapomnieć o Hadasie.

Wciąż pojawia się w jego snach.

Kiedy usłyszał jej imię w modlitwie na Hawdale, z mawianej w wieczór kończącej szabas, zakręcił omyłkowo głowę.

I tak się cieszy, że to Anszel, a nie kto inny, ma ją poślubić.

Przynajmniej dostanie się w dobre ręce.

Awigdor pochylił się i rwał bezcelowo uschniętą trawę.

Mówił bez ładu i składu, jak ktoś nawiedzony.

Nagle powiedział:

- Myślałem już nawet o tym, żeby zrobić to samo, co uczynił mój brat.

121.

- Czy aż tak ją kochasz?

-Jest częścią mego serca.

Obaj przyrzekli sobie przyjaźń i obiecali, że nigdy się nie rozstaną.

Anszel zaproponował, żeby po ślubie ich rodziny zamieszkały po sąsiedzku albo nawet w tym samym domu.

Studiowali by razem codziennie i, być może, wspólnie prowadzili sklep.

- Chcesz poznać prawdę?

- spytał Awigdor.

- To tak jak historia Jakuba i Beniamina: moje życie jest nierozdzielnie związane z twoim.

- To dlaczego omnie opuściłeś?

- Może właśnie z tego powodu.

Mimo że zrobił się chłodno i zerwał się wiatr, szli dalej, aż do lasu sosnowego, i zawrócili dopiero po zmierzchu, kiedy zbliżała się pora modlitwy wieczornej - maariw. Dziewczęta z Bychawy, jak zwykła w swych posterunkach w oknach, patrzyły, jak idą objęci ramionami tak zagłębieni w rozmowie, że wchodzą w kałuże i w śmieci, niezwracając na to uwagi.

Awigdor był blady, miał zmierzwiłone włosy, a wiatr rozwinał jeden z jego pejsów.

Anszel gorączkowo obgryzał paznokcie.

Hadasa również podbiegła do okna, spojrzała na nich i oczy jej zasły łzami.

Zdarzenia potoczyły się szybko.

Najpierw wniósł się Awigdor.

Ponieważ panna młoda była wdową, był to cichy ślub, bez muzyków i wodzireja, bez ceremonii odsłonięcia twarzy pannymłodej.

Jednego dnia Pesia stała pod ślubnym baldachimem, a dzień później była z powrotem w sklepie i tłustymi rękoma ważyła dziegieć.

Awigdor modlił się swymnowym szalu modlitewnym w chasydzkim domu zebrzań.

Po południu odwiedzał go Anszel, poczym obaj szeptali i rozmawiali do wieczora.

Datę ślubu Anszela z Hadasą ustalono na szabas tygodniuchańskim, chociaż przyszłyteść chciał, aby ceremonia odbyła się wcześniej.

Hadasa była już razzaręczona.

Ponadto panmłody był sierotą.

Dlaczego miałyby się przewracać z boku na bok nałożku w domu wdowy, skoro mógł mieć żonę i własny dom?

Wielokrotnie w ciągu dnia Anszel przestrzegał sam siebie, że to, co czyni, jest grzeszne, szalone i zwyczajnie obrzydliwe.

Wplątywał Hadasę i siebie w łańcuch kłamstwa i popełniał tyle wykroczeń, że niestarczyłoby mu życia na odprawienie pokuty.

Jedno kłamstwo rodziło następne.

Kilkarazy Anszel podejmował decyzję o ucieczce z Bychawy, aby położyć kres tej szalonej komedii, która była bardziej dziełem diabła niż istoty ludzkiej.

Ale władła nim siła, której nie potrafił się oprzeć.

Anszel coraz bardziej przywiązywał się do Awigdora

122

i nie był w stanie zburzyć złudnego szczęścia Hadasy.

Teraz, po ślubie, Awigdor pragnął studiować bardziej niż kiedykolwiek, więc obaj przyjaciele spotykali się dwa razy w ciągu dnia: rano studiowali Gemarę i Komentarze, a popołudniu Kodeksy Prawne wraz z objaśnieniami.

Ałter Wyszkwower i Fajtl, handlarzskór, byli zadowoleni i porównywali Awigdora i Anszela do Dawida i Jonatana.

W całej tej sytuacji Anszel czuł się jak pijany.

Krawcy, którym zlecono przygotowanie munoowych ubrań, zdejmowali z niego miarę, musiał więc uciekać się do rozmaitych wykrętów, bynie odkryto, że nie jest mężczyzną.

Mimo że całe to oszustwo trwało już wiele tygodni, Anszel wciążnie mógł wierzyć: jak to możliwe?

Oszukiwanie gminy stało się grą, ale jak długomogło to trwać?

I w jaki sposób prawda wyjdzie na jaw?

W duchu Anszel śmiał się i szlochał.

Jentł zamieniła się w elfa, który spłynąłna ziemię, aby szydzić z ludzi i płatać im figle.

"Jestem nikczemną grzesznicą, Jeroboam ben Nabat" - mówiła do siebie.

Jedynym sprawiedliwym dla Jentł było to, że wzięła na siebie całe to brzemie, ponieważ jej dusza pragnęła studiować Torę.

Awigdor wkrótce zaczął się skarżyć, że Pesia traktuje go źle.

Nazywała go próżniakiem, ślamazarą, jeszcze jedną gębą do wykarmienia.

Chciała przykuć go do sklepu, zlecała mu zadania, o których nie miała najmniejszego pojęcia, żałowała mu kieszonkowego.

Zamiast pocieszać Awigdora, Anszel jeszcze bardziej buntował go przeciwko Pesii.

Nazywał jego żonę szkaradną wiedźmą i sknerą.

Mówił też, że Pesia bezwzględnie zagadała swego pierwszego męża na śmierć i to samo chce zrobić z Awigdorem.

Jednocześnie Anszel wymieniał zalety Awigdora:

jego wzrost i męskość, jego poczucie humoru i wiedzę.

- Gdybym był kobietą i poślubił ciebie - rzekł Anszel - wiedziałbym, jak cię docenić.

- Ale, niestety, nie jesteś.

Awigdor westchnął.

Tymczasem zbliżała się data ślubu Anszela.

W szabas, tuż przed świętem Chanuki, wezwano Anszela do puł-pitu, aby czytał fragmenty Tory.

Kobiety obsypały go rodzynkami i migdałami.

W dniu ślubu Alter Wyszkower wyprawił przyjęcie dla młodych mężczyzn.

Awigdor siedział po prawej ręce Anszela.

Państwo młodzi wygłosił talmudyczną mowę, a reszta towarzystwa dyskutowała nad jego słowami, paląc papierosy, pijąc wino, likiery i herbatę z cytryną lub z malinami.

Potem nastąpiła ceremonia odsłonięcia twarzy panny młodej, po czym podprowadzono pana młodego do

ślubnego baldachimu, który został umieszczony obok synagogi.

Noczyła mroźna i bezchmurna, a niebo usiane gwiazdami.

Muzykanci zaczęli grać.

Dziewczęta ustawione w dwóch rzędach trzymały zapalone światełka i plecione świece.

Po ceremonii ślubnej panna i pan młody zakończyli post wypijając rosół.

Potem zaczęły się tańce i prezentacja ślubnych podarunków, a wszystko zgodnie z tradycją.

Prezenty były liczne i kosztowne.

Następnie wodzirej opisał radości i smutki życia mężatek.

Pesia, żona Awigdora, również była zaproszona.

Mimo że obwieszona biżuterią, wyglądała brzydko w swej nisko osadzonej naczole peruce, ogromnej czapie futrzanej i ze śladami dziegciu na dłoniach, których nigdy nie udało jej się domyć.

Po Tańcu Cnoty panny i pana młodego zaprowadzono osobno do izby małżeńskiej.

Pomocnicy weselni udzielili młodej parze stosownych rad i zachęcili ich, "aby byli płodni i mieli liczne potomstwo".

O świcie teściowa Anszela, wraz z starszymi kobietami, weszła do izby małżeńskiej i wyciągnęła prześcieradło spod Hadasy, aby się upewnić, że małżeństwo zostało skonsumowane.

Kiedy odkryto ślady krwi, zapanowała radość i wszyscy zaczęli całować pannę młodą i składać jej gratulacje.

Potem, z prześcieradłem w rękę, kobiety wybiegły na podwórkę i odtńczyły na świeżym śniegu Koszerny Taniec.

Anszelowi udało się znaleźć sposób na pozabawienie Hadasy dziewictwa.

Hadasa natomiast, w swej niewinności, nie miała pojęcia, że stała się toniezupełni tak, jak powinna się stać.

Była już bezgranicznie zakochana w Anszelu.

Zgodnie z prawem, nowożeńcy nie mogą się ze sobą kontaktować przez siedem dni po pierwszym stosunku.

Następnego dnia Anszel i Awigdor zaczęli studiować Traktat o Kobietach w Okresie Menstruacji.

Kiedy inni mężczyźni wyszli z synagogi dwaj przyjaciele zostali sami, Awigdor nieśmiało zapytał Anszela, jak spędził noc z Hadasą.

Anszel zaspokoił jego ciekawość, po czym szeptali aż do zmroku.

5

Anszel trafił w dobre ręce.

Hadasa była oddaną żoną, a jej rodzice spełniali wszystkie zachcianki i życzenia i byli dumni z jego osiągnięć.

Chociaż minęło kilka miesięcy, a Hadasa w dalszym ciągu nie

124

spodziewała się dziecka, nikt sobie tego nie brał do serca.

Jednocześnie życie Awigdora stało się pogarszało.

Pesia zamęczała go, aż w końcu zaczęła wydzielać mu jedzenie i odmówiła prania koszul.

Jako że zawsze był bez grosza, Anszel znów codziennie przynosił mu placek gryczany.

Ponieważ Pesia była zbyt zajęta, aby gotować, i zbyt skąpa, aby zatrudnić służącą,

Anszel zaproponował Awigdorowi, żeby jadał w jego domu.

Nie podobało się toreb Ałterowi Wyszkwowerowi i jego żonie, ponieważ uważali, że mężczyzna, który kiedyś ubiegał się o rękę ich córki, nie powinien być w domu dawnej narzeczonej.

Mieszkańcy miasteczka mieli o czym mówić.

Lecz Anszel udowodnił, że Prawo tego nie zabrania i że taka sytuacja zdarzyła się już niejednokrotnie.

Większość mieszkańców trzymała stronę Awigdora i sądziła, że z wszystkiemu jest winna Pesia. Awigdor wkrótce zaczął domagać się rozwodu, a ponieważ nie chciał mieć dziecka z taką megierą, zachowywał się jak Onan, czyli - zgodnie z tłumaczeniem Gemary - młócił wewnątrz, wyrzucając swe nasienie na zewnątrz.

Zwierzał się Anszelowi, opowiadał, że Pesia nie myje się przed pójściem do łóżka i chrapie jak niedźwiedź, i o tym, że tak bardzo przejmuje się stanem kasy sklepowej, iż mamroczeo tym nawet przez sen.

- Och, Anszel, jak ja ci zazdroścę - powiedział.

- Nie masz mi czego zazdrościć.

- Tymasz wszystko.

Chciałbym, aby twój dobry los był moim - oczywiście, nie twoim kosztem.

- Każdy ma swoje kłopoty.

- Ty masz jakieś problemy?

Niekuś Opatrzności.

Jakże mógł Awigdor zgadnąć, że Anszel nie może spać po nocach bez przerw, myśli o tym, aby uciec?

Sypianie z Hadasą w tym samym łóżku i szukanie jej stawało się coraz bardziej bolesne.

Miłość Hadasy i jej czułość awstydzały go.

Oddanie teściowi ich wielkiej nadzieje na wnuka ciążyły mu jak brzemie.

W piątkowe popołudnia wszyscy mieszkańcy miasteczka szli do łaźni i co tydzień Anszel musiał szukać nowych wymówek.

Jednak to zachowanie zaczynało wzbudzać podejrzenia.

Mówiono, że Anszel pewnie ma jakieś szpetne znamię albo przepuklinę, albo może nie został prawidłowo obrzezany.

Sądząc powieku młodzieńca, powinna mu już rosnąć broda, ale jego policzki wciąż były gładkie.

Był już Purim i zbliżała się Pascha.

Wkrótce nadejdzie lato.

Niedaleko Bychawy była rzeka, gdzie wszyscy studenci i sztywne imłodzi mężczyźni chodzili się kąpać, jak tylko robiło się ciepło.

Kłamstwo pęczniało jak wrzód i lada dzień na pewno musiało

wyjść na jaw.

Anszel wiedział, że musi znaleźć sposób, aby się z tego wyzwolić.

Młodzi mężczyźni mieszkający u teściów mieli zwyczaj podróżować do pobliskich miast w wolne popołudnia w Tygodniu Paschalnym.

Dobrzeim robiła ta odmiana, mogli odetchnąć, rozejrzeć się za możliwościami zrobienia interesu, kupić parę książek czy innych rzeczy, które mogą się przydać młodemu mężczyźnie. Bychawależała niezbyt daleko od Lublina i Anszel przekonał Awigdora, aby pojechał tam razem na koszt Anszela.

Awigdor był zachwycony perspektywą oderwania się na kilka dni od wiedźmy, z którą mieszkał pod jednym dachem.

Odbyli powozem wesołą podróż.

Pola zaczynały się zielenić.

Bociany, które już powróciły z ciepłych krajów, zataczały na niebie ogromne koła.

Strumyki płynęły ku dolinom.

Rozlegał się świergot ptaków.

Poruszały się skrzydła wiatraków.

Na polach zaczynały kwitnąć wiosenne kwiaty.

Gdzieś na łąkach widać już było pasące się krowy.

Przez całą drogę do Lublina przyjaciele rozmawiali, jedli owoce i ciasteczka, które zapakowała im Hadasa, opowiadali sobie dowcipy i zwierzali się.

W Lublinie udali się do zajazdu i wynajęli dwuosobowy pokój.

W czasie podróży Anszel obiecał Awigdorowi, że w Lublinie

wyjawimuzdumiewającą tajemnicę.

Awigdor zażartował:

a cóż to może być za sekret?

Czyżby Anszel odnalazł ukryty skarb?

A może napisał jakąś rozprawę?

A może, po przestudiowaniu Kabały, udało mu się wyczarować gołębia?

Kiedy już weszli do pokoju i kiedy Anszel dokładnie zamknął drzwi na klucz, Awigdor powiedział żartem:

- No dobrze, a teraz mów, co to za tajemnica.

'- Przygotuj się teraz na taką historię, jakiej jeszcze w życiu nie słyszałeś.

- Jestem przygotowany na wszystko.

- Nie jestem mężczyzną, tylko kobietą - rzekł Anszel.

- Mam na imię Jentł, a nie Anszel,

Awigdor wybuchnął śmiechem.

- Wiedziałem, że to jakiś kawał!

- Ale to prawda.

- Nawet gdybym był głupcem, nie dałbym się na to nabrać.

- Chcesz, żebym ci udowodniła?

- Tak.

- Więc się rozbiore.

126

Awigdor zrobił wielkie oczy.

Przyszło mu na myśl, że może Anszel chce z nim uprawiać miłość homoseksualną.

Jentł zdjęła kapotę i mały taśik noszony pod marynarką zrzuciła z siebie bieliznę.

Awigdor

spojrzał na nią, zbladł, po czym zaczerwienił się jak burak.

Jentł pośpiesznie się zakryła.

- Zrobiłam to tylko dlatego, żebyś mógł zaświadczyć przed sądem, że to prawda.

W przeciwnym razie Hadasa będzie musiała pozostać sromianą wdową.

Awigdorowi odjęło mowę.

Dostał nagle ataku drgawek.

Chciał coś powiedzieć, ale jego usta poruszały się, nie wydając dźwięku.

Szybko usiadł, gdyż nie mógł ustać na nogach.

W końcu wymamrotał:

- Jak to możliwe?

Nie mogę w to uwierzyć!

- Czy mamsię znowu rozebrać?

- Nie!

Jentł zaczęła mu opowiadać całą historię: jak to jej ojciec, przykuty do łóżka, studiował wraz z nią Torę; że nigdy nie miała cierpliwości do kobiet i wysłuchiwania ich czczych rozmów; jak sprzedała domi wszystkie meble, opuściła miasteczko, pojechała do Lublina przebrana za mężczyznę i spotkała po drodze Awigdora.

Awigdor siedział bez słowa, wpatrując się w Jentł, która z powrotem ubrała się w męską strój.

Po chwili odezwał się:

- To musi być sen.

Uszczypnął się w policzek.

- To nie jest sen.

- Że też coś takiego musiało mi się przytrafić!

- To wszystko jest prawdą.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Nu, powinienem się uspokoić.

- Nie chciałam zmarnować życia nad szuflą do pieca i dzieżą.

- A co z Hadasą - dlaczego ją poślubiłaś?

- Zrobiłam to dla twego dobra.

Wiedziałam, że Pesia będzie ciężamęczać i że w naszym domu znajdziesz trochę spokoju.

Awigdor nie odzywał się przez dłuższy czas.

Pochylił głowę, przyłożył dłoń do skroni, poczym potrząsnął głową i zapytał:

- I co teraz zrobisz?

- Odejdę do innej jesiwy.

- Co takiego?

Gdybyś tylko powiedziała mi o tym wcześniej, moglibyśmy.

127.



Awigdor przerwał w pół zdania.

- Nie -to nie byłoby rozsądne.
- Dlaczego?
- Ze mnie teraz ani kobieta, ani mężczyzna.
- Ale mam teraz dylemat!
- Rozwiódź się z tą megierą i ożeń się z Hadasą.
- Ona nigdy mi nie da rozvodu, a Hadasą mnie nie zechce.
- Hadasą cię kocha.

Tym razem nie posłucha już swego ojca.

Nagle Awigdor wstał, ale pochwiliznów usiadł.

- Nie będę mógł o tobie zapomnieć.

Nigdy.

6

Zgodnie z Prawem, Awigdorowi nie wolno było spędzić ani chwili dłużej sam na sam z Jentł; aczkolwiek ubrana w chałat i spodnie stała się znów tym samym Anszelmem.

Powrócili do rozmowy na dawnej stopie:

- Skąd ci przyszło dogłowy, żeby codziennie łamać przykazanie:  
"Kobieta nie będzie nosić tego, co należy do mężczyzny?"

"

- Nie jestem stworzona do darcia pierza i plotkowania z kobietami.
- Nawet za cenę prawa do przyszłego życia na tamtym świecie?
- Być może.

Awigdor podniósł oczy.

Dopiero teraz zauważył, że policzki Anszela były zbyt gładkie jak na mężczyznę, że miała zbyt gęste włosy za małą łonie.

Ale nawet teraz trudno mu było uwierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć.

Cały czas myślał, że w pewnej chwili się obudzi.

Zagryzał wargi, szczyptał się w uda.

Ogarniętego nieśmiałości zaczął się jąkać.

Jego przyjaźń z Anszelmem, ich rozmowy na intymne tematy, zwierzenia - wszystko to okazało się nieprawdą, ułudą.

Przez chwilę myślał nawet, że może Anszel jest demonem.

Otrząsnął się, jakby chciał się uwolnić od koszmaru: jednak ta moc, która potrafi odróżnić sen od rzeczywistości, powiedziała mu, że to wszystko było prawdą.

Zebrał się na odwagę.

On i Anszel nigdy nie mogli stać się obcy, nawet jeśli Anszel był w rzeczywistości Jentł.

" Odważyła się na stwierdzenie:

- Wydaje mi się, że świadek, który zeznaje na korzyść samotnej kobiety, nie może jej posłubić, ponieważ Prawo zwie go "stroną".

128

- Co takiego?

Nie przyszło mu do głowy!

- Musimy to sprawdzić w Eben Ezer.

- Nie jestem nawet pewna, czy przepisy odnoszące się do samotnej kobiety mogą być zastosowane w tym przypadku - odparła Jentł w sposób, w jaki wypowiadają się uczeni.

- Jeśli nie chcesz, aby Hadasą została słomianą wdową, musisz odkryć przed nią swą tajemnicę.

- Tego nie mogę zrobić.

- W każdym razie musisz znaleźć innego świadka.

Wkrótce oboje powrócili do rozważań nad Talmudem.

Na początku Awigdor czuł się nieswojo, dyskutując o Piśmie Świętym z kobietą, ale wkrótce połączyła ich Tora.

Mimo że ichciała były inne, mieli bratnie dusze.

Jentl mówiła śpiewnym głosem, gestykulowała kciukiem, chwytając się za pęsy, skubała swą gładką brodę, wykonywała wszystkie gesty typowe dla studenta jesziwy.

A kiedy toczyli zjadłą dysputę, chwytając Awigdora za kłapy inazywała go głupcem.

Awigdora ogarnęła wielkomiłość do Jentl, miłość przemieszana zewstydem, wyrzutami sumienia, niepokojem.

"Gdybym tylko wcześniej znał prawdę" - mówił do siebie.

W swych myślach porównywał Anszela (czyli Jentl) do Brurii, żony reb Meira, i do Jałty, żony reb Nachmana.

Po raz pierwszy jasno zauważył, że był tym coś, czego zawsze pragnął: żona, która nie dba o rzeczy materialne.

Jego uczucie do Hadasy niknęło i wiedział, że będzie pragnął Jentl, lecz nie miał śmiałości, aby jej to wyznać.

Był mu gorąco i czuł, że twarz mu płonie.

Nie mógł już spojrzeć Jentl prosto w oczy.

Zaczął wyliczać grzechy Jentl i stwierdził, że on sam jest w nie zaplątany, gdyż siedział z nią w tejsamej ławce i dotykał jej, kiedy miała miesiączkę.

Nu, a coż można powiedzieć o jej małżeństwie z Hadasą?

Całemnóstwo wykroczeń!

Świadome oszustwo, fałszywe przysięgi, zatajanie prawdy!

- Bóg wie, co jeszcze.

Nagle zapytał:

- Powiedz mi prawdę, czy jesteś heretyczką?

- Broń Boże!

- To jak mogłaś zrobić coś takiego?

Im dłużej Jentl mówiła, tym mniej Awigdor był w stanie zrozumieć.

Wszystkie wyjaśnienia Jentl sprowadzały się do jednego; miała duszę mężczyzny i ciało kobiety.

Jentl wyznała, że poślubiła Hadasę tylko po to, aby być blisko Awigdora.

- Przecież mogłaś zostać moją żoną - rzekł Awigdor.

129.

- Chciałam studiować z tobą Gemarę i Komentarze, a nie cerować ci skarpetki!

Przycichła długą chwilę.

Potem Awigdor przerwał milczenie:

- Obawiam się, że Hadasie rozchoruje, kiedy się tym wszystkim dowie!

- Też się tego boję.

- I co teraz będzie?

Zapadł zmierzch, więc oboje zaczęli zmawiać modlitwę wieczorną.

Wskutek całego zamieszania Awigdorowi myliły się błogosławieństwa, niektóre omijał, inne powtarzał.

Zerknęła bok, na Jentl, która kołysała się do przodu i do tyłu, biła się w piersi, pochylała głowę.

Obserwował ją i widział jej zamknięte oczy, głowę wzniesioną do Nieba, jakby błagała: Ty, Panie na Niebiosach, znasz prawdę.

Kiedy zakończyli modlitwy, usiedli naprzeciwko siebie w dość dużej odległości.

Pokój był pełen cieni.

Odbicie zachodu słońca, jak purpurowy haft, drżała na ścianie naprzeciw okna.

Awigdor znów chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić z siebie słów, które miała na końcu języka.

Nagle wykrzyknął:

- Może jednak nie jest za późno?

Nie mogę dalej żyć z tą przeklętą kobietą.

Ty..

- Nie, Awigdorze, to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Chcę dalej żyć w taki sam sposób.

- Będzie mi ciebie brakowało.

Ogromnie.

- Ja też będę za tobą tęsknić.

- Czy to wszystko ma sens?

Jentl nie odpowiedziała.

Zapadła noc i zgasły światła.

Wydawało się, że słuchają w ciemnościach swych myśli.

Prawo zabraniało Awigdorowi pozostawać w pokoju sam na sam z Jentl, ale nie potrafił znaleźć jej zazwyczaj kobietę.

"Jednak jest jakaś dziwna siła w naszym ubraniu" - pomyślał.

Ale powiedział coś zupełnie innego.

- Radziłbym ci po prostu wysłać Hadasie get.

- Jak mogłabym tak postąpić?

- Skoro sakrament małżeństwa jest nieważny, to cóż to za problem?

- Pewnie masz rację.

- I tak wcześniej czy później dowie się prawdy.

130

Pokojówka przyniosła im lampę, ale kiedy tylko wyszła z pokoju, Awigdor zgasił światło.

W tak kłopotliwym położeniu, pośród wyznań, które musieli uczynić, światło byłoby nie dozniesienia.

W ciemnościach Jentl wyjawiała wszystkie szczegóły.

Odpowiadała na każde pytanie Awigdora.

Zegar wybił drugą, a oni wciąż rozmawiali.

Jenttpowiedziała Awigdorowi, że Hadasa nigdy o nim nie zapomniała.  
Często o nim mówiła, martwiła się o jego zdrowie, było jej przykro - choćnie bez cienia satysfakcji - że nie ułożyło mu się z Pesią.

- Będzie dobrą żoną -powiedziała Jentł.

- Ja nawet nie potrafięzrobić kugła.

- Jeśli jednak chciałabyś.

-Nie, Awigdorze.

To nie jest moje przeznaczenie.

7

To,co się stało, było ogromną zagadką dla mieszkanców miasteczka; najpierw przybył do Hadasy posłaniec pozwem o rozwód;

potem okazało się, że Awigdor pozostał w Lublinie aż do końca świąt.

Kiedy wrócił do Bychawy, miał opuszczoną ramioną, a jego oczy były pozbawione blasku, jakby zapadł na jakąś chorobę.

Hadasa rozchorowała się i lekarz odwiedzał ją trzy razy dziennie.

Awigdor zaczął mieć wodospobnieciu.

Kiedy ktoś spotykał go przypadkiem i zwracał się do niego po imieniu, nie reagował.

Pesiaskarzyła się rodzicom, że Awigdor spędza całe noce, chodząc tam i z powrotem, z papierosem w ustach.

Kiedy w końcu padał ze zmęczenia, wzywał przez sen nikomu nie znaną kobietę - Jentł.

Pesiazaczęła mówić o rozwodzie.

Cała gmina była pewna, że Awigdor nie udzieli jej rozwodu, albowiem przynajmniej żąda od niej pieniędzy, ale on zgodził się na wszystko.

Dla mieszkańców Bychawy tajemnica nie mogła długo pozostać tajemnicą.

Jak można zachować coś w sekrecie w miasteczku, gdzie wszyscy wiedzą, co sąsiedzi jedzą na obiad?

Mimo to, choć było sporo osób, które uwielbiały zaglądać przez dziurki od klucza i przystawiać ucho do okiennic, to,co się zdarzyło, pozostało tajemnicą.

Hadasa leżała w łóżku i szlochała.

Chanina, znachorka, uznała, że dziewczyna usycha.

Anszel zniknął bez śladu.

Reb Ałter Wyszkwower posłał po Awigdora.

Niestety ci, którzy podsłuchiwali ich rozmowę pod oknem, 131.

nie mogli usłyszeć ani słowa.

Mieszkańcy, w których zwyczajem leżało wścibianie nosa w sprawy innych ludzi, zaczęli sami snuć przeróżne domysły, ale wszystkie one były pozbawione sensu.

Część gminy doszła do wniosku, że Anszel dostał się wręcz księży katolickich i przeszedł na ich wiarę.

Wydawało się to całkiem prawdopodobne.

Ale kiedy Anszel mógł znaleźć czas dla księży, skoro całonocnie spędzał w jesziwie?

Ponadto, od kiedy to przechrzta występowała żona o rozwód?

Inni szeptali, że Anszel znalazł sobie inną kobietę.

Alektóż to mógł być?

Nikt w Bychawie nie słyszał o żadnym romansie.

Ostatnio żadna dziewczyna nie wyjeżdżała z miasteczka - ani Żydówka, ani chrześcijanka.

Ktoś jeszcze twierdził, że Anszel został porwany przez złe duchy, a może nawet był jednym z nich.

Jako dowód przytaczano fakt, że Anszel ani razu nie pokazał się właźniami nad rzeką.

Wszystkim wiadomo, że demony mają gęsie stopy.

No dobrze, ale czy Hadasa nigdy nie widziała go bosą?

I kto słyszał kiedykolwiek, żeby demon prosił żonę o rozwód?

Jeśli demon żeni się ze śmiertelną kobietą, zazwyczaj czyni z niej słomianą wdowę.

Ktoś inny wpadł na pomysł, że Anszel popełnił jakiś poważny grzech i skazał się na wygnanie, aby odprawić pokutę.

Ale cóż to mógł być za grzech?

I dlaczego nie poszedł z tym do rabina?

I dlaczego Awigdor snuł się po miasteczku niczym duch?

Najbliższą prawdą byłaby teoria Tewela Muzykanta.

Tewel utrzymywał, że Awigdornie potrafił zapomnieć Hadasę i że Anszel rozwiódł się z nią, aby jego przyjaciel mógł ją poślubić.

Ale czy taka przyjaźń była możliwa na tym świecie?

A nawet gdyby, to dlaczego Anszel rozwiódł się z Hadasą, zanim Awigdor rozwiódł się z Pesią?

Małego, tak postąpić można tylko wtedy, kiedy żona zna plan i wyraża nań zgodę.

Tymczasem wszystko wskazywało na to, że Hadasa bardzo kochała Anszela i rozchorowała się z rozpaczy.

Jednego wszyscy byli pewni: Awigdor znaprawdę.

Ale nie można było z niego nic wydobyć.

Pozostawał w odosobnieniu i uparcie milczał, czego miasteczko nie mogło mu wybaczyć.

Bliscy przyjaciele radzili Pesii, aby nie rozwodziła się z Awigdorem, mimo że zerwali ze sobą stosunki i nie żyli już jak mąż i żona.

Nawet nie zważał dla niej na błogosławieństwo Kiddusz w piątkowe wieczory.

Spędzał całe noce albo w domu nauki, albo w domu wdowy,

132

gdzie Anszel niegdyś wynajmował pokój.

Kiedy Pesia mówiła do niego, nie odpowiadał, tylko stał przed nią ze spuszczoną głową.

Pesia, urodzona handlarka, nie miała cierpliwości do takich rzeczy.

Potrzebowała młodego mężczyzny, który by jej pomógł w sklepie, a nie studenta jesziwy, zeskłonnością do melancholii.

Ktoś taki jak on mógł nawet

wpasnąć pomysł, aby odejść i zostawić ją na łasce losu.

Pesia zgodziła się więc na rozwód.

Tymczasem Hadasa odzyskała siły i rebAlter Wyszkwower oznajmiłwszem i wobec, że został zawarty kontrakt małżeński.

Hadasamiąła poślubić Awigdora.

Miasteczko wrzało z podniecenia.

Małżeństwomiędzy mężczyzną i kobietą, którzy kiedyśbyli zaręczeni zerwalizrękowiny,było czymś niesłychanym.

Wesele odbyło się w pierwszyszabas poTisza be-Aw, a ślub zorganizowano tak jak ślub dziewczicy:

odbył się bankiet dla ubogich, oboksynagogiustawionobaldachim,byli muzykanci, wodzirej, Taniec Cnoty.

Brakowało tylko jednego:

radości.

Pan młodystał pod ślubnym baldachimem jak nad własnymgrobem.

Panna młoda niby wyszła zchoroby, alewciąż była bladai chuda.

Łzy spływały jejwprost do złocistego rosołu.

Wszyscy zadawali sobieto samo pytanie: DlaczegoAnszel to uczynił?

Kiedy Awigdor ożenił się z Hadasa, Pesia puściła plotkę, jakobyAnszel sprzedał Awigdorowi swą żonę za dużą sumę i żeto AlterWyszkwower miał mu zapłacić.

Pewien młodzieniec rozmyślał nad tązagadką, aż w końcu doszedł do wniosku, żeAnszel przegrałswą ukochaną żonę w kartyna rzecz Awigdora, amoże nawet stracił ją grającw chanukowego drejbla.

Powszechnie obowiązuje zasada, że jeśli niemożnaodnaleźć ziarna prawdy, to ludzie zadowolają sięklamstwem.

Prawda jest często tak ukryta, że im bardziej jej poszukujemy, tymtrudniej ją znaleźć.

Wkrótce po ślubie Hadasa zaszła wciążę.

Urodziła chłopcai wszyscy, którzy byli zaproszeni na uroczystość obrzezania, nie mogli uwierzyć własnym uszom,kiedy usłyszeli, że ojciec dziecka nadaje mu imięAnszel.

133.

Trzy opowieści

Byłoi ch trzech: szklarz Zalman, eunuch Mejer oraz Izaak Amszinower. Spotykali się codziennie w radzywińskim domu nauki, gdzie opowiadali sobie różne historyjki.

Mejer brał udział w tych spotkaniach tylko przez dwa tygodnie w miesiącu - należał do tych, których Talmud nazywa okresowymi szaleńcami - przez pozostałe dwa tygodnie był niespełna rozumu.

Nocami, podczas pełni księżyca, Mejer przemierzał dom nauki tam i z powrotem, zacierając ręce i pomrukując do siebie.

Był wysoki, ale chodził tak pochylony, że wyglądał, jakby miał garb.

Jego koścista twarz była gładka jak twarz kobiety, a może nawet i gładsza.

Miał spiczastą brodę, wysokie czoło, haczykowaty nos i spojrzenie uczonego.

Mówiono, że zna Talmud na pamięć.

Kiedy miał jasny umysł, wtrącał do swych wypowiedzi przysłowia chasydzkie i cytaty z uczonych ksiąg.

Znał niegdys starego rabina z Kockai dobrze go pamiętał.

Zarówno latem, jak i zimą nosił płaszcz z alpaki, który sięgał mu do kostek, pantofle i białe skarpetki oraz dwie jarmułki - jedną z przodu, a drugą z tyłu głowy - naktóre wkładał jedwabny kapelus.

Mimo że Mejer był już starym człowiekiem, miał dorodne pejsy i czarną czuprynę.

W okresach kiedy nawiedzała go choroba, praktycznie nic nie jadł, a przez pozostałą część miesiąca żywił się owsianką oraz rosółem, które mu przynosiły do domu nauki pobożne kobiety. Noce spędzał w ciemnej alkowie w domu nauczyciela.

Ponieważ był tokoniec miesiąca i noc bezksiężycowa, eunuch Mejer był przy zdrowych zmysłach.

Otworzył kościaną tabakierkę i wziął szczyptę tabaki z domieszką eteru i alkoholu.

Następnie poczęstował szklarza Zalmana i Izaaka Amszinowera, chociaż mieli oni swoje tabakierki.

Był tak pogrążony w myślach, że nie zwracał uwagi na słowa

134

Zalmana.

Marszcząc brwi, pocierał kciukiem i palcem wskazującym swą gładką, pozbawioną zarostu brodę.

Izaak Amszinower jeszcze nie osiwił zupełnie; w jego brwiach, pejsach i na brodzie pozostały nitki rudych włosów.

Cierpiał na jaglicę i dlatego nosił ciemne okulary.

Podpierał się laską, która niegdys należała do rabina Chaskela z Kuźmiru.

Reb Izaak zarzekał się, że oferowano mu ogromne sumy za tę laskę.

Alektóż chciałby sprzedać laskę, której dotykała ręka tak wielkiego rabina?

Reb Izaak utrzymywał się dzięki tej lasce.

Pożyczały ją od niego kobiety, które miały problemy w czasie ciąży.

Używano jej również do leczenia dzieci cierpiących na szkarlatynę, koklusz i dyfteryt.

Mówiono również, że z jej pomocą można przepędzić dybuki, zdławić czkawkę i odnaleźć zakopane skarby.

Reb Izaak nie wypuszczał tej laski z rąk nawet podczas modlitwy.

Na soboty i święta zamykał ją w mównicy.

Teraz jednak jego owłosione, delikatne dłonie trzymały ją mocno.

Reb Izaak miał słabe serce, zniszczone płuca i chore nerki.

Chasydzi twierdzili, że dawno by już umarł, gdyby nie laska rabina Chaskela.

Szklarz Zalman był wysokim, barczystym mężczyzną.  
Miał gęstą brodę w kolorze pieprzu i krzaczaste brwi.  
Wciąż, pomimo swoich osiemdziesięciu lat, pił dwie szklanki wódki dziennie.  
Na śniadanie jadł cebule, rzodkiew, kilogramowy bochen chleba i wypijał dzban wody.  
Żona Zalmana była kaleką od urodzenia.  
Miała kłopoty z mową i sparaliżowane ręce i nogi.  
Kiedy była młoda, Zalman zawoził ją do kąpieli rytualnej na taczce.  
Ten wrak kobiety urodził mu ośmiorodzieci.  
Zalman nie pracował już w swoim rzemiośle, ponieważ jego najstarszy syn, który był bogatym człowiekiem, dawał im na życie dwaście mbl miesięcznie.  
Zalman mieszkał wraz z żoną w małym pokoju z balkonem, na który można było wejść tylko po drabinie.

Zalman gotował i karmił swoją żonę niczym niemowlę.  
Opróżniał nawet jej nocniki.

Tej nocy opowiadał o czasach, kiedy to mieszkał w Radoszycach  
i chodził od wsi do wsi, dźwigając na plecach drewnianą ramę załadowaną szkłem.

-Czy?

dzisiejszych czasach bywają prawdziwe mrozy?

- zapytał.

-Nie lubym złamanego grosza za to, co teraz ludzi nazywa; mrozami.

Wydaje im się, że kiedy Wisła zamarza, to już jest zima.

Za moich czasów chłody nastawały tuż po Kuczkach, a na Paschę można jeszcze było przejść przez zamrzniętą rzekę.

Było tak zimno,.



""w

że pnie dębów pękały.

Nocą wilki zakradały się do Radoszyc i porywały kurczaki.

Ich oczy płonęły jakświece, a wycie mogło doprowadzić do szaleństwa.

Pewnego razu spadł grad o ziarnach wielkich niczym gęsiejaja.

Połamano wtedy gonty dachów, a niektóre ziarna wpadły do garnków przez kominy.

Pamiętam też taką burzę, w czasie której spadały z nieba żywe ryby i małe zwierzątka.

Roilo się od nich w rynsztokach.

- Skąd się wzięły ryby w niebie?

- zapytał Izaak Amszinower.

- Czyż chmury nie piją wody z rzek?

W jednej wsi niedaleko Radoszyc spadła z nieba zmija.

Upadek ją zabił, ale zanim zdechła, wpełzła jeszcze do studni.

Chłopi bali się jej dotknąć; gnijące resztki wydzielały straszny fetor.

- Midrasz Talpiot opisuje wiele podobnych zdarzeń - wtrącił eunuch Mejer.

- Nie muszę czytać Midrasz Talpiot. Widziałem to wszystko na własne oczy.

W dzisiejszych czasach nie grasuje już wielu rozbójników, ale onegdaj lasy się od nich roiły.

Żyli w jaskiniach.

Mój ojciec spotkał kiedyś ich władcę, głośnego bandytę Dobosza.

Wszyscy balili się go jak ognia.

Ale on był tylko marionetką.

Tak naprawdę rządził jego matka.

Miała już dziewięćdziesiąt lat i to ona wszystko planowała, mówiła im, gdzie i jak rabować, jak ukryć łup i gdzie się go pozbyć.

Była również czarownicą i dlatego wszyscy się jej bali.

Wystarczyło, by spojrzano na kogoś i wymamrotała parę słów, a człowiek padał, powalony gorączką.

Pewnie nigdy nie słyszeliście o tym, co zdarzyło się między nią a rabinem Lejbem Sarasem.

Była wtedy jeszcze młodą, pełną żądz, bezwstydną ładacnicą.

Rabin lubił chodzić do lasu i kąpać się w sadzawce przed zmówieniem modlitw.

Pewnego ranka uniósł głowę i zobaczył przed sobą nagą Doboszową, której długie, rozpuszczone włosy sięgały dopasa.

Kiedy wykrzyknął Święte Imię, złapał ją wiatr i uniósł na czubek drzewa.

"Rabinie, ożeń się ze mną" - zawołała do niego z gałęzi, na której siedziała.

"Razem będziemy rządzili światem".

- Cóż za bezwstydną kobieta - rzekł Izaak Amszinower.

- Gmina Chasydzka nie wspomina o tej historii - zauważył eunuch Mejer.

- W Gminie Chasydzkiej brak nawet wzmianki o wielu zdarzeniach.

Jasam spotkałem kiedyś czarownika.

Stał się to w lesie, tuż za jedną z wiosek niedaleko Radoszyc.

Był pogodny dzień, a ja, jak

136

zwykle, niosłem szkło.

Poprzedniej nocy spałem w spichlerzu.

Zawsze wracałem do domu na szabas.

Szedłem pogrążony w myślach, kiedy nagle dostrzegłem małego człowieka.

Był mniejszy nawet od karła.

Przysięgam, że nie był większy niż moja ręką.

Patrzyłem na niego i nie mogłem dociec, kim jest ten stwór.

Ubrany był jak szlachcic - w zielony płaszcz, kapelusz z piórami czerwone buty.  
W rękę trzymał skórzaną torbę myśliwską.  
Wydaje mi się, że miał też strzelbę - wiecie, taką małajak te, które noszą chłopcy w Świąt Omera.  
Stałem tam po prostu gapiłem się na niego.  
Nawet jeśli był karłem czy też potworkiem, to co robił sam w lesie?  
Zatrzymałem się, aby go przepuścić, ale on też się zatrzymał.  
Kiedy zacząłem iść, szedł obok mnie.  
Zastanawiałem się, w jaki sposób mógł robić takie duże kroki, mając tak krótkie nogi.  
Było oczywiste, że służy diabłu.  
Zmówiłem "Słuchaj, Izraelu" oraz "Shaddai, zniszcz Szatana", ale to nic nie pomogło.  
Śmiejąc się, wycelował we mnie.  
Sprawy przybrały obrót, więc kiedy dostrzegłem kamień, podniosłem go i cisnąłem nim w karła.  
Parsknął takim śmiechem, że aż zadygotałem.  
Potem pokazał mi język.  
Wiecie, jak by był długi?  
Sięgał mu aż do pępka.  
- Czy nic ci nie zrobił?  
róż" - Nie, uciekł.  
" -  
- Czy miałeś przy sobie jakiś amulet?  
- Miałem na szyi woreczek, w którym trzymałem kielwilka, oraz talizman pobłogosławiony przez świętobliwego rabina z Koziennic.  
Nosilem go od dzieciństwa.  
- No tak, to ci pewnie pomogło.  
- Skąd wiesz, że on był czarownikiem?  
- spytał eunuch Mejer.  
- Równie dobrze mógł to być diabełek albo inny chochlik.  
- Dowiedziałem się o tym później.  
Jego ojciec, bogaty ziemianin, zostawił mu w spadku swój dworek, ale chłopiec zaczął się interesować magią.  
Potrafił się zmniejszać i powiększać, wiedział, co zrobić, aby zamienić się w kota, psa czy w cokolwiek tylko zechciał.  
Mieszkał ze starą, głuchą jak pień służącą, która mu gotowała.  
Miał tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi zrobić.  
To śmierć żony spowodowała, że poświęcił się czarom.  
Czasami uciekał się do swych sztuczek, aby nieść ludziom pomoc.  
Ale niezbyt często.  
Wolał wyśmiewać się z wieśniaków i straszyć ich.  
- Co się z nim stało?  
- spytał Izaak Amszinower.  
- Nie wiem.  
Żył jeszcze, kiedy wyprowadziłem się z Radoszyc.  
Wiecie, co się dzieje z takimi ludźmi.  
W końcu staczą się nad nopiekieł.

Kiedy szklarz Zalman przestał mówić, zapadła cisza.  
 Potem Izaak Amszinower wyjął fajkę, zapalił ją i rzekł:  
 - A cóż w tym dziwnego, że goje mają swych magów?  
 Nawet w Egipcie byli czarownicy.  
 Czyż egipcyscy magowie nie współzawodniczyli z Mojżeszem?  
 Ale ja słyszałem o żydowskim czarowniku.  
 No, może niezupełnie o czarowniku, ale o kimś, kto się zadawał z biesami.  
 Jego teść, Mordechaj Liszkower, był moim znajomym.  
 Był to bardzo zamożny człowiek i do tego wykształcony.  
 Miał pięciu synów i jedną córkę.  
 Dziewczyna miała na imię Pesia i była oczkiem w głowie ojca.  
 Wszyscy jego synowie dobrze się ożenili.  
 Połowamiasta należała do niego. On zaś miał młyn, który nieustannie pracował.  
 Chłopi przyjeżdżali do niego furami z odległych wsi, ponieważ uważali, że mąka zmielona w jego młynie była błogosławiona.  
 Mordechaj chciał znaleźć dla Pesi - była jego najmłodszym dzieckiem - najlepszego męża pod słońcem.  
 Przeznaczył dla niej wielką posagą obiecał, że do końca życia będzie utrzymywał ją i jej męża.  
 Udał się więc do jesziwy i poprosił dyrektora, aby mu pokazał najzdolniejszego studenta.  
 "Oto on" - rzekł dyrektor, wskazując na niedużego chłopca.  
 "Na imię mu Zejnwł.  
 Może jest mały, ale za to ma więcej rozumu niż wszyscy uczeni w Polsce razem wzięci".  
 Czegoż więcej mógł chcieć?  
 Chłopiec był sierotą na utrzymaniu miasta.  
 Zabrano go do domu reba Mordechaja, ubrano jak króla i przedłożono mu do podpisu intercyzę.  
 Następnie Zejnwł został umieszczony w zajeździe, ponieważ mężczyźni nie wolno mieszkać w tym samym domu co jego narzeczona.  
 Jadał młode gołębie marcepan.  
 Kiedy przychodził do domu nauki, wszyscy chłopcy siłowali wciągnąć go w mądre rozmowy, ale on niewiele się odzywał.  
 Był tego rodzaju człowiekiem, dla którego każde słowo jest na wagę złota.  
 Ale kiedy już coś powiedział, warto było go słuchać.  
 Wciąż go pamiętam tak, jakim był wtedy: niedużym chłopcem o jasnej cerze, bez zarostu, który stojąc na środku domu nauki jednym tchem recytuje z pamięci Komentarze.  
 Reba Mordechaj dał mu ubrania o jeden numer za duże, sądząc, że do nich dorosnie.  
 Jego płaszcz ciągnął się po ziemi.  
 Prawdę mówiąc, nigdy już nie urósł, ale to zupełnie inna historia.  
 Kiedy wypowiadał się na temat czonnych spraw, mówił bardzo cichym głosem.  
 Unikał rozmów na temat doczesne; ledwo odpowiadał "tak" lub "nie", kiedy mu zadawano jakieś pytanie.  
 Czasami po 138  
 prostu przytakiwał głową.  
 Zawsze siedział sam w jakimś odległym kącie domu nauki.  
 Chłopcy skarżyli się, że jest niekoleżeński.  
 Kiedy się modlił, spoglądał przez okno i nie odwracał głowy, dopóki nie skończył.  
 Okno wychodziło na ulicę Synagogi, skąd było widać cmentarz.  
 Tak więc nie interesował się otaczającym światem.  
 Mieszkańcy miasta szanowali go.

Bo i dlaczegoż by nie?

Miałostać zięciemreb Mordechaja.

Wtedy zdarzyło się coś dziwnego.

Pewnej nocy jeden z chłopców przyszedł do domu nauki biały jak kreda.

"Co ci się stało?"

" - spytali pozostali.

"Kogo się przestraszyłeś?"

" Najpierw chłopiec odmówił odpowiedzi.

Potem jednak wziął trzech przyjaciół na stronę i zobowiązawszy ich do zachowania tajemnicy, opowiedział im rzecz następującą: Kiedy spacerował pod dziedzińcu synagogi, zauważył Zejnwła, który stał obok przytułku, wykonując przedziwne ruchy rękami.

Wiedział, że Zejnwł nigdy nie uczy się w nocy.

Tak czy inaczej, co robił w pobliżu przytułku?"

Wszyscy wiedzieli, że przytułek to niebezpieczne miejsce; deska, na której obmywano zwłoki, była oparta o drzwi wejściowe.

Do budynku prowadziły dwie drogi:

jedna z przedmieścia, a druga z cmentarza.

Chłopiec pomyślał, że pewnie Zejnwł, będąc w obcym mieście, zablądził, i zawołał do niego:

"Zejnwł, co ty tam robisz?"

" Ledwo wymówił te słowa, Zejnwł zaczął się kurczyć i stał się tak mały, że wkrótce pozostała po nim tylko smuga dymu.

W końcu zniknął nawet dym.

Aż dziw, że chłopiec nieumarł z przerażenia.

"Jesteś pewien, że nie brakuje ci cyces przy tańsiej?"

" - spytali go koledzy.

"Amoże w twojej mezuzie brakuje liter?"

"Dla wszystkich było oczywiste, że to jeden z diabłów przebrał się za Zejnwła.

Zdarzenie to trzymano w tajemnicy.

Gdyby mieszkańcy miasta dowiedzieli się prawdy, ominęłoby ich mnóstwo problemów.

Odbyło się huczne wesele.

Sprowadzono muzykantów z Lublina, awodzireja, Jukele, aż z Kowla.

Lecz Zejnwłani nie uczestniczyli w tradycyjnej dyskusji dotyczącej Toryz kolegami z jeziwy, a nieżnie częstował gości ciasteczkami i napojami.

Siedział na honorowym miejscu przy stole, jakby był nieobecny.

Miał tak gęste brwi, że trudno byłoby stwierdzić, czy śpi, czy też rozmyśla.

Niektórzy sądzą nawet, że o głuch.

Ale wszystko ma swój koniec.

Zejnwł ożenił się i wprowadził do domu teścia.

Teraz siedział w swym kącie w domu nauki, czytając Traktat o Ablacjach przeznaczony dla młodych mężów.

Wkrótce jednak Pesia zaczęła narzekać, że nie zachowuje się tak, jak powinien młody mąż.

Mimo że przychodziło jej łóżko po kąpielii rytualnej,.

był wobec niej zimny jak lód.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, Pesia wpadła do sypialni matki, zanosząc się płaczem.

"Co się stało, córeczko?"

"Według relacji Pesi, poprzedniego wieczoru zażyła ona kąpieli rytualnej i Zejnwł położył się wraz z nią do łóżka.

Ale kiedy zerknęła na jego łóżko, sądząc, że jest puste, zobaczyła, iż leży w nim drugi Zejnwł.

Taksę przeraziła, że skuliła się cała pod pierzyną i bała się wyjść.

Kiedy tylko zrobiło się jasno, Zejnwł wstał i poszedł studiować.

"Córko, ty masz jakieś przywidzenia" - powiedziała jej matka.

Ale Pesia zaklinała się na wszystko, że mówi prawdę.

"Mamo, strasznie się boję" - wykrzyknęła.

Była tak przerażona, że aż zemdląca.

Jak długo jednak można utrzymywać coś takiego w tajemnicy?

Rzeczywiście było dwóch Zejnwłów.

Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

W Grabowicach mieszkało kilku sceptyków, którzy próbowali, na swój sposób, wyjaśnić całe zdarzenie.

Wiecie, jak zwykli tłumaczyć takie sprawy: dla nich to albo halucynacja, albo fantazja, albo jakieś chorobliwe skłonności.

Mimo to byli tak samo przestraszeni jak pozostali mieszkańcy.

Zejnwła zamykano nanoc w pokoju, gdzie spał w swoim łóżku, ale mimo to widziano go również blakającego się pod dziedzińcu synagogi albo na rynku.

Czasami pojawiał się w przedsionku domunaukii stał tam nieruchomo obok miednicy do obmywania rąk, dopóki ktoś nie odkrył, że to tylko ten fałszywy Zejnwł.

Wówczas odpływał i znikał jak pajęcza nici.

Przez jakiś czas nikt nie mówił o tym Zejnwłowi.

Sam pewnie nie miał pojęcia o tym, co się działo.

Ale w końcu jego żona, Pesia, przerwała milczenie.

Oznajmiła, że nie będzie z nim spała w tym samym pokoju.

Musieli zatrudnić nocnego stróża.

Teść Zejnwła przedstawił mu fakty, sądząc, że chłopiec się zatrwoży i

wszystkiem zaprzeczy, ale on po prostu stał, nieruchomy jak posąg, i nie wydał z siebie ani słowa.

Reb Mordechaj zabrał go więc do rabina z Turzysk, który obwiesił całe ciało Zejnwła talizmanami.

Ale kiedy Zejnwł powrócił do domu, nic się nie zmieniło.

Nocą teściowa zamykała jego sypialnię odzewnątrz.

barykadowała drzwi ciężkim krzesłem, lecz mimo to Zejnwł wciąż się blakał.

Na jego widok psy warczały, a konie stawały dęba ze strachu.

Kobietynie śmiały wychodzić wieczorami z domu, chyba że nałożyły dwa fartuchy - jeden z przodu, a drugi z tyłu.

Któregoś wieczoru pewna młoda kobieta poszła zażyć kąpieli rytualnej i kiedy żelazna obmyła ją w przedsionku łaźni, udała się do izby, w której odbywa się kąpiel.

Schodząc ze schodów zobaczyła, że ktoś się

140

chłapie w wiodzie.

Świeca w tym pomieszczeniu płonęła tak słabo, że nie mogła dostrzec, kto to jest.

Kiedy się zbliżyła i zobaczyła, że to Zejnwł, zaczęła krzyczeć i zemdląca.

Całe szczęście, że żelazna była w pobliżu, bo inaczej dziewczyna by utonąła.

W tym czasie prawdziwy Zejnwł był w domu nauki.  
Sam tam byłem i widziałem go nawłasnne oczy.  
Jednakże, prawdę mówiąc, niemal nie można było odróżnić, któryz nich był prawdziwym Zejnwłem, a który zjawą.  
Chłopcyz miasta mówili teraz, że Zejnwł chadzado łaźni rytualnej, aby podglądać nagie kobiety.  
Pesia oświadczyła, że nie będziez nim dłużejżyć.  
Gdybymiał rodziców, odprawiliby go dodomu, ale dokąd możnaodesłaćsierotę?  
Teś zaprowadził godo rabina i dałmu sto guldenów,aby udzielił rozwodu Pesi.  
Byłem jednym ze świadków podpisującychdokumenty rozwodowe.  
Pesianie mogła opanować płaczu, natomiastZejnwłsiedział cicho na ławie, jak gdyby cała ta sprawa niedotyczyłajego osoby.  
Wyglądał, jakby spał.  
Rabin spoglądała ścianę, chcącsię upewnić, że znajdujesię naniej cień Zejnwła.  
Bo wiecie, że demony nie rzucają cienia.  
Porozwodzie Zejnwła wsadzono do powozu,który wynajął reb Mordechaj, i zawieziono do jakiejś jesziwy.  
Wiózłgo chrześcijanin, gdyż żaden Żyd nie chciał siętego podjąć.  
Kiedywoźnica wrócił, zacząłrozpowiadać, że Żydzirzucili na niego urok.  
Jego konie, choć nie żałował im bata, odmawiały ciągnięcia powozu.  
Pokazał swój zaprzęg.  
Zwierzęta wyruszyły z rynku zupełnie zdrowe,a powróciły chore i wycieńczone.  
MordechajLiszkwower musiał mu zapłacić odszkodowanie.  
Dowiedziałem się później,że oba koniewkrótcezdechły.  
Mimo że Zejnwł opuścił miasto, mieszkańcy wciąż go widywali.  
Spotykali go po zmierzchu obokmłynna, nad rzeką,gdzie kobiety prałybieliznę, przy wychodku.  
Wielokrotnie widziano gow środku nocy,sterczącego na dachu niczym komin.  
Studenci zarzucili naukę wieczorową porą, gdyż wiedzieli, że wtedy Zejnwł lubi się błąkać po dziedzińcu synagogi.  
Kiedy Pesia wyszła ponownie za mąż, zniknął.  
Nikt nie wie, co się z nim stało.  
Ktoś, kto odwiedziłjesziwę, do którejrzekomo go posłano, powiedział, że nigdy tam nie dotarł.  
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że talizmany rabina z Turzyską nieskuteczne?  
- spytał szklarz Zalman.  
- Nie wszystkie talizmany działają.  
- Nie można tego powiedziećo talizmanach rabina z Kozienic.  
- Tylko ilu jest takich rabinów na świecie?

^^^WF

3

Eunuch Mejer drapał się po swojej gładkiej brodzie.  
Zacisnął lewopowiekę i patrzył tylko prawym okiem.  
Mimo że miał teraz swojedobredni, śmiał się jak opętany.  
- A cóż w tym niezwykłego?  
Wszystkim wiadomo, że istnieją czarownice.  
A może Zejnwł był niewinny?  
Przecież ktoś mógł na niego rzucić urok.  
A może był idiotą albo potworem?  
Ponadto w czasie snuduch opuszcza ciało.  
Zazwyczaj tego nie widać, ale czasami można to zauważyć.  
W Krasnymstawie, na przykład, żyła sobie kobieta, która promieniowała zielonym światłem podczas snu.  
Kiedy gasili lampę, jaśniała ściana, przy której stało jej łóżko.  
Słyszałem też o kocie, którego utopił woźnica i który powrócił do swego oprawcy, aby odgryźć mu nos.  
Wszyscy rozpoznali to zwierzę.  
Kot zaczął prychnąć miauczeć i najpewniej wydrapałby woźnicy oczy, gdyby ten w porę nie zakrył twarzy rękami.  
Ciało umiera, ale duch nadal żyje.  
Mówię tu do ducha, a nie do duszy.  
Nie wszystko ma duszę.  
Trzeba sobie czymś zasłużyć, aby być godnym posiadania duszy.  
Natomiast ducha mają nawet zwierzęta.  
Opowiem wam o Jenuce.  
Być może nie wiesz, reb Zalmanie, ale po aramejsku Jenuka znaczy dziecko.  
Jenuka, jak go nazywano, był szóstym dzieckiem Zekele, prostego nosiwody.  
Nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, kiedy się urodził.  
Został obrzezany, podobnie jak jego bracia.  
Naprawdę miał na imię Zaddok, po dziadku.  
Wkrótce jego matka zaczęła narzekać, że jej syn rośnie zbyt szybko.  
Ale kto by słuchał takiej babskiej gadaniny?  
Każda matka uważa, że jej dziecko jest najwspanialsze.  
Nie minęły trzy miesiące, a już całe miasto rozmawiało wyłącznie o zadziwiającym synu Zekele.  
Dziecko zaczęło mówić w wieku pięciu miesięcy.  
Kiedy miało pół roku, zaczęło chodzić.  
Kiedy chłopczyk skończył roczek, zawinięto go w szal modlitewny i zaprowadzono do szkoły.  
W dzisiejszych czasach mamy gazety, ale wtedy Żydzi ich nie mieli i dlatego opisano chłopca w jednej z gazet chrześcijańskich.  
Gubernator przysłał delegację, która miała przeprowadzić z nim wywiad i złożyć sprawozdanie.  
Miejscowy lekarz wysłał odpis swych badań do Warszawy i Petersburga.  
Do miast zjechała masa profesorów i biegłych.  
Nie mogli uwierzyć, że mały Zaddok ma tylko piętnaście miesięcy, ale nie brakowało na to świadków.  
Władze miejskie wystawiły akt urodzenia, a ponadto położna też miała swoje zapiski.  
Człowiek, który go obrzezał, rabin, który trzymał

niemowlę wczasieceremonii, oraz kobieta, która mu je podawała -wszyscy oni potwierdzilifakty.

Trzeba było zabrać Zaddoka ze szkoły.

Po pierwsze,cała tawrzawa zburzyła szkolny porządek,a po drugiepo prostu przerastał inteligencją pozostałe dzieci.

Wystarczyło, że raz spojrzął na alfabet i już znał gona pamięć.

Kiedy miał osiemnaście miesięcy, zagłębiał się w lekturze Pięcioksięgu oraz KomentarzyRasziego.

W wieku dwóch lat zaczął studiować Gemarę.

Wiem, że trudnow to uwierzyć, ale ja sam mogę przysiąc, iż tak było.

Zekele, nasz nosiwoda, przyprowadzał chłopca do nas dodomu, aby się nim pochwalić.

Kiedy Zaddokmiał trzy lata, wygłaszał kazania w synagodze.

Z jego dziecięcych ust treść Tory płynęłastrumieniem.

Kto nie był w synagodze w tamten wielki szabas poprzedzający Paschę, nie wie, co to znaczy cud.

Nawet ślepybyzauważył, że to dziecko musiało być ponownym wcieleniem jakiegoś dawnego świętego.

KiedyZaddok miał cztery latka, był wysoki jak młodzieniec i jego twarz zaczęła pokrywać się zarostem.

Wtedy właśnie zacząłogonazywaćJenuka, na cześć świętego dziecięcia z Zohar.

Ale gdybymchciał opowiedzieć wam o nim wszystko, musielibyśmy przesiedziećcałą noc.

Po co przedłużać tę historię?

W wieku pięciu latZaddok miał już długą brodę.

Nadszedł czas,aby się ożenił,ale ktoś bywydał swą córkę za pięcioletniego chłopca?

Tak czy inaczej, Zaddokbył całkowicie pochłonięty Kabałą.

Gmina przyznała mu specjalnypokój, w którym chłopiec spędzał czas na studiowaniu Zohar, DrzewaŻycia, Księgi Stworzenia oraz Księgi Tajemnic.

Ludzie oferowali mupieniądze, aby się za nich modlił, ale on odmawiał.

Nigdzie nie brakniewierzących, ale każdy, kto spojrziałna Zaddoka, pozbywał się wątpliwości.

W szabas zasiadał na honorowymmiejscu przy stole, niczym sam rabin.

Itylko nielicznejgrupie wybranych wolno było dotrzymywać mutowarzystwa.

Lecz nawet ci wykształceni mężczyźni z trudempojmowali jego wnikliwie interpretacje.

Miałnadzwyczajną zdolnośćdo przekładania alfabetu na liczbyi tworzenia akrostychów.

Czasami,kiedy był roztargniony, mówił wyłącznie po aramejsku.

Pisał w takisposób, że należałoodczytywać jego zapiski z ich odbicia w lustrze.

A potem nagle rozniosł się wieści, że Jenuka się zaręczył.

Mówiono, że w sąsiednim mieście mieszka bogaty człowiek, który stracił siedmioro dzieci, zanim osiągnęły one wiek trzechlat.

Jego jedynymżyjącym dzieckiem była dziewczynka, którą ubierał na biało i nazywałAltele, Małą Staruszką, aby zmylić Anioła Śmierci.

Nie pamiętam,jak ten człowieksię nazywał, ważne, że jakiś rabin poradziłmu, aby



wydał swą córkę za Jenukę.  
Dziewczynka miała czternaście lat.  
Jenuka zaś, pomimo swych pięciu lat, wyglądał na czterdzieści.  
Nikt nie wierzył, że chłopiec się zgodzi, a jednak przyjął tę propozycję.  
Osobiście uczestniczyłem w przyjęciu zaręczynowym.  
Wyglądało tak, jakby dziewczyna wychodziła za mąż za swego ojca.  
Podpisali kontrakt i stłukli talerze na szczęście.  
W ciągu całej ceremonii Jenuka mamrotał do siebie pod nosem.  
Najprawdopodobniej wysłuchiwał wskazówek z Nieba.  
Nie wiem dlaczego, ale obu stronom spieszo było do zawarcia małżeństwa.  
Zaręczyny odbyły się podczas Chanuki, natomiast datę ślubu wyznaczono na pierwszy szabas po Zielonych Świątkach.  
Zaślubiny miały nastąpić nie w mieście panny młodej, jak to byłoby zwyczajem, tylko w rodzinnym domu pana młodego, ponieważ obawiano się, że widok Jenuki mógłby być zbyt silnym przeżyciem dla ludzi doń nie przyzwyczajonych.  
Zaproszono osiemdziesięciu rabinów, a każdy z nich był specjalistą od cudów.  
Zjechali się nie tylko z centralnej Polski, ale również z Wołynia i z Galicji.  
Było tam też wielu wolnomyślicieli, lekarzy oraz filozofów.  
Wśród gości znalazł się nawet gubernator Lublina i, jak mi się wydaje, jego zastępca.  
Przybyły bezpłodnej kobiety, w nadziei, że obecność ślubie tej pary rozwiąże ich problemy.  
Ktoś przyprowadził dziewczynkę, której czkawka przypominała szczekanie psa.  
Recytowała z pamięci rozdział Miszny, a kiedy śpiewała ze śpiewnika, jej głos był głęboki i niczym głos kantora.  
Zajazdy były pełne gości, ponieważ plotka głosiła, że ci, którzy przyjdą na ten ślub, nigdy nie będą się smażyli w płomieniach Gehenny.  
Sporo gości musiało spać na ulicach.  
Półki w sklepach spożywczych tak szybko opustoszały, że trzeba było posłać wozy po nowe dostawy do Lublina.  
A teraz posłuchajcie.  
Trzy dni przed ślubem matka Jenuki weszła do jego pokoju z filiżanką herbaty.  
Ujrzała swego syna z brodą białą niczym śnieg.  
Jego twarz była żółta i pomarszczona jak pergamin.  
Zwołała pozostałych członków rodziny.  
Chociaż jej syn nie miał jeszcze sześciu lat, zamienił się w sędziwego starca.  
Zgromadził się tłum ciekawskich, ale nie wpuszczono ich do domu.  
Ktoś powiadomił rodziców panny młodej o tym, co się stało.  
Nie mieli jednak odwagi zerwać zaręczyn.  
W dniu ślubu, na przyjęciu kawalerskim, Jenuka rozjaśnił wieletajemnic.  
Kiedy nadszedł czas, żeby zdjąć welon z głowy panny młodej, tłum pognał na miejsce ceremonii.  
Drużbowie pana młodego niesli go, lecz nieśli go na rękach.  
Wyglądał na zupełnie wyczerpanego.  
Kiedy panna młoda zobaczyła, że Jenuka jest starcem,  
144  
zaczęła płakać i protestować, ale w końcu się uspokoiła.  
Byłem tam osobiście i widziałem wszystko na własne oczy.  
Kiedy podano rosół młodej parze, ledwie gotknęli, mimo że musieli pościć przez jakiś czas.  
Muzykanci bali się grać.  
Wodzirejnie odezwał się ani słowem.

Jenuka siedział u szczytu stołu, zakrywając oczy rękami.  
Nawet nie pamiętam, czy zatańczył z panną młodą, czy też nie.  
Od tamtego dnia danemu było żyć jeszcze tylko trzy miesiące.  
Każdego dnia wiadł i kurczył się coraz bardziej.  
Pochylał się, topił jak woskowa świeca.  
W ciągu ostatnich dni życia Jenuki zabroniono obcym wstępu do jego pokoju, nie wpuszczano nawet lekarza.  
Jenuka, ubrany w biały szlafrok, naktórym miał szal modlitewny i filakterie, siedział jak jakiś starożytny święty zupełnie nie z tego świata.  
Przestał jeść.  
Kiedy podawano mu żyzkę rosółu, nie mógł go przełknąć.  
W dniu, w którym zmarł, nie było mnie akurat w mieście, ale powiedziano mi, że w chwili śmierci jego twarz świeciła jak słońce.  
Kiedy się przechodziło koło ich domu, czuło się gorący dotyk tego świętego blasku.  
Aptekarz, który przychodził do niego, by się zeń naśmiewać, natychmiast stał się wierzący i wsypał sobie groch do butów, aby odpokutować winy.  
Nawet ksiądz się nawrócił.  
Ci, którzy stali u łóżka śmierci, słyszeli uderzenia skrzydeł anioła.  
Jenuka życzył sobie, by przygotowano mu całun jeszcze za jego życia.  
Wydał ostatnie tchnienie wraz z ostatnim ruchem igły, którą szyto ów całun.  
Kiedy przybyli ludzie z Towarzystwa Pogrzebowego, nie mieli prawieco myć.  
W przypadku świętych takich jak on nawet materia zamienia się w ducha.  
Tragarze powiedzieli, że jego ciało było lżejsze od ptaka.  
Przez trzy dni śpiewano pieśni pochwalne.  
Po ceremonii gminy zebrała pieniądze na budowę kapliczki przy jego grobie, w której miało płonąć wieczne światło.  
Zekele przyznano pensję.  
Coś się przecie znaleźć ojcu takiego syna.  
- A co się stało z wdową?  
- zapytał szklarz Zalman.  
- Nigdy już nie wyszła za mąż.  
- Czy miała dzieci?  
- Skądże znowu.  
- Czy długo żyła?  
- Jeszcze żyje.  
- Kim tak naprawdę był ten Jenuka?  
- chciał się dowiedzieć Izaak Amszinower.  
- Kto to może wiedzieć?  
Czasami wysyłana jest z Nieba na ziemię dusza, która musi spełnić swą misję w pośpiechu.  
Dlaczego rodzą się

dzieci którym jest dane żyć tylko jeden dzień?  
Każdadaśza schodzi naziemię, abynaprawić jakiś błąd.  
Z duszami jest tak, jak z rękopisami:  
może być mało albo dużo błędów.

Wszystko, cożle na tejziemi, musibyć naprawione.  
Świat grzechu jestświatem poprawy Oto odpowiedzialna wszystkie pytania.

II

PapieżZejdł

W przeszłości w każdym z pokoleń trafiałem na kilka osób, których ja, Szatan, nie potrafiłem zepsuć zwykłymi metodami.

Za nicnie mogłem ich namówić domorderstwa, rozpusty czy kradzieży.

Nieudawało mi się nawet przekonać ich do tego, aby zarzucili studiowaniePrawa.

Tylko w jedenjedyny sposób można byłodotrzeć do wnętrzatych prawych duszyczek: przez ich pychę.

Zejdł Cohen był właśnie takim człowiekiem.

Po pierwsze, czuwalinad nim jego szlachetni przodkowie: byłpotomkiem

Rasziiego,którywywodził swój ród od króla Dawida.

Podrugie, był największym uczonym w całej guberni lubelskiej.

W wieku pięciu lat studiował Gemaręi Komentarze; mając siedem lat znał na pamięć Prawa o Małżeństwiei Rozwodzie, a jako dziewięcioletni chłopiec wygłosił kazanie, przytaczając cytaty z tak wielu ksiąg, że nawet najstarsi spośród uczonychpoczuli się zażenowani.

Doskonale znałBiblię i nie było nikogo, ktoby mudorównał w znajomości gramatyki hebrajskiej.

Ponadto bezustannie studiował: zimą i latem wstawał wrazz jutrzenką izaczynałczytać.

Ponieważ rzadko opuszczał swe pokoje,aby zaczerpnąćświeżego powietrza, i nie wykonywał żadnej pracy fizycznej, miał niewielkiapetyt i lekki sen.

Brakowało mu cierpliwości, byspędzać czas na rozmowach z przyjaciółmi,zresztą, nie odczuwał nawet takiej potrzeby.

Zejdł kochał tylko jedną rzecz: książki.

Kiedy tylkoprzekraczał prógdomu nauki albo wchodził doswojego domu, natychmiast podbiegałdopólek z książkami i kartkował woluminy, wdychając w płuca tonykurzu pokrywającego pradawne stronice.

Miał tak świetną pamięć, że wystarczałmu jeden rzut oka na jakiś fragment Talmudu lub jakąśnową interpretacjęw Komentarzu, aby zapamiętał je nazawsze.

147.

Nie udawało mi się też zawładnąć Zejdem poprzez jego ciało.  
Nie miał ani jednego włoska na kończynach, jego spiczasta głowa wyłysiała, zanim skończył siedemnaście lat, a broda była prawie zupełnie pozbawiona zarostu.  
Miał podłużną twarz, na której gościł wyraz uporu.  
Na wysokim czole zawsze widniały trzy lub cztery krople potu.  
Jego haczykowatynos wydawał się dziwnie obnażony, tak jak nos kogoś, kto zazwyczaj nosi okulary, ale właśnie je zdjął.  
Parę żółtych, melancholijnych oczu przykrywały zaczerwienione powieki.  
Jego niedużedłonie i stopy pasowałyby raczej do kobiety, chociaż nikt nie wiedział, czy był eunuchem, czy może obojnakiem, jako że nigdy nie żenił się i nie brał udziału w rytuałach.  
Ale ponieważ jego ojciec, Reb Sander Cohen, był niezwykle bogaty i wykształcony oraz cieszył się pewną sławą, chciał znaleźć synowi żonę odpowiednią dla tak znanego i zamożnego domu.  
Narzeczona pochodziła z zamożnego, warszawskiego rodu i była prawdziwą pięknością.  
Nie widziała swego narzeczonego do dnia ślubu, a gdy wreszcie go ujrzała, zanim zasłonił ją welonem, było już za późno.  
Poślubiła go i jakoś nie udawała jej się zająć wciężę.  
Spędzała czas przesiadując w pokojach, które przeznaczył dla niej teść, robiąc karpety na drutach, czytając romansy, wsłuchując się w uderzenia ogromnego zegara ściennego z połączonymi łańcuchami i ciężarkami, który oznajmiał czas co pół godziny.  
Wydawało się, że cierpliwie czeka, aż minuty staną się dniami, dni latami i nadejdzie jej czas, kiedy zaśnie i zostanie pochowana w cmentarzu w Janowie.

Zejdł miał taką ogromną moc, że wszystko, co go otaczało, nabierało cech jego charakteru.  
Mimo że służący dbał o jego pokoje, meble zawsze pokrywał kurz; okna przysłonięte ciężkimi storami chyba nigdy nie były otwierane; podłogi pokrywały grube dywany, które tak wyciszały jego kroki, że brzmiały jak kroki ducha, a nie człowieka.  
Zejdł regularnie otrzymywał od ojca kieszonkowe, ale nigdy nie wydawał na siebie ani grosza.  
Nie znał wartości pieniądza, lecz mimo to był skąpcem i nigdy nie zaprosił żadnego biedaka na wieczerzę szabasową.  
Nie starał się zawierać przyjaźni, a ponieważ ani on, ani jego żona nie zapraszali żadnych gości, nikt nie wiedział, jak wygląda wnętrze ich domu.

Nie kłopotując się uczuciami ani koniecznością zarabiania na życie, Zejdł bardzo pilnie studiował.

Początkowo poświęcił się lekturze Talmudu i Komentarzy.  
Później zagłębił się w Kabałę i wkrótce stał się znawcą okultyzmu, napisał nawet traktaty o Aniele Razielu oraz Księdze Stworzenia.

Naturalnie znał dobrze Przewodnik błędzących,

148

Kuzan oraz inne dzieła filozoficzne.

Pewnego dnia wpadł mu w ręce egzemplarz Wulgaty.

Wkrótce nauczył się facyny i zaczął namyślnie czytać zabronioną literaturę, pożyczając wiele książek od wykształconego księdza, który mieszkał w Janowie.

Krótko mówiąc, tak jak ojciec Zejda gromadził przez całe życie złote monety, tak on sam zdobywał wiedzę.

Kiedy miał trzydzieści pięć lat, był największym uczonym w całej Polsce.

Wtedy właśnie otrzymałem polecenie, aby go nakłonić do grzechu.

- Ja mam skłonić Zejda do grzechu?

- spytałem.

- Do jakiego grzechu?

Nielubi jeść, nie pociągają go kobiety i nawet nie wie, jak się robi interesy.

Podchodziłem go nawet herezją, ale bez powodzenia.

Przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę:

- Załóżmy, niedaj Boże, że Bóg nie istnieje - odpowiedział mi.

- I co z tego?

To znaczy, że Jego nieistnienie jest twoje święte.

Tylko Bóg, Przyczyna Wszelkich Przyczyn, może mieć moc nieistnienia.

- Skoro nie ma Stwórcy, to dlaczego modlisz się i studiujesz?

- Zarzucałem go nowymi pytaniami.

- A co mam robić?

- Odparł na to.

- Pić wódkę i tańcować z chrześcijankami?

Prawdę mówiąc, nie znałem odpowiedzi na to pytanie i zostawiłem go wówczas w spokoju.

Potem zmarł jego ojciec i znów poleconomi zająć się Zejdlę.

Wylądowałem w Janowie z ciężkim sercem, niemając zielonego pojęcia, od czego zacząć.

2

Po jakimś czasie odkryłem, że Zejdl miał jedną słabość: pychę.

Miał w sobie dużo więcej niż tę odrobinę próżności, na którą Prawo zezwala uczonemu.

Obmyśliłem plan.

Pewnego razu, w środku nocy, wyrwałem goze snu i powiedziałem:

- Czy wiesz, Zejdl, że jesteś lepszym znawcą Komentarzy od wszystkich rabinów w Polsce?

- Naturalnie, że wiem - odparł.

- Ale poza mną nikt już się tym nie zajmuje.

149.

- Czy wiesz, Zejdł, że przerastasz wszystkich gramatyków swoją znajomością hebrajskiego?  
- pytałem go dalej.

-Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że twoja wiedza kabalistyczna znacznie przewyższa to, co zostało objawione samemu reb Chaimowi Witalowi?

Czy wiesz, że jesteś większym filozofem od Majmonidesa?

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- spytał zaciekawiony Zejdł.

- Ponieważ to nie jest w porządku, aby tak wybitny człowiek, mistrz Tory, chodząca encyklopedia, zakopał się w tej zapomnianej przez Boga dziurze, gdzie nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, gdzie mieszkają sami prostacy, a rabin jest zwykłym nieukiem.

Nawet

żona nie dostrzeże twojej prawdziwej wartości.

Reb Zejdł, jesteś jak perła zagrzebana w piachu.

- I cóż z tego?

- zapytał.

-Co mam zrobić?

Chcesz, żebym wszem i wobec wychwalał swoje własne zalety?

- Nie, reb Zejdł.

To bynic nie dało.

Tyle że w mieście obwołanoby cię szaleńcem.

- Jaka jest więc twoja rada?

-Obiecaj mi, że nie będziesz przerywał, a powiem ci, co powinieneś zrobić.

Wiesz chyba, że Żydzi nigdy nie szanowali swych przywódców: narzekali na Mojżesza, buntowali się przeciwko Samuelowi, wrzucili Jeremiasza do rynsztoka i zamordowali Zachariasza.

Naród Wybrany nie awidzi tego, co wielkie.

W wielkim człowieku wyczuwają rywala Jehowy, dlatego też wielbią przeciętność i mierność. Wśródich trzydziestu sześciu świętych znajdziesz tylko szewców inosiwodów.

Prawa żydowskie zajmują się głównie takimi drobiazgami jak kropla mleka, która wpada do garnka z mięsem, albo jajko, które kura znosi w dzień świąteczny.

Celowo zanieczyścili hebrajski, zhańbili starożytne teksty.

Ich Talmud czyni z króla Dawidaprowincjonalnego rabina, który udziela kobietom raddotyczących menstruacji.

Ich sposób rozumowania można ująć w jednym zdaniu: im mniejszy, tym bardziej wielki, im brzydszy, tym piękniejszy.

Wyznają jedną zasadę:

Im bliżej pyłu, tym bliżej Boga.

Rozumiesz teraz, reb Zejdł, dlaczego jesteś dla nich solą w oku- ty, z twoją wiedzą, bogactwem, wspaniałym wychowaniem, niepowtarzalną błyskotliwością i nadzwyczajną pamięcią.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- spytaj, Zejdł.

;

- Reb Zejdł, posłuchaj mnie: musisz przejść na chrześcijaństwo.

Goje są przeciwieństwem Żydów.

Ponieważ ich Bóg jest człowiekiem, to człowiek może być dla nich Bogiem.

Chrześcijanie podziwiają 150

wszelką wielkość i kochają tych, którzy ją posiadają: czy to ludzi wielkiego miłosierdzia, czy też wielkiego okrucieństwa, wielkich odnowicieli i wielkich niszczycieli, wielkie dziewice i wielkie rozpustnice, wielkich mędrców i wielkich głupców, wielkich władców i wielkich buntowników, wielkich wierzących i wielkich pogan.

Nie obchodzi ich, jaki poza tym jest ten człowiek: wystarczy, że jest wielki, i Jużmu oddają hołd.

Dlatego też, reb Zejdł, jeżeli chcesz być szanowany, musisz przyjąć ich wiarę. I nie martw się o Boga.

Dla Kogoś tak potężnego i wspaniałego ziemia i jej mieszkańcy są niczym więcej niż chmara komarów.

Nie obchodzi Go, czy ludzie modlą się do niego w synagodze, czy w kościele, czy poszczą od szabasu do szabasu, czy też napychają się wieprzowiną.

Jest zbyt wyniosły, aby zauważać te marne istoty, które żyją złudzeniem, iż są szczytem Stworzenia.

- Czy to znaczy, że Bóg nie wręczył Mojżeszowi Tory na górze Synaj?

- spytał Zejdł.

- Też coś!

Sądysz, że Bóg otworzyłby serce dla kogoś zrodzonego z kobiety?

- Czyż Jezus nie był Jego synem?

- Jezus był bękartem z Nazaretu.

- I nie ma nagrody ani kary?

- Nie ma.

- A zatem, cóż pozostaje?

- zapytał mnie Zejdł, przerażony i zmieszany.

- Jest coś, co istnieje, ale jest pozbawione istnienia - odparłem filozoficznie.

- Czy nie manadziei, że kiedykolwiek poznamy prawdę?

- spytał zrozpaczony Zejdł.

- Świat jest niepoznawalny i nie ma żadnej prawdy - odpowiedziałem, odwracając jego pytanie.

- Tak samo jak nie możesz poznać smaku soli nosem, zapachu balsamu uchem, a dźwięku skrzypiec językiem, nie możesz ogarnąć świata swym rozumem.

- A czym można go ogarnąć?

- Namiętnościami - i to też tylko niewielką jego część.

Ale ty, reb Zejdł, masz tylko jedną namiętność: jest nią pycha.

Jeżeli również to niszczysz, staniesz się pustką, próżnią.

- Cóż więc powinienem zrobić?

- spytał zdeorientowany Zejdł.

- Jutro pójdziesz do księdza i powieszmu, że chcesz być jednym z nich.

Potem sprzedaj swe dobra i cały majątek.

Spróbuj przekonać swą żonę, aby zmieniła wiarę - jeśli zechce, to bardzo dobrze, jeśli nie,

151.

to niewielka strata.

Chrześcijanie zrobią z ciebie księdza, a księdzynie wolno mieć żony.

Nadal będziesz studiował, nosił długi płaszcz i mykę.

Jedyną różnicą będzie to, że zamiast tkwić w tej zapadłej wiosce wśród Żydów, którzy nienawidzą ciebie i twojego talentu, zamiast modlić się w tym nic nie znaczącym domu modlitwy, gdzie bracia drapią się ukradkiem za piecem, zamieszkaż w wielkim mieście, będziesz wygłaszał kazania w przebogatym kościele, w którym grają organy, a żony twoich wpływowych parafian będą cię całować porękach.

Jeżeli okażesz się dobry i sklecisz coś o Jezusie i jego matce, Dziewicy, to zrobią z ciebie biskupa, a później kardynała - a z pomocą Bożą, jeżeli się uda, kiedyś uczynią cię papieżem. Wtedy chrześcijanie będą cię obnosić w lektycie niczym bożka, palić wokół ciebie kadzidła, i klękać przed twym wizerunkiem w Rzymie, Madrycie i Krakowie.

- Jakie imię otrzymam?

- spytał Zejdl.

- Zejdl Pierwszy.

Moje słowa wywarły na nim tak silne wrażenie, że Zejdl poderwał się gwałtownie i usiadł na łóżku.

Jego żona zbudziła się i zapytała go, dlaczego nie śpi.

Jakiś ukryty instynkt podpowiadał jej, że zawładnięciem wielką władzą, i pomyślała: "Kto wie, a nuż stał się cud?"

"Ale Zejdl już zdecydował, że się rozwiędzie, więc kazał jej zamilknąć i nie zadawać więcej pytań.

Włożył kaptur i szlafrok i udał się do swego gabinetu, gdzie zapalił świecę, i spędził resztę nocy ponownie czytając Wulgatę.

3

Zejdl postąpił tak, jak mu radziłem.

Udał się do księdza i oznajmił mu, że chce z nim porozmawiać na temat wiary.

Oczywiście, chrześcijanin był cały w skowronkach.

Czyż istnieje dla księdza lepszy "towar" niż żydowska dusza?

Krótko mówiąc, szlachta i duchowni z całej gubernii obiecali Zejdlowi oszałamiającą karierę w Kościele.

On zaś wkrótce sprzedał wszystko, co posiadał, rozwiódł się z żoną, ochrzcił się w święconej wodzie i został chrześcijaninem.

Pierwszy raz w życiu Zejdl był podejmowany z takimi honorami: kapłani nadskakiwali mu, szlachta obsypywała go pochwałami, szlachcianki uśmiechały się do niego życzliwie, zapraszano go do pałaców.

Jego ojcem chrzestnym był sam biskup Zamościa.

Zmieniono mu imię - już nie nazywał

152

się Zejdl, tylko Benedykt Janowski, na pamiątkę wioski, w której się urodził.

Chociaż Zejdl nie był jeszcze księdzem, ani nawet diakonem, zamówił już u krawca czarną sutannę i zawiesił sobie na szyi różaniec i krzyż.

Chwilowo mieszkał na plebanii i rzadko wychodził na ulicę, ponieważ kiedy to robił, biegli za nim żydowskie chłopcy, krzycząc:

- Przechrzta!

Zaprzaniec!

Jego chrześcijańscy przyjaciele mieli wobec niego różne plany.



Jedni radzili mu pójść do seminarium i kształcić się; inni z kolei doradzali, aby wstąpił do zakonu dominikanów w Lublinie.

Jeszcze inni namawiali go, aby ożenił się z bogatą kobietą i został dziedzicem.

Ale Zejdł nie miał ochoty postępować jak wielu przed nim.

Pragnął być wielki miast.

Wiedział, że w przeszłości wielu żydowskich przechrztów zdobyło sławę, pisząc polemiki z Talmudem - na przykład Petrus Alfonso, Fablo Christiani z Montpelier, Paul de Santa Maria, Johann Baptista czy Johann Pfefferkorn i wielu innych.

Zejdł zdecydował się pójść ich śladem.

Teraz, kiedy się ochrzcili żydowskie dzieci przeżywały go na ulicy, odkrył, że nigdy nie czytał Talmudu.

Hebrajski, w którym został napisany, miał wiele aramejskich naleciałości, jego pilpul był nudny, opowieści w nim zawarte niewiarygodne, a komentarze Biblijne naciągane i przesyczone sofistyką.

Zejdł jeździł do Lublina i Krakowa i przesiadywał w bibliotekach seminariów, studiując traktaty napisane przez żydowskich przechrztów.

Wkrótce doszedł do wniosku, że niczym się one od siebie nie różnią.

Ich autorzy byli niedokształceni, naśladowali się nawzajem, a wszyscy cytowali te same, nieliczne fragmenty Talmudu, skierowane przeciwko gojom.

Niektórzy z nich po prostu przepisali prace innych, podpisując się pod nimi własnym nazwiskiem.

Świat wciąż czekał, aż zostaną napisane prawdziwe Apologia.

Contra Talmudum, a nikt nie był w stanie zrobić tego lepiej niż on, ze swoją biegłością w filozofii i znajomością tajemnic Kabały.

Zejdł postanowił także odnaleźć w Biblii świeże dowody na to, że prorocy przewidzieli narodziny Chrystusa, jego męczeństwo i zmartwychwstanie, a także potwierdzenie prawd chrześcijańskich w logice, astronomii i naukach przyrodniczych.

Traktat Zejdła miał być dla chrześcijaństwa tym, czym dla judaizmu jest Silna Ręka Majmonidesa.

Dzieło to miało zaprowadzić Zejdła z Janowa wprost do Watykanu.

Zejdł spędzał całe dni i noce w bibliotekach, studiując, rozmyślając i pisząc. Od czasu do czasu spotykał się z chrześcijańskimi uczo153.

nymi i prowadził z nimi dysputy po polsku i po łacinie.  
Studiował teksty chrześcijańskie takim samym zapałem, jak niegdyś księgi żydowskie.  
Wkrótce znał na pamięć całe rozdziały Nowego Testamentu i biegle władał łaciną.  
W niedługim czasie stał się takim znawcą teologii chrześcijańskiej, że księża i zakonnicy obawiali się rozmowy z nim, ponieważ, przy swojej wielkiej erudycji, wszędzie dostrzegał błędy.  
Wielokrotnie obiecywano mu posadę w seminarium, ale jakoś nigdy jej nie otrzymał.  
Miał zostać bibliotekarzem w Krakowie, jednakże stanowisko to zamiast niego dostał jakiś krewny gubernatora.  
Zejdź zaczął zdawać sobie sprawę, że nawet u chrześcijan życie było dalekie od doskonałości.  
Duchownych dużo bardziej obchodziło złoto niż Bóg.  
Ich kazania były pełne nieścisłości.  
Większość księży nie znała łaciny, ale nawet kiedy przytaczali cytaty z Biblii po polsku, roiły się one od błędów.  
Zejdź pracował nad swoim traktatem przez wiele lat, ale wciąż daleko mu było do końca.  
Postawił sobie tak wysokie wymagania, że nieustannie znajdował nieścisłości, ale każda zmiana wprowadzona do tekstu pociągała za sobą kolejne zmiany.  
Pisał, kreślił, pisał od nowa, a w końcu wyrzucał.  
Jego szuflady pełne były rękopisów, notatek, zapisków, ale nie mógł doprowadzić swego dzieła do końca.  
Po wielu latach wysiłku był już tak zmęczony, że nie potrafił odróżnić tego, co dobre, od tego, co złe, sensu od nonsensu i tego, co odpowiada Kościołowi, a co nie.  
Przestał już nawet wierzyć w to, co nazywa się prawdą i fałszem.  
Mimo to nadal snuł swe rozważania i czasami przychodziły mu na myśl nowe pomysły.  
W swej pracy tak często odnosił się do Talmudu, że znów się w niego zagłębił, pisząc uwagi na marginesie i porównując różne fragmenty.  
Nie wiedział już, czy czyni to po to, aby znaleźć nowe zarzuty, czy też z przyzwyczajenia.  
Niekiedy czytywał książki o procesach czarownic, relacje młodych kobiet opętanych przez diabła, dokumenty Inkwizycji i wszelakie rękopisy, które opowiadały o podobnych zdarzeniach w różnych krajach i epokach.  
Woreczek ze złotem, który zawiesił sobie na szyi, stawał się coraz cięższy.  
Jego twarz po żółkłym pergaminie, oczy straciły blask.  
Ręce drżały mu jak staremu człowiekowi.  
Nosił brudną i podartą sutannę.  
Stracił nadzieję, że kiedykolwiek osiągnie sławę.  
Zaczął żałować, że przeszedł na chrześcijaństwo.  
Ale nie miał odwrotu: po pierwsze dlatego, że zwątpił już we wszystkie religie, a po drugie, ponieważ prawo stanowi, iż chrześcijanin, który powraca do wiary żydowskiej, ma być spalony na stosie.

154

„ . . . ^g0dm3, 'hedy ze^ sied2i^ w krakowskiej bibliotece studiując jakiś wyblakły rękopis, pociemniało mu przed oczami.  
Najpierw  
pomyślał, że zapadł zmierzch, i zapytał, dlaczego jeszcze nie zapalono świec.  
Lecz kiedy mnich odparł mu, że daleko jeszcze do końca dnia Zejdź zdał sobie sprawę, że stracił wzrok.  
Nie mógł sam powrócić do domu, więc mnich musiał go odprowadzić.  
Od tamtej chwili Zejdź żył w ciemności.

Obawiając się, że jego zasoby pieniężne wkrótce się wyczerpią i że zostanie nie tylko bez oczu, ale też bez grosza przy duszy, po długim wahaniu Zejdl zdecydował się zebrać pod kościołem w Krakowie.

"Straciłem już życie na tym świecie i życie pozagrobowe" - rozważał swe położenie.

"Na co mi pycha?"

Jeśli niemożna się wspiąć wyżej, trzeba zejść niżej".

Tak to Zejdl, syn Sandera, czy też Benedykt Janowski, zajął miejsce wśród żebraków na schodach katedry krakowskiej.

Na początku księża i kanonicy starali się mu pomóc.

Chcieli umieścić go w klasztorze.

Ale Zejdl ani myślał zostać duchownym.

Pragnął sypiać samotnie na swym poddaszu i nosić swój woreczek z pieniędzmi pod koszulą.

Nawet nie miał ochoty klękać przed ołtarzem.

Czasami zatrzymywał się przynim student z seminarium, aby porozmawiać o sprawach naukowych.

Ale w bardzo krótkim czasie wszyscy nim zapomnieli.

Zejdl nągał kobietę, aby go odprowadzała do kościoła wczesnym rankiem i przyprowadzała do domu późnym wieczorem.

Przynosiła mu też co wieczór miskę kaszy.

Miłosierni chrześcijanie dawali mu jałmużnę.

Udało mu się nawet zaoszczędzić trochę pieniędzy, tak że jego woreczek naszyty znów stał się ciężki.

Inni żebracy sztychli go, ale Zejdl nigdy się do nich nie odzywał.

Godzinami klęczał na schodach, z odsłoniętą łysiną, zamkniętymi oczami, w sutannie zapiętej pod szyję.

Nieustannie drżały mu usta i coś mamrotał.

Przechodnięszli, że modli się do chrześcijańskich świętych, a on tymczasem recytował Gemań, Misznię i Psalmi.

Zapomniał chrześcijańską teologię równie szybko, jak się jej nauczył.

W jego pamięci pozostało jedynie to, czego się nauczył w młodości.

Ulica tętniła życiem: wozy toczyły się po kocich łbach, konie rżały, woźnice pokrzykiwali ochryplymi głosami i strzelali z batów.

Dziewczęta śmiały się, puszczając języki, dzieci płakały, a kobiety przeklinały, klóciły się i wyzywały nawzajem.

Raz na jakiś czas Zejdl przestawał mamrotać, a wtedy głowa opadała mu na piersi i przysypiał.

Nie miał już żadnych ziemskich pragnień, marzył jedynie o tym, by poznać prawdę.

Czystnieje Stwórca, czy też świat jest niczym innym, jak tylko zbiorowiskiem atomów i.  
mo155.

lekuł?

Czy istnieje dusza, czy też wszystkie nasze myśli są po prostu drganiem mózgu?

Czy istnieje ostateczny rachunek sumienia i nagroda lub kara za to, kim byliśmy za życia?

Czy istnieje Materia, czy też cała egzystencja jest zwykłym produktem naszej wyobraźni?

Słońce paliłomu skórę, deszcze go zalewały, pokryty był gołębimi odchodami, lecz pozostał nieczuły na wszystko.

Teraz, kiedy zatracił swą jedyną namiętność, dumę, sprawy materialne przestały go obchodzić.

Czasami zadawał sobie pytanie: "Czy to możliwe, że to ja, Zejdł, cudowne dziecko?"

Czy moim ojcem był reb Sander, przewodniczący gminy?

Czy rzeczywiście miałem kiedyś żonę?

Czy żyje jeszcze ktoś, kto mnie niegdyś znał?

"Wydawało mu się, że to wszystko nie mogłoby być prawdą.

Takie zdarzenia nigdy nie miały miejsca, więc skoro ich nie było, rzeczywistość sama w sobie jest jednym wielkim złudzeniem.

Pewnego ranka staruszka przyszlana poddasze po Zejdła, aby go zaprowadzić pod kościół.

Okazało się, że jest chory.

Poczekala więc, aż przyśnie, po czym ostrożnie zdjęła mu z szyi woreczek z pieniędzmi i wyszła.

Mimo ogarniającego odrętwienia dawał sobie sprawę z tego, że został okradziony, ale w ogóle go to nie obchodziło.

Głowa spoczywała na słomianej poduszce, ciężka niczym głaz.

Bolały go stopy.

Odczuwał ból we wszystkich stawach.

Jego osłabione ciało było gorące i wychudzone.

Zejdł zasypiał, budził się, znowudrzemał i zrywał się ze snu, nie wiedząc, czy to już noc, czy też jeszcze dzień.

Od ulicy dochodziły go hałasy, krzyki, stukot końskich kopyt, dźwięk dzwoneczków.

Wydawało mu się, że to jakaś pogańska kiczba obchodzi swe święto przy muzyce trąb i bębnów, z pochodniami idzikimi zwierzętami, lubieżnymi tańcami, składając swym pogańskim bożkom ofiary.

"Gdzie ja jestem?"

" - zapytywał sam siebie.

Nie mógł sobie przypomnieć nazwy miasta, zapomniał nawet, że znajduje się w Polsce.

Przypuszczał, że jest w Atenach albo w Rzymie, albo może w Kartaginie.

"Co to za epoka?"

" - zastanawiał się.

Nieprzytomny zgorączki, sądził, że wszystko to dzieje się setki lat przed Chrystusem.

Wkrótce myślenie wyczerpały go zupełnie.

Intrygowało go wciąż tylko jedno pytanie: "Czy epikurejczycy mają rację?"

Czy rzeczywiście umieram, nie doznając objawienia?

Czy za chwilę zgasnę na zawsze?

"

Nagle pojawił się ja, Kusiciel, w całej okazałości.

Zauważyłem mimo swej ślepoty.

Powiedziałem mu:

- Zejdł, przygotuj się.

Nadeszła twoja ostatnia godzina.

- Czy to ty, Szatanie, Aniele Śmierci?

- wykrzyknął radośnie Zejdł.

156

- Tak, Zejdł - odparłem.

- Przyszedłem po ciebie.

Nic ci nie da ani skrucha, ani spowiedź, więc nawet nie próbuj.

- Dokąd mnie zabierasz?

- zapytał.

- Prosto do Gehenny.

- Skoro jest Gehenna, to istnieje również Bóg - rzekł Zejdł drżącymi ustami.

- To niczego nie dowodzi - odparłem.

- Oczywiście, że dowodzi - powiedział.

- Jeśli istnieje Piekło, to wszystko istnieje.

Jeśli ty jesteś prawdziwy, to On też.

Teraz zabierz mnie tam, gdzie mojemujsce.

Jestem gotów.

Wyciągnąłem miecz i skończyłem z nim.

Chwyciłem jego duszę w swoje szpony i poleciałem dopiekiław asyście innych diabłów.

W Gehennie Anioły Zniszczenia już podsycaly płomień.

Na progu, pośrodku ognia i smoły, stały dwa złośliwe chochliki w trójgraniastych kapeluszach i z biczami w rękach.

Wybuchnęły śmiechem.

- Oto nadchodzi Zejdł Pierwszy - powiedział jeden chochlik do drugiego.

- Toten chłopiec z Jesziwy, który chciał zostać papieżem.

157.

Zaślubiny w Brownsville

Od samego początku dr Solomon Margolin nie był zachwyconym ślubem. Faktem jest, że miał się odbyć w niedzielę, a Gretl miała rację mówiąc, iż był to jedyny dzień w tygodniu, który mogli spędzić razem.

Zawszetak jakoś wychodziło.

Z powodu jego obowiązków wobec gminy Gretl samotnie spędzała praktycznie wszystkie wieczory.

Syjonіści mianowali go swym przedstawicielem w jakimś Komitecie, był członkiem zarządu żydowskiego towarzystwa naukowego, współredaktorem uniwersyteckiego kwartalnika żydowskiego.

I mimo że często nazywał siebie agnostykiem, a nawet ateistą, od wielu lat ciągał ze sobą Gretl na Seder do Abrahama Mechele, ziomka z Sęcimina.

Dr Margolin leczył rabinów, uchodźców i żydowskich pisarzy za darmo, dając im lekarstwa i, jeśli zachodziła taka potrzeba, łóżko w szpitalu.

W przeszłości bywał regularnie na zebraniach Towarzystwa Sęcimińskiego, podejmował się różnych funkcji i brał udział w wszystkich przyjęciach.

Teraz Abraham Mechele wydawał za męża swą najmłodszą córkę, Sylwię.

Kiedy tylko nadeszło zaproszenie, Gretl ożnamiała mu, że nie ma zamiaru tłuc się kawał drogi na jakiś ślub na periferiach Brownsville.

Jeśli zaś on, Solomon, ma ochotę pojechać tam, obżerać się całym mnóstwem tłustych potraw i wrócić do domu otrzeć nad ranem, to jego wybór.

Dr Margolin przyznał, że jego żona ma rację.

Kiedy się w końcu wyśpi?

Musiał być w szpitalu w poniedziałek rano.

Ponadto był naściejście beztłuszczowej.

Na takim weselu jada się zwykle wszystko to, co szkodliwe.

Denerwowała już sama myśl o podobnych uroczystościach.

Drażniły go angielszczyzna, jidysz, zjidyszony angielski, muzyka, od której pękają bębniaki uszami, i niesforne tańce.

158

Żydowskie prawa i obyczaje były całkowicie wypaczone; mężczyźni, którzy nie szanowali żydostwa, nosili jarmułki, podczas gdy czcigodni rabini i kantorzy małpowali chrześcijańskich duchownych.

Za każdym razem kiedy zabierał Gretl na jakiś ślub czy też Bar Mitzwę, odczuwał wstyd.

Nawet ona, chrześcijanka z urodzenia, dostrzegała, że amerykański judaizm jest w rozsypce.

Przynajmniej tym razem nie będzie musiał się przed nią tłumaczyć.

Zazwyczaj w niedzielę po śniadaniu zabierała żonę na spacer do Central Parku albo, jeśli dopisywała pogoda, jeździli do Palisades.

Ale tego dnia Solomon Margolin długo nie mógł się wygrzebać z łóżka.

Już od lat nie brał udziału w spotkaniach Towarzystwa Sęcimińskiego.

Tymczasem miasto Sęcimin zostało kompletnie zniszczone.

Jego rodzina była tam torturowana, wszystkich spalono, zagazowano.

Wielu mieszkańców Sęcimina przeżyło i później dotarło do Ameryki, ale większość z nich była sporo młodszą i Solomon nie znał ich czasów, kiedy mieszkał w starym kraju.

Tej nocy mieli być tam wszyscy: sęciminianie z rodziny panny młodej i terespolanie z rodziny pana młodego.

Wiedział, że nie dadzą mu spokoju, ganiać go za to, iż trzyma się na uboczu, i wytykając mu snobizm.

Będą się zwracać do niego poufale, poklepywać go po plecach, ciągnąć do tańca.

Ale mimoto musiał pojechać na ślub Sylwii.

Już posłał jej prezent.

Dzień wstał szary i ponury niczym zmierzch.

Przez noc spadł głęboki śnieg.

Solomon Margolin miał nadzieję, że uda mu się odespać godziny, które miał stracić, ale niestety - zbudził się jeszcze wcześniej niż zwykle.

W końcu wstał.

Ogolił się bardzo dokładnie przed lustrem w łazience i podciął też naskroniach swe siwe włosy.

Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wyglądał na swoje lata: miał podkrążone oczy i twarz poraną zmarszczkami.

Z jego rysów przebijało skrajne zmęczenie.

Nos wydawał się dłuższy i bardziej spiczasty niż zwykle, a w kąciach ust widniały głębokie bruzdy.

Po śniadaniu wyciągnął się na kanapie w salonie.

Widział stamtąd Gretl, która stała w kuchni i prasowała - wyblakła blondynka w średnim wieku.

Miała na sobie kuszą halkę, a jej łydki były umięśnione, jakby była tancerką.

Gretl pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Berlinie, gdzie był jednym z lekarzy.

W jej rodzinie jeden brat, hitlerowiec, zmarł natyfusem w rosyjskim obozie jenieckim.

Drugiego brata, który był komunistą, zastrzelili hitlerowcy.

Jej stary ojciec wegetował w mieszkaniu swej drugiej córki w Hamburgu i Gretl regularnie wysyłała mu pieniądze.

159.

Ona sama w Nowym Jorku praktycznie stała się Żydówką.  
Przyjaźniła się z Żydówkami, wstąpiła do Hadasy, nauczyła się przyrządzać żydowskie potrawy.  
Nawet wzdychała tak, jak torobią Żydzi.  
I nieustannie rozpaczała nad katastrofą, którą hitlerowcy zgotowali światu.  
Miała swe miejsce na cmentarzu tuż obok jego, w sektorze, który sędziom zarezerwowali dla siebie.

Dr Margolin ziewnął, sięgnął po papierosa, który leżał w popielniczce na stojącym obok stoliku, i zaczął rozmyślać o sobie.  
Zrobił karierę.  
Miał swój gabinet na West End Avenue i zamożnych pacjentów.  
Cieszył się szacunkiem kolegów i był ważną figurą w żydowskich kręgach Nowego Jorku.  
Czegoż więcej mógł oczekiwać od życia chłopiec z Sędzimina?  
Samouk, syn ubogiego nauczyciela Talmudu?  
Był wysokim, dość przystojnym mężczyzną, który zawsze lubił kobiety.  
Do tej pory oglądał się za nimi - i to nawet zbyt często jak na kogoś w jego wieku, kto w dodatku cierpi na nadciśnienie.  
Lecz choćby to dla wszystkich tajemnicą, zawsze towarzyszył mu uczucie, że przegrał życie.  
Kiedy był mały, uważano go za cudowne dziecko, recytował długie fragmenty Biblii i samodzielnie studiował Talmud oraz Komentarze.  
W wieku jedenastu lat napisał do rabina z Tarnowa z prośbą o Responsum, a rabin w swym liście nazwał go "wielkim i wybitnym".  
Jeszcze jako nastolatek opanował do perfekcji 'Przewodnik' błędzących oraz Kuzari.  
Sam się wyuczył algebry i geometrii.  
Mając siedemnaście lat podjął próbę przełożenia Etyki Spinozy z łaciny na hebrajski, nie wiedząc, że już ktoś przed nim tego dokonał.  
Wszyscy uważali go za geniusza.  
On jednak zmarnował swój talent, nieustannie zmieniając obszar swych zainteresowań.  
Zmarnował całe lata na naukę języków obcych i przeprowadzki z jednego kraju do drugiego.  
Stracił też jedyną miłość swego życia, Rejzlę, córkę zegarmistrza Melecha.  
Rejzlę poślubiła kogoś innego, a później zastrzelili ją hitlerowcy.  
Przez całe życie Solomona Margolina prześladowały odwieczne pytania.  
Nawet teraz spędzał bezsenne noce, próbując rozwikłać zagadki wszechświata.  
Był hipochondrykiem, a strach przed śmiercią obecny był nawet w jego snach.  
Hitlerowska rzeź i śmierć całej jego rodziny wydarły mu ostatnią nadzieję na lepsze jutro, zniszczyły jego wiarę w ludzkość.  
Znienawidził czcigodne damy, które przychodziły do niego ze swymi drobnymi dolegliwościami, podczas gdy miliony ludzi myślały dla innych straszliwą śmierć.

Gretl przyszła z kuchni.

- Którą koszulę włożysz?

160

Solomon Margolin patrzył na nią w skupieniu.

Też miała swoje problemy.

Opłakiwała w milczeniu dwóch braci, nawet Hansa hitlerowca.

W jej życiu nastąpiła ogromna zmiana.

Dręczyło ją poczucie winy w stosunku do niego, Solomona.

Stała się oziębła seksualnie.

Teraz jej twarz była zarumieniona i pokryta kropelkami potu.



Zarabiałtyle, że stać ich było na służącą, ale Gretlnalegała na to, bysamodzielnie prowadzić dom.

Nawet sama prała.

Stałosię to jej obsesją.

Codziennie czyściła piekarnik.

Nieustannie pucowała okna ichmieszkania naszesnastym piętrze- ito bez zabezpieczenia.

Wszystkiewięc kobiecy z sąsiedztwa zamawiałyzakupy z dostawą do domu, ale Gretlsama dźwigała ciężkie torbyze sklepu.

Rzeczy, które czasami mówiłanocą, wydawały musię cokolwiekszalone.

Wciąż go podejrzewała, że podrywa każdą nową pacjentkę.

Mąż i żona spojrzeli nasiebie obojętnie, wyczuwając obcość, która przychodzi po wielkiej zażyłości.

Nie mógł się nadziwić, że tak szybkostraciła swojąurodę.

Niezmieniła się, ale coś zniknęło z jej twarzy:

jej duma, wiara wprzyszłość i ciekawość.

Odparł:

- Koszulę?

To bez znaczenia.

Białą.

- Czy nie masz zamiaru włożyćsmokingu?

Zaczekaj, zaraz cipodam witaminy.

- Nie chcęwitamin.

-Sam mówisz, że dobrze ci robią.

- Przestań.

-To twoje zdrowie, niemoje.

Powoli wyszła z pokoju, ociągając się, jakby w oczekiwaniu, żeo czymś sobie przypomni i ją zawoła.

2

Dr Solomon Margolin przejrzał się w lustrze po raz ostatni i wyszedł z domu.

Czuł się dużo lepiej po półgodzinnej drzemce, którą sobie uciął poobiedzie.

Pomimo swojego wiekuwciąż chciał imponować wyglądem- nawet sęciminianom.

Wciąż żył złudzeniami.

W Niemczech był bardzo dumny z tego, że wyglądał jak junkier, izdawał sobie sprawę, że w Nowym Jorku często go brano za Anglosasa.

Był wysokim, szczupłym, niebieskookim blondynem.

Zaczynał łysieć już posiwiiał, ale potrafił dobrze ukrywać te oznakiwieku.

Lekko się

161.

garbił, ale w towarzystwie natychmiast prostował plecy.  
Lata temu, w Niemczech, nosił monokl chociaż w Nowym Jorku byłoby to zbyt pretensjonalne, jego spojrzenie zachowało europejską powagę.  
Miał swoje zasady.  
Nigdy nie złamał przysięgi Hipokratesa.  
W stosunku do swych pacjentów był uczciwy aż do przesady i unikał nadużyć.  
Odciął się od kilku niepewnych ludzi, którzy byli zwykłymi karierowiczami.  
Gretl twierdziła, że jego poczucie honoru przerodziło się już w obsesję.  
Samochód dr Margolina stał w garażu - nie miał Cadillac jak większość jego kolegów - ale zdecydował się pojechać taksówką.  
Nie znał zbyt dobrze Brooklynu, a ponadto jazda w takim śniegu była ryzykowna.  
Machnął ręką i taksówka natychmiast zatrzymała się przy krawężniku.  
Obawiał się, że kierowca nie zechce pojechać aż do Brownsville, ale ten bez słowa włączył licznik.  
Dr Margolin spoglądał przez oszronioną szybę na wietrzną niedzielną noc, ale nie dojrzał nic ciekawego.  
Nowojorskie ulice rozchodziły się wokół, mokre, brudne i pogrążone w ciemnościach.  
Po jakimś czasie dr Margolin rozsiadł się wygodnie, zamknął oczy i wtulił się w swe własne ciepło.  
Jego celem było wesele.  
Czyż świat, niczym ta taksówka, nie podążał w nieznaną, ku jakiemuś kosmicznemu celowi?  
Może do kosmicznego Brownsville, na kosmiczny ślub.  
Tak.  
Ale dlaczego Bóg - bez względu na to, jak Go nazwiemy - stworzył takiego Hitlera czy Stalina?  
Po co? Mu były wojny światowe?  
Po co? Zawały, nowotwory?  
Dr Margolin wyjął papierosa i przypalił go z wahaniem.  
O czym oni myśleli, ci pobożni wujowie, kiedy kopali swoje własne groby?  
Czy nieśmiertelność jest możliwa?  
Czy istnieje coś takiego jak dusza?  
Wszystkie te argumenty za i przeciw niewarte były funta kłaków.  
Taksówka wjechała na most na East River i nareszcie dr Margolin ujrzał niebo.  
Zwisało tuż nad nimi, ciężkie, czerwone jak rozżarzony metal.  
Nieco wyżej fioletowy blask zalewał sklepienie niebios.  
Śnieg opadał łagodnie, przynosząc światu zimowy spokój, dokładnie tak samo jak w przeszłości - czterdzieści, tysiąc, a może nawet i milion lat temu.  
Widać było ogniste filary, które świeciły pod East River; na powierzchni rzeki, wśród czarnych fal wyrzeźbionych jak skały, holownik ciągnął sznur barek załadowanych samochodami.  
Przednie okna taksówki były otwarte i do środka wpadały lodowate powiewy wiatru wraz z zapachem benzyny i morza.  
A gdyby tak pogoda już nigdy się nie zmieniła?  
Kto wtedy byłby w stanie wyobrazić sobie letnią noc, księżycową noc, wiosnę?  
A tak w ogóle, to ile wyobraźni maczłówek?  
Na Eastern Parkway taksówką nagle rzuciło i zatrzymała

Zawyła syrena wozupolicyjnego.  
Nadjeżdżała karetka na sygnale.  
Dr Margolinskrzywił się.  
Jeszcze jedna ofiara.  
Ktoś źle skręci kierownicą i już czyjeś planyżyciowe obracają się w nicość.  
Niesionoranneгона noszach dokaretki.  
Od jego ciemnego garnituru, koszuli zbryzganej krwią muszkiodcinała się biała jakkreda twarz.  
Jedno oko było zamknięte, adrugie szkliste i na wpół otwarte.  
"Być możeon też jechał nawesele" -pomyślałdrMargolin.  
"Mógł nawetjechać na to samo wesele co ja.  
"

Jakiś czas późniejtaksówka ruszyła.  
Solomon Margolin jechał teraz ulicami,których nigdy przedtem nie widział.  
Był w Nowym Jorku,ale równie dobrze mógł być w Chicago czy wCleveland.  
Przejechałprzez dzielnicę przemysłową, pełną fabryk, magazynów węgla, drewnaizłomu.  
Murzyni, dziwnieczarni, stali na chodnikach patrząc przedsiebie.  
Ich wielkie, ciemne oczy pełne były przygnębienia ibeznadziei.  
Co jakiś czassamochód mijał knajpę.  
Ludzie w barach wydawali sięmieć w sobie coś niezemskiego, jakby odbywali karę za grzechy popełnionew innych wcieleniach.  
Kiedy już Solomon Margolin zacząłpodejrzewać, że taksówkarz, który uparciemilczał przez całą drogę,albo się zgubił, albo celowojechał okrężnądrogą,wjechali do gęsto zaludnionej dzielnicy.  
Minęli synagogę, zakład pogrzebowy i zbliżalisiędo jasno oświetlonej sali weselnej, nadktórąwidniał neon z żydowskim napisem i Gwiazdą Dawida.  
Dr Margolin dał kierowcy jednegodolara napiwku, a ten przyjął go bezsłowa.  
Dr Margolin wszedł do hallu i natychmiast ogarnęłago przytulnaatmosfera stworzona przez sęciminian.  
Wszystkie twarze wydawałymu się znajome,mimo że nierozpoznawał osób.  
Zostawił swój kapelusz i płaszcz w szatni, nałożył jarmułkę i wszedł do sali pełnej ludzii muzyki, ze stołami uginającymi się pod ciężarem jedzenia i baremzastawionym butelkami.  
Muzycy grali izraelskiego marsza, który byłmieszaniną amerykańskiegojazzu i rytmów wschodnich.  
Mężczyźnitańczyli z mężczyznami, kobiety z kobietami,mężczyźni z kobietami.  
Widział czarne jarmułki, białe jarmułki iodkryte głowy.  
Nadciągalicoraz to nowigoście, przepychając sięprzez tłum, niektórzy jesczew kapeluszach i płaszczach, pogryzając zakąski i pijąc wódkę.  
Salarozbrzmiewała tupotem stóp, okrzykami, śmiechem,oklaskami.  
Fotografowie bezustannie pstrykali zdjęcia, a lampy błyskowe strzelaływym oślepiającym światłem.  
Nagle, jakbynie wiadomo skąd, pojawiła się panna młoda, unosząc z ożywieniem tren swej sukni, a za nią

podążał cały orszak druchen.

Dr Margolinniby znał wszystkich, a jednak nie znał nikogo.

Ludzie rozmawiali z nim, śmiali się, mrugali doniego, machali rękami, a on każdemu z nich odpowiadał uśmiechem, skinięciem głowy, ukłonem.

Stopniowo wyrzucił z siebie wszystkie martwienia, wyzwolił się z nękającejgo depresji.

Był na wpół pijany od mieszaniny zapachów: kwiatów, kiszonej kapusty, czosnku, perfum, musztardy oraz tego bezimiennego zapachu, który wydzielają jedyniesęciminianie.

- Witaj, doktorze!

- Witaj, Szlojme-Dowid, nie poznajesz mnie, prawda?

No popatrz, zapomniał!

Nie było końca spotkaniom, żalom, wspomnieniom sprzed lat.

- W końcu przecież byliśmy sąsiadami.

Przychodziłeś do naszego domu i pożyczałeś gazetę w jidysz!

Ktoś zdążył go już ucałować: jakiś nie dogolony pysk, gęba cuchnąca whisky i zepsutymi zębami.

Jakaś kobieta tak się trzęsła ze śmiechu, że aż spadł jej kolczyk.

Margolin usiłował go podnieść, ale ktoś go już podeptał.

- Nie poznajesz mnie, co?

To ja, Zysł, syn Chai Bejle!

- Dlaczego nic nie jesz?

- Dlaczego nic nie pijesz?

Podejdź tu i weź kieliszek.

Na comasz ochotę?

Whisky?

Brandy?

Koniak?

Szkocką?

Z wodą sodową?

Z coca-cola?

Napij się trochę, to bardzo dobre.

Nie pozwól jej wyparować.

Skoro już tu jesteś, to się zabaw.

- Mój ojciec?

Zabili go.

Wszystkich zabili.

Ja jeden przeżyłem z całej rodziny.

- Berysz, syn Fajwisza?

Zagłodzony na śmierć w Rosji - wysłali go do Kazachstanu.

Jego żona?

W Izraelu.

Wyszła za mąż za jakiegoś Litwina.

- Sorele?

Zastrzelona.

Razem z dziećmi.

- Jentl?

Jest na weselu.

Był tu przed chwilą.

O, tam, tańczysz tym wysokim facetem.

- Abraham Zilberstein?

Spalili go w synagodze z dwudziestoma innymi.  
Zostało po nich trochę prochu, węgiel i popiół.

- Josele Budnik?

Zmarł dwa lata temu.

Chodzi cichyba o Jekele Budnika.

Ten masklepo spożywczy, tutaj, w Brownsville - ożenił się jakąś wdową, której świętej pamięćimąż zbił majątek na nieruchomościach.

164

- Lechaim, doktorze!

Lechaim, Szlojme-Dowid!

Nie obrazisz się chyba, że ciętak nazywam?

Dłannie jesteś wciąż tym samym Szlojme-Dowidem, chłopczykiem o jasnych pejsach, który recytował pamięci całe fragmenty Talmudu.

Pamiętasz, prawda?

Wydaje się jakby to było wczoraj.

Twojego ojca, niech spoczywa w pokoju, róż.

"pieraładuma.

- A twój brat Chai m?

Wuj Oj zer?

Zamordowali wszystkich wszystkich.

Wzięli całą nasz naród i zgładzili z prawdziwiegerman-'ską skutecznością: gleichgeschaltet!

Czy widziałeś już pannę młodą?

Piękna jak obrazek, ale za bardzo wymalowana.

Wyobrażasz sobie, wnuczka reb Todrosa z Radzyna!

Jej dziadek nosił zawsze dwie jarmułki, jedną z przodu, a drugą z tyłu głowy.

- Widzisz tę młodą dziewczynę w żółtej sukience na parkiecie?

To siostra Riwy - ich ojciec to Mojsze, robił świece, pamiętasz?

Gdzie Riwa?

Tam gdzie skończyli pozostali: w Oświęcimiu.

O mały włos nie spotkało nas to samo!

Tak naprawdę, to umarliśmy wszyscy, jeśli można tak powiedzieć.

Zostaliśmy wytępieni, wymazani z życia.

Nawet ci, którzy przeżyli, noszą w sercach znamię śmierci.

Ale jesteście myna weselu, mamy powoddo radości.

- Lechaim, Szlojme-Dowid!

Chciałbym ci pogratulować.

Nie masz przypadkiem syna albo córki na wydaniu?

Nie?

Może to i lepiej.

Pocmieć dzieci, skoro ludziesą zwykłymi mordercami?

3

Nadszedł już czas ceremonii, ale wciąż czekali na jedną osobę.

Wydawali mi się jednak, że nikt nie wie, kto jest tym niecierpliwie oczekiwanym gościem: rabin, kantor czy może jeszcze ktoś inny?

Abraham Mechele, ojciec panny młodej, biegał w kołosały zachmurzony, dawał jakieś znaki ręką i szeptał coś gościom doucha.

Wyglądał dość dziwnie w wypożyczonym smokingu.

Teściowa z Terespolauzerała się z fotografem.

Muzycy anina chwilę nie przestawali grać.

Waliły bębny, warczały skrzypce basowe, saksofon grzmiał.

Tańce były coraz szybsze, coraz bardziej porywające i coraz więcej osób poruszało się w takt muzyki.

Młodzież tupała z taką siłą, że parkiet o mało co się nie zapadł.

Mali chłopcy dokazywali jakkoźleta, dziewczynki szalały jak opętane.

Niektórzy spośród gości byli już pijani.

Przechwalali

165.

się, ryczeli ze śmiechu, całowali obce kobiety.

Zrobił się taki zamęt, że Solomon Margolin nie wiedział już, co i kto do niego mówi, po prostu przystąpił do wszystkiego.

Ci, którzy się z nim przyjaźnili, ciągnęli go teraz w różne strony i nie odstępowali ani na chwilę, przedstawiając coraz to nowym ludziom z Sęcimina lub z Terespoli.

Jakaś czcigodna matrona, z nosem upstrzonym brodawkami, wskazała na niego palcem, otarła oczy i zawołała:

- Szlojmele!

Solomon Margolin zapytał, kim jest ta kobieta, i ktoś mu odpowiedział.

Imiona ginęły w tym zgiełku.

Bez przerwy słyszał te słowa: zamordowani, rozstrzelani, spaleni.

Jakiś mężczyzna z Terespoli chciał go wywołać na stronę, ale Sęciminianie natychmiast go przekrzykując, wyzywając od intruzów, którzy niesą tu nikomu potrzebni.

Przybyła w końcu długo oczekiwana osoba, furman i woźnica z Sęcimina, który w Nowym Jorku został milionerem.

Jego żona i dzieci zginęły, ale miał już nową żonę.

Kobieta obwieszona brylantami paradowała w długiej sukni z wycięciem na plecach, ukazując swobodnie swoje krągłe ciało.

Miała ochrypły głos.

- Z jakich stron pochodzi ta kobieta?

Kto to jest?

- Napewno nie jest świętoszką.

Jej pierwszym mężem był oszust, który zdobył wielką fortunę, a potem zmarł.

- Naco?

- Na raka.

- Czego?

- Żołądka.

Najpierw jest tak, że nie ma co jeść, później nie maczmy zjeść.

Mężczyzna zawsze pracuje na drugiego męża swej żony.

- A w końcu, czymże jest życie?

Tańcem na grobie.

- W porządku, ale dopóki nie skończysz gry, musisz przestrzegać jej zasad.

\- Doktorze Margolin, dlaczego pan nie tańczy?

Jesteśmy tutaj sami swoi.

Z tej samej gliny.

Tam nie był pan lekarzem, tylko Szlojme-Dowidem, synem nauczyciela Talmudu.

Zanim się pan spostrzeże, będziemy leżeć w sąsiednich mogiłach.

Margolin nie przypominał sobie, aby coś wypił, a mimo to czuł się wstawiony.

Mglistasala wirowała niczym karuzela, posadzką kołysała mu się pod stopami.

Stał w kącie i obserwował tańczące pary.

Tak bardzo różniły się od siebie.

Stwórca sprowadził natę parkietu i tyle różnych kombinacji istnienia.

Każda z twarzą miała swoją własną historię.

Ludzie tańczyli ze sobą, ale każdy z nich miał swoją własną

166

filozofię, odmienne podejście do życia.

Jakiś mężczyzna złapał Margolina i wciągnął go na chwilę w szaleńczy taniec.

Kiedysie w końcu uwolnił, stanął z boku i zaczął się zastanawiać, kim jest kobieta, która spogląda na niego tak szczególny, znajomy mu sposób.

Znał ją!

Przywołała go skinieniem ręki.

Był tak zmieszany, że nie ruszył się miejsca.

Niewyglądała ani staro, ani młodo.

Skąd mógł ją znać - tę pociągłą twarz, ciemne oczy, dziewczęcy uśmiech?

Miała staromodną fryzurę, warkocze upięte na głowie w koronę.

Zdobiał ją sęcimiński wdzięk - coś, o czym on, Margolin, już dawno zapomniał.

I te oczy, w tych oczach był zakochany przez całe swoje życie.

Uśmiechnął się doniej niepewnie, a kobieta oddała mu uśmiech.

Miała dołeczki w policzkach.

Ona również wydawała się być zaskoczona.

Margolin podszedł do niej, choć zdawał sobie sprawę, że jego twarz oblewa się rumieńcem, jakby był chłopcem.

- Znam cię - ale ty nie jesteś z Sęcimina?

- Owszem, jestem.

Gdzieś już słyszał ten głos, dawno temu.

Mało tego, kochał kiedyś ten głos.

- Z Sęcimina - więc kim jesteś?

Jejusta drżały.

- Tak szybko mnie zapomniałeś?

- Wyjechałem z Sęcimina wiele lat temu.

- Odwiedzałem mojego ojca.

- Kto był twoim ojcem?

- Zegarmistrz Melek.

Dr Margolin zadrżał.

- Albo oszalałem, albo mam jakieś przywidzenia.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ Rejzł nie żyje.

- Ja jestem Rejzł.

- Ty jesteś Rejzł?

Tutaj?

O mój Boże, jeśli to prawda, to nie marzeczy niemożliwych!

Kiedy przyjechałaś do Nowego Jorku?

- Jakiś czas temu.

- Skąd?

- Stamtąd.

- Ale wszyscy mówili mi, że zginęła cała twoja rodzina.

- Mój ojciec, moja matka, mój brat Herszele.

- Miałaś męża, nieprawdaż?

- Tak.

167.



- Jeśli to prawda, to wszystko jest możliwe - powtórzył dr Margolin, wciąż pod wrażeniem tego niewiarygodnego spotkania.

Ktoś gopewnie celowooszukiwał.

Ale dlaczego?

Zdawał sobie sprawę, że gdzieśkwibłąd, ale nie potrafił go wskazać.

- Dlaczego nie dałaś mi znać?

W końcu.

Zamilkł.

Ona również nie odzywała się przez jakiś czas.

- Straciłam wszystko.

Pozostało mi jednak trochę dumy.

- Chodźmy gdzieś, gdzie niema tyle hałasu- gdziekolwiek.

Tonajszczęśliwszy dzień mojego życia!

- Przecież jest noc.

-A zatem to najszczęśliwsza noc!

Niemal takszczęśliwa, jakgdyby nadszedł Mesjasz, jak gdyby umarli powrócili do życia!

- Dokądchcesz pójść?

No dobrze, chodźmy.

Margolin ujął ją pod ramię i raz jeszczepreszył go ten zapomnianyod dawna dreszcz młodzieńczego pożądania.

Odciągnął jąodinnych gości,bojąc się, że ją zgubi w tłumie albo że ktoś naruszy jegoszczęście.

W jednej chwili odczuł wszystko,co możliwe:nieśmiałość,podniecenie, radość.

Pragnął zabrać ją stamtąd, ukryć się gdzieś tyłkoz nią.

Opuścili hali i udali się do kaplicy, gdzie miał się odbyć ślub.

Drzwi były otwarte.

Wewnątrz kapliczki, na podeście, stał baldachim dla nowożeńców.

Czekała na nich butelka wina i srebrny kielich.

Kaplicabyła pusta i tylko drżące światło świec rzucało cienie.

Muzyka,której dźwięki dochodziłyz dołu, brzmiała delikatnie, niczymodległeecho.

Zanim przekroczyli próg kaplicy, zawahali się.

Margolin wskazałaślubny baldachim.

- My również mogliśmy tamstanać.

-Mogliśmy.

- Opowiedz mi o sobie.

Gdzie mieszkasz, co robisz?

- Niełatwo to powiedzieć.

-Jesteś samotna czy masz kogoś?

- Nie, nie mam nikogo.

-I nigdy nie miałaś zamiaru odezwać się domnie?

-zapytał.

Nieodpowiedziała.

Kiedy tak na nią patrzył, czuł, jakjegomiłość wzbiera ogromnąsiłą.

Drżał nasamą myśl, że wkrótce mieliby się rozstać.

Był pełen nadziei i młodzieńczego oczekiwania.

Chciał jąwziąć w ramionai pocałować, ale w każdej chwili ktoś mógł nadejść.

Stał obok niej,zawstydzony, że poślubił inną kobietę, żenie sprawdził, czy wieści

168

o jejśmierci są zgodne z rzeczywistością.

"Jak mogłem stłumić w sobie tę miłość?

Jak mogłem zaakceptować świat bez niej?

I co teraz będzie z Gretl?

- oddam jej wszystko, co do grosza".

Obejrzał się naschody, aby sprawdzić, czy nienadchodzą goście.

Nagle przez głowę przemknęła mu myśl, że zgodnie z prawem żydowskim nie był

żonaty, ponieważ wziął Gretl tylko ślub cywilny.

Spojrzał na Rejzla.

- Według prawa żydowskiego jestem kawalerem.

- Naprawdę?

'- Według prawa żydowskiego, mógłbym stanąć tu z tobą i cię poślubić.

Zdawało się, że zaczyna rozumieć jego intencje.

- Rzeczywiście.

- Według prawa żydowskiego, nie potrzebuję nawet obrączki.

Można wziąć ślub z grosikiem.

- A czy masz grosik?

Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni, ale nie znalazł tam swego portfela.

Zaczął przeszukiwać pozostałe kieszenie.

"Czyżby mnie okradzione?"

" - zastanawiał się.

"Ale jak?"

Cały czas siedziałem w taksówce.

Czy to możliwe, żeby ktoś mnie okradł tu, na weselu?"

" Był bardziej zdziwiony niż wstrząśnięty.

Odezwał się niepewnym głosem:

- To dziwne, ale nie mam przy sobie pieniędzy.

- Damy sobie radę bez nich.

- Ale jak jasię dostanę do domu?"

- Dlaczego chcesz wracać do domu?"

- odpowiedziałam pytaniem.

Uśmiechała się tym swoim szczególnym uśmiechem, który krył w sobie tyle tajemnic.

Ujął ją zaręką i wpatrywał się w nią.

Nagle dotarło do niego, że to niemożliwa była jego Rejzla.

Była zbyt młoda.

Prawdopodobnie była to jej córka, która zabawiała się jego kosztem.

"Na Boga, nie wiem, co robić!"

" - pomyślał.

Był zupełnie dezorientowany, kiedy usiłował zgadnąć, ileż ona może mieć lat.

Nie potrafił rozszyfrować wieku z rysów jej twarzy.

Miała głębokie, ciemne, melancholijne oczy.

Wyglądała na zakłopotaną, jak gdyby również zaczęła podejrzewać jakieś nieporozumienie.

"To wszystko jest jedną wielką pomyłką" - powiedział Margolin do siebie.

Ale w czym tak naprawdę tkwił błąd?"

I co się stało z portfelem?"

Czyżby zostawił go w taksówce po zapłaceniu kierowcy?"

Starł się sobie przypomnieć, ile miał w nim gotówki, ale nie był w stanie.

"Chyba za dużo wypłem.

Ci ludziemnie upili - upili na śmierć!"

" Stał w milczeniu przez dłuższą chwilę, pogrążony w jakimś dziwnym stanie, głębszym od narkotycznego



transu.

Nagle przypomniał sobie wypadek, którego był świadkiem na Eastern Parkway.

Ogarnęło go pełnego podejrzenie: A może był kimś więcej niż tylko świadkiem?

A może to właśnie on był ofiarą tego wypadku?

Tamten człowiek nanosząc wydawał mu się dziwnie znajomy.

Dr Margolin zaczął się badać, jakby był jednym z tych pacjentów.

Brak było choćby śladu tętna czy oddechu.

Czuł się tak, jakby wypuszczono z niego powietrze, jakby pozbawiono go fizycznego wymiaru.

Ocieężałość, skurcze w mięśniach kończyn, łamanie w kościach - wszystko ustąpiło.

"Nie może być, nie może być" - szeptał.

Czy można umrzeć, nie wiedząc o tym?

I co teraz zrobi Gretl?

Nagle odezwał się:

- Ty nie jesteś tą samą Rej zł.

- Nie?

Więc kim jestem?

- Rej zł została rozstrzelana.

- Rozstrzelana?

Kto ci to powiedział?

Wyglądała na przerażoną i zakłopotaną.

W milczeniu spuścił głowę, jak ktoś wstrząśnięty po otrzymaniu złych wieści.

Dr Margolin wciąż się zastanawiał.

Najwidoczniej Rej zł nie zdawała sobie sprawy ze swego stanu.

Słyszał już gdzieś o czymś takim - jak nazywała się takistan?

Unoszeniem się w Krainie Zmierzchu.

Ciało Astralne wędrujące podświadomości, oddzielone od ciała, które nigdy nie będzie mogło dotrzeć do celu, żyjąc złudzeniami i wspomnieniami przeszłości.

Ale czy istniało ziarno prawdy w tego rodzaju opowieściach?

Nie, jeśli chodzi o niego, było to tylko pobożne życzenie.

Ponadto ten rodzaj ocalenia byłby mniej niż zapomnieniem.

"Najprawdopodobniej znajduję się w stanie pijackiego otępienia" - doszedł do wniosku dr Margolin.

"Wszystko to jest pewnie jakąś halucynacją, która, być może, jest efektem zatrucia pokarmowego.

"

Podniósł wzrok, a ona wciąż stała przy nim.

Nachylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Co to za różnica?

Najważniejsze, że jesteśmy razem.

- Czekałam na tę chwilę przez te wszystkie lata.

- Gdzie się podziewałaś?

Nie odpowiedziała, a onnie zapytał ponownie.

Rozejrzył się dookoła.

Pusta sala napelniła się gośćmi, wszystkie miejsca były zajęte.

Zapadła uroczysta cisza.

Grała delikatna muzyka.

Kantor zaintonował błogosławieństwa.

Abraham Mechele dostojnie, krok po kroku, prowadził swą córkę ku baldachimowi.

Na nikimnie polegam

Odkąd zaczęto mówić o tym, że rabin Jonatan Danziger z Jampolama zostać rabinem w Jaworowie, nie miał on chwili spokoju.

Jego wrogowie z Jampola zazdrościli mu przeprowadzki do większego miasta, choć drugiej strony nie mogli się doczekać dnia jego wyjazdu, ponieważ mieli już upatrzonego kandydata na jego miejsce.

Starszyzna z Jampola chciała, aby rabin wyjechał z miasteczka, ale żeby nie dostał nominacji w Jaworowie.

Usiłowali mu zaszkodzić, rozpuszczając o nim różne plotki.

Chcieli go potraktować w taki sam sposób, w jaki postąpili z poprzednim rabinem: miał opuścić miasto w niesławie, nawozić zaprzężonym w woły.

Ale dlaczego?

Cóż takiego uczynił?

Nikogo nie obraził i dowszystkich przyjaźnie się odnosił.

Ale każdy miał mu coś za złe.

Ktoś twierdził, że rabin źle interpretuje Talmud;

ktoś inny znowu miał zięcia, który chciał zająć to stanowisko; jeszcze ktoś inny sądził, że rabin Jonatan powinien iść w ślady przywódców chasydów.

Właściciele jatek narzekali, że rabin uważał, iż skupują zbyt wiele niekoszernych krów; rzeźnik rytualny skarżył się, że sprawdzał jego nóż dwa razy w tygodniu.

Łaziebnicy twierdził, że pewnego razu, w przeddzień któregoś ze świąt, rabin uznał łaźnię za nieczystą, przez co później kobiety nie mogły spółkować ze swoimi mężami.

Hołota z ulicy Mostowej uważała, że rabin spędzał zbyt dużo czasu nad książkami i nie interesował się losem zwykłych ludzi.

Prostacy w szynkach naśmiewali się ze sposobu, w jaki odmawiał "Słuchaj, Izraelu" i spluwał nasamo wspomnienie o pogańskich bożkach.

Wykształceni udowadniali, że rabin robił wiele błędów gramatycznych w hebrajskim.

Damy drwiły z żony rabina, ponieważ mówiła 171.

z wielkopolskim akcentem i piła kawę z cykorii bez cukru.

Nie pozostawiali na nich suchej nitki.

Niepodobało im się nawetto, że żonarabina piekła chleb co czwartek, a nie raz na trzy tygodnie.

Krzywopatrzylina córkę rabina,wdowę Jentł, która, jak mówiono, spędzałażycie robiąc na drutach i haftując.

Przed każdą Paschą wybuchałakłótniaz powodu macy paschalnej i wtedy wrogowierabina wybijałimu szyby w oknach.

Po Sukkot, kiedy bardzo wiele dzieciorowało,pobożne matronyoskarżały rabina o to, że nie oczyściłmiasteczka z grzechów, że pozwalał młodym kobietom pokazywać się z

odsłoniętągłową i że dlatego właśnie Anioł Śmierci karał swym mieczem niewinne dzieci.

Tak czy inaczej,wszyscy narzekali i wszystkim się cośnie podobało.

Niedośćtego, rabin otrzymywał mizerną pensję- pięćguldenów tygodniowo - i żyłw nędzy.

Jakby nie miał aż nadto przykrości od swych wrogów, jego przyjaciele również zachowywali się jak wrogowie.

Donosiłimu o każdejkrążcej o nim plotce.

Rabin powtarzał im, że to grzech, i cytowałfragment Talmudu mówiącyo tym, że plotka szkodziwszystkim trzemstronom: temu,któją roznosi, temu, kto jejsłucha, i temu,

któregodotyczy.

Wzbudza złość, nienawiść,bezczęści Imię Boże.

Rabin błagałswych zwolenników, aby nie zawracali mu głowy tymi oszczerstwami,ale donoszono mu o każdym słowie wypowiedzianym przez jegoprzeciwników.

Jeżeli rabin karmił posłańca przynoszącego złe wieści, toczłowiek ów natychmiast przystawał doobozu jego wrogów.

Rabinjuż od dawna nie mógł się modlić i studiować w spokoju.

BłagałBoga:"Jak długomam znosić tę Gehennę?

Nawet skazańcy nie cierpią dłużej niż dwanaście miesięcy.

"

Teraz,kiedy rabin Jonatan miał wkrótceobjąć swą funkcję w Jaworowie, stwierdził, że życie w nowym miejscunie będzie się różniłoprawie niczym od życia w Jampolu.

W Jaworowie też już miałprzeciwników.

Tam równieżmieszkałpewien bogaty człowiek,którego zięcz pożądaniem spoglądał naposadę rabina.

Ponadto, choć jaworowskirabin utrzymywał się ze sprzedaży świec i drożdży, kilku kupców, pomimo że zagrożono im klątwą, handlowało wswych sklepach tymizakazanymi artykułami.

Rabin skończyłdopiero pięćdziesiąt lat, ale miałjuż siwe włosy.

Był wysokim, przygarbionym mężczyzną.

Jego broda,niegdyś kolorusłomy, była terazbiała i rzadka jak u starca.

Miałkrzaczaste brwi,a pod jego oczami rysowały się omszałe, brązowo-sine worki.

Cierpiałna wszelkie możliwe dolegliwości.

Kaszlał całą zimę icałe lato.

Jego

172

ciało wyglądało jak skóra powleczona kośćmi - był tak lekki,że kiedyszedłna wietrze, połychałataniemal unosiły go w górę.

Jegożonarozpaczała, że jada zbyt mało, pije zbytmałoi sypia również zbytmało.

Nękańy koszmarami, zrywał się zesnu w środku nocy.

Śniłymu się prześladowania i pogromy i z tego powodu bardzoczęsto pościł.

Rabin wierzył, że była to kara za jegogrzechy.

Czasami kierował przykre słowa do swych dręczycieli; kwestionował wyroki Boga i poddawał w wątpliwość Jego miłosierdzie.

Zdarzało się, że kiedy nakładał szal modlitewny i filakterie, przychodziło mu na myśl pytanie:

A jeśli Stwórca w ogóle nie istnieje?

Po takim bluźnierstwie rabin powstrzymywał się od spożywania pokarmu przez cały dzień, aż do ukazania się gwiazd na niebie.

- Biada mi, dokąd mogę iść?

- Wzdychał rabin.

- Jestem zgubiony.

Matka z córką przesiadywały w kuchni milcząc.

Zipora, żona rabina, pochodziła z zamożnej rodziny.

W młodości była piękna, ale latami ją niszczyły jej urodę.

W swym staromodnym i niegustownym czepku oraz sukni, która pamiętała jeszcze czasy króla Sobieskiego, zdawała się być zgarbiona i wyczerpana; pokryta zmarszczkami twarz przypominała przejrzałą śliwkę.

Jej dłonie stały się duże i żylaste, niczym u mężczyzny.

W tej całej nędzy jedynym pocieszeniem dla Zipory była praca.

Prała, rąbała drzewo, nosiła wodę ze studni, szorowała podłogi.

Mieszkańcy Jampola żartowali, że tak długo czyściła naczyń, aż dziurawiła je na wylot.

Nieustannie cerowała obrusyi prześcieradła, tak że nie był w nich już ślad pierwotnych nici.

Naprawiała też i kapcie rabina.

Z sześciorga dzieci, które urodziła, tylko Jentl pozostała przy życiu.

Jentl była podobna do ojca: wysoka, miała żółtawe włosy, jasną cerę, piegi i zapadniętą klatkę piersiową.

Była równie pracowita jak Zipora, ale matka nie pozwalała jej się zajmować czymkolwiek w domu.

Mąż Jentl, Ozer, student jesziwy, zmarł na suchoty.

Jentl zajmowała się więc szyciem, dzierganiem i czytaniem książek, które pożyczala od domokrajców.

Z początku otrzymywała wiele ofert małżeńskich, ale udało jej się zniechęcić swatów.

Nigdy nie zapomniała o swoim mężu.

Kiedy tylko ktoś szukał dla niej partii, natychmiast dostawała boleści.

Mieszkańcy Jampola plotkowali, że złożyła przysięgę Ozerowi na łożu śmierci, iż nigdy już nikogo nie poślubi.

Nie miała w Jampolu ani jednej przyjaciółki.

Latem brała koszyk i sznurek i szła do lasu

na grzyby i jagody.

Uważano, że takie zachowanie nie przystoi córce rabina.

Przeprowadzka do Jaworowa zdawała się być zmianą na lepsze, ale żona rabina i Jentl bardziej się z tego powodu martwiły, niż radowały.

Ani matka, ani córka nie miały choćby jednej porządnej rzeczy, nie mówiąc o biżuterii.

Przez te wszystkie lata w Jampolu stali się tak biedni, że żona rabina skarżyła się mężowi, iż zapomniała, jak się rozmawia z ludźmi.

Modliła się w domu, unikała odprowadzania panien młodych do synagogi i uczestniczenia w ceremoniach obrzezania.

Ale Jaworów to było coś innego.

Tam kobiety stroiły się w modne suknie, kosztowne futra, jedwabne peruki i buty na wysokich obcasach, z wąskimi noskami.

Młode mężatki chodziły do synagogi w kapeluszach z piórami.

Każda miała złoty łańcuszek albo broszkę.

Jak można było przenosić się do takiego miasta w łachmanach, z połamanymi meblami i pocerowaną pościelą?

Jentl po prostu powiedziała, że się nie przeniesie.

Cóż miałyby robić w Jaworowie?

Nie była ani panną, ani mężatką, a w Jampolu miała przynajmniej mogiłę i nagrobek.

Rabin Jonatan słuchał kręcąc głową.

Przysłano mu kontrakt z Jaworowa, ale jak do tej pory nie otrzymał jeszcze zaliczki.

Czyżby panował tam taki zwyczaj, czy też traktowanego w ten sposób, sądząc, że jest naiwny?

Wstydział się upominać o pieniądze.

Czerpanie zysków z Tory było wbrew jego naturze.

Rabin przemierzał swój gabinet tam z powrotem: "Ojcze, któryś jest w niebie, ocal mnie.

Wszedłem na głębokie wody i zalewają mnie fale".

2

Rabin wolał modlić się w synagodze niż w domu nauki, ponieważ wśród biednych Żydów nie miał tylu wrogów.

Modlił się wschodząc słońca z pierwszym quorum.

Było już po Zielonych Świątkach.

Gwiazda poranna weszła o trzeciej trzydzięci, a o czwartej już świeciło słońce.

Rabin uwielbiał spokój poranka, kiedy większość mieszkańców miasteczka jeszcze spała za zamkniętymi okiennicami.

Nigdy mu się nie znudziło podziwianie wschodu słońca: purpurowego, złotego, skapanego w wodach Wielkiego Morza.

Wschód słońca napawał go zawsze jedną i tą samą myślą: potomek człowieka nigdy się nie odradza, w przeciwieństwie do słońca, i dlatego pisana mu jest śmierć.

174

Człowiek ma wspomnienia, żale, wyrzuty sumienia.

Zbierają się one jak kurz, pokrywają go tak, że nie dociera doń światło i życie zsyłane z niebios.

Ale dzieło Boże bezustannie się odnawia.

Niebo pokrywa się chmurami, ale później się przejaśnia.

Słońce zachodzi, ale rodzi się ponownie każdego ranka.

Na księżycu i gwiazdach nie ma śladu przeszłości.

Bezustanne tworzenie natury jest najbardziej widoczne o świcie.

Opada rosa, śpiewają ptaki, rzeka odbija ognisty blask słońca, a trawa jest wilgotna i świeża.



Szczęśliwy jest człowiek, który może się odnowić wraz ze stworzeniem, "kiedy śpiewają razem wszystkie gwiazdy poranne".

Ten poranek niczym się nie różnił od innych.

Rabin wstał wcześniej, aby być pierwszym w synagodze.

Zapukał w dębowe drzwi, aby powiadomić modlące się wewnątrz duchy o swoim przybyciu.

Później wszedł do ciemniejszego.

Synagoga liczyła sobie już kilkaset lat, ale wciąż wyglądała niemalże tak, jak w dniu, w którym ją zbudowano.

Zewsząd emanowała wieczność: z szarych ścian, z wysokiego sklepienia, z mosiężnych kandelabrow, z miedzianej misy, z pulpitu z czterema filarami, z wysokiej rzeźbionej Arki z tablicami Przykazańi dwoma połączonymi lwami.

Wiązki światła słonecznego przedostawały się do środka przez witraże owalnych okien.

Choć duchy, które zazwyczaj modlą się tam aż do rana, wychodzą z synagogi wraz z pianem koguta, aby mogli modlić się żywi, pozostaje po nich nieruchoma cisza.

Rabin zaczął recytować modlitwę "Pan Wszechświata", przechadzając się tam i z powrotem.

Kilka razy powtórzył słowa:

"I kiedy wszystko dobiegnie końca, On jeden rządzić będzie".

Rabin wyobraził sobie zagładę ludzkiego, rozsypujące się domy, odejście wszystkiego, co złe, i światło Boga znów zalewające całą przestrzeń.

Skończą się zło i brud, przepadną grzeszne siły, a Jego mocność będzie rosła.

Zaniknie czas, namiętności, przypadek i nieustanne zmagania, gdyż wszystko to jest niczym innym, jak tylko złudzeniami oszustwa.

Jedyną prawdą jest dobro.

Rabin odmówił swej modlitwy, rozważając rzeczywiste znaczenie wypowiedzianych słów.

Stopniowo zaczęli nadchodzić wierni: pierwsze wstąpił ciężko pracujący człowiek, który wstawiał z pianem koguta - furman Lejbusz, handlarz ryb Chaim Jona, rymarz Awromi Szlojme Meir, który uprawiał sady pod Jampolem.

Przywitali rabina, a potem nałożyli filakterie i szale modlitewne.

Wtedy to rabin zauważył, że jego wrogami w miasteczku są albo bogacze, albo leniwi

próżniacy.

Biedni i ciężko pracujący, wszyscy ci, którzy uczciwie zarabiają na swój kawałek chleba, byli po jego stronie.

"Dlaczego wcześniej do mnie to niedocierało?

" - zdziwił się rabin.

"Dlaczego niezdawałem sobie tego sprawy?

" Poczul nagły przypływ miłości dotych Żydów, którzy nikogo nie okłamywali, którym obce były oszustwa i grabież, a którzy stosowali się do maksymy boskiej: "W pocieoblicza twego będziesz jadł chleb".

W skupieniu zawiązali rzemieniefilakterii wokół ramion, ucałowali frędzle szali modlitewnych i przyjęliciężkie brzemię Królestwa Niebios.

Na ich twarzach i brodach malował się poranny spokój.

Ich oczy świeciłyłagodnymblaskiemludziobarzonych jarzmem jeszczew dzieciństwie.

Był poniedziałek.

Powyznaniu grzechów, podczas gdy rabinodmawiał "Niech Będzie Błogosławione Imię Twoje", wyjętozwójz Arki.

Otwarcie Świętej Arki zawsze wzruszało.

Oto byłyprzednimnieskalane zwoje, Tora Mojżeszowa, oprawna wjedwab i ozdobiona łańcuchami, koronamii srebrnymiokuciami- wszystkie podobne, ale każdy zwój miał swe oddzielne przeznaczenie.

Niektóre zwojeczytało się w dni powszednie, inne wszabas, a jeszcze inne wyciąganotyłko w Sądny Dzień.

Było tamrównież kilkapodniszczonych ksiągPrawa zwyblakłymi literamina zbutwiałym pergaminie.

Kiedy rabinmyślał o tych świętych szczątkach, odczuwał bólw sercu.

Kołyszącsię szeptałpo aramejsku: "Ty jesteś Panem wszystkiego.

ja, sługaBoży, niech będzie pochwalony, chylę sięprzed Nim i przed wielkościąJego praw.

" Kiedy rabin doszedłdo słów"Na nikim nie polegam",zatrzymał się.

Słowa te utknęły mu w gardle.

Po razpierwszy w życiuuświadomił sobie, że jest kłamcą.

Niktbardziej odniego nie polegał na ludziach.

Całe miasteczko wydawałomu polecenia, był zależny od każdego mieszkańca.

Każdy mógł goskrzywdzić.

Dziś stałosię to w Jampolu, jutro zdarzy się w Jaworowie.

On, rabin, był niewolnikiemkażdego wpływowego członka gminy.

Żyjenadzieją, że otrzyma prezenty, że ktoś mu zrobi przysługę.

Zawsze musi szukać sprzymierzeńców.

Rabin zaczął rozmyślać o innychwiernych.

Żadenz nich nie potrzebował stronników.

Nikt inny niemusiał się martwić o to, ktojest za nim, a kto przeciw niemu.

Nikogonieobchodziłyopowieści plotkarzy.

"To po co kłamać?

" - pomyślałrabin.

"Kogo oszukuję?

Wszechmocnego?

" Rabin wzdrygnął się i zarumienifze wstydu.

Kolanasię pod nim ugięły.

Położono mu już zwójna pulpicie, ale nie zauważył tego.

Nagle coś wduszy rabina roześmiało się.

Uniósł dłoń, jakby składał przysięgę.

Ogarnęła go fala dawno

176

już zapomnianej radości i poczuł jakąś nieoczekiwaną siłę.

W jednej chwili wszystko stało się dla niego jasne.

Poprosili rabina, aby zaczął czytać i wszedł na mównicę.

Dotknął frędzli pergaminu, po czym przyłożył go do brwi i pocałował.

Zmówił na głos błogosławieństwo.

Potem słuchał odczytywanych fragmentów.

Był to rozdział "Poślij swych ludzi.

". Opowiadał on o szpiegach, wysłanych na poszukiwanie ziemi Kanaan, którzy wrócili przerażeni spotkaniem z potomkami Anaka.

"Tchórzostwo zniszczyło całe pokolenie synów pustyni" - pomyślał sobie rabin Jonatan.

"A skoro oni mieli nie bać się olbrzymów, to dlaczego jamiałbym drzeć przedkarłami?

Togorsze niż tchórzostwo, to nic innego jak pycha.

Boję się utracić swą pozycję rabin".

Modlący się mężczyźni wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

Zdawał się być odmieniony.

Emanował z niego jakaś tajemnicza moc.

Sądziło, że z powodu przeprowadzki do Jaworowa.

Po modlitwie mężczyźni zaczęli się rozchodzić.

Szlojme Meir wziął swój szal modlitewny, szykując się do odejścia.

Był niskim, mocno zbudowanym człowiekiem.

Miał złotą brodę, złote oczy i złote piegi.

Jego płócienna czapka, gabardynowy płaszcz i ciężkie buty również były pożółkłe od słońca.

Rabin skinął na niego.

- Szlojme Meir, proszę, poczekaj chwilę.

- Dobrze, rabinie.

- Jak twoje sady?

- spytał rabin.

- Czy zbiory są dobre?

- Dzięki Bogu.

Jeśli nie będzie wiatrów, to będą dobre.

- Czy masz ludzi do zbierania?

Szlojme Meir zastanowił się przez chwilę.

- Niełatwo onich, ale jakoś sobie radzimy.

- Dlaczego niełatwo?

- To ciężka praca.

Muszą stać na drabinie cały dzień, a śpią w stodole.

- Ile im płacisz?

- Niedużo.

- Starcza na życie?

- Utrzymuję ich.

- Szlojme Meir, zatrudnij mnie.

Będę zbierał dla ciebie owoce.

Żółte oczy Szlojme Meira rozblęskły śmiechem.

- Czemu nie?

- Ja nie żartuję.

Oczy Szlojme Meira posmutniały.

177.

- Nie wiem, rabinie, co masz na myśli.

- Nie jestem już rabinem.

- Jak to?

Dlaczego?

- Jeśli masz wolną chwilę, to ci opowiem.

Szlojme Meir słuchał opowieści rabina.

Quorum opuściło już synagogę i mężczyźni pozostali sami.

Stali obok mównicy.

Mimo że rabin mówił cicho, każde jego słowo odbijało się echem, jakby powtarzał je ktoś niewidzialny.

- Co ty na to, Szlojme Meir?

- spytał go rabin.

Szlojme Meir miał taką minę, jakby połknął coś kwaśnego.

Kiwał głową ze zdumieniem.

- Cóż mogę powiedzieć?

Boję się, że spadnie na mnie klątwa.

- Nie wolno ci się bać nikogo.

"Nie będziesz się bał twarzy człowieka".

Oto cała esencja żydostwa.

- A co nato twoja żona?

- Będzie mi pomagać w pracy.

- To nie dla takich ludzi jak ty.

- Ci, którzy oczekują Pana, odnowią swe siły.

- Hm, no tak.

- A więc zgadzasz się?

- Jeśli tak sobie życzysz, rabinie.

- Nie nazywaj mnie już nigdy rabinem.

Od tej chwili jestem twoim pracownikiem.

A będę uczciwie pracował.

- O to się nie martwię.

- Kiedy wyruszasz do sądów?

- Za dwie godziny.

- Zajedź pod mój dom.

Będę czekał.

- Dobrze, rabinie.

Szlojme Meir postął jeszcze chwilę, a potem wyszedł.

Przy drzwiach do sieni obejrzał się za siebie.

Rabin stał samotnie, ze złożonymi rękoma, a jego wzrok wędrował po ścianach.

Szykował się do opuszczenia synagogi, w której modlił się przez tak wiele lat.

Wszystko byłoby takie bliskie: dwanaście znaków zodiaku, siedem gwiazd, postaci lwa, jelenia, leoparda i orła, wymalowane czerwonymi literami Imię Boże, którego nie wolno wymawiać.

Pozłacane lwy na szczycie Arki spoglądały na rabina bursztynowymi oczami, a ich wygięte żory podtrzymywały tablice Dziesięcioma Przykazaniami.

Rabinowi zdawało się, że te święte zwierzęta pytają: "Dlaczego tak długo

178

czekałeś?

Czyż nie widziałeś od początku, "

, .no wcześniej Bogu i człowiekowi?

" Ich oStę e ?

T"" żyć jedz pobłażaniem.

Rabin poskubał się w b^^t- zdaw y sję śmiaćno.

Przednami jestjeszcze wieczność?

" %ał g yT J .

zapodoprogu.

W synagodze nie ma mezu.

y %c 1'Z 1!

" f05^.

swym palcem wskazującym, a potem ustamF nął framugl

domoIć^T1"/WJaworowie wkrótce !

oze^ się przedziwna wiadomość.

Rabin Jonatan, jego żona i córka Jentłzajęli się zbieraniemowoców w sadach Szlojme Meira.

Jl ę zbleranlem

179.

Kunegunda

Zapadał zmierzch, a wraz z nim nadchodził wieczorny wietrzyk nad bagien otaczających wioskę.

Niebo zaciągnęło się chmurami.

Wiatr poruszał ostatnimi liśćmi na jedynej, rdzawej gałęzi osamotnionej lipy.

Z bezokiennej rudery przypominającej muchomora, pokrytej omszałą strzechą, z której zwisały korzonki roślin, wytoczyła się stara Kunegunda.

Dziura w jednej ze ścian chaty służyła jej zakomin, a drzwi wejściowe były tak pochylone, że wyglądały niczym wyrwa w drzewie, w które uderzył piorun.

Niska i masywna Kunegunda miała pysk i oczy buldoga oraz szeroki, kościsty podbródek.

Z brodawek pokrywających jej policzki wyrastały pojedyncze, białe włoski.

To, co pozostało jej z włosów na głowie, byłotak poskręcane, że wyglądała, jakby miała rogi.

Pozbawione paznokci palce stóp pełne były odcisków bolesnych guzów.

Podpierając się na kij, z motyką w ręce, Kunegunda rozejrzała się wokół siebie, zaczęła węszyć wiatru skrzywiła się.

- To z bagien - wymruczała.

- Wszystkie zarazy i całe zło biorą się stamtąd.

Wstrętna pogoda.

Przeklęta ziemia.

Tego roku zbiory się nie udadzą.

Wszystko rozwieje wiatr.

Chłopom zostaną jedynie plewy, a ich bękarty spuchną z głodu.

Śmierć zapuka do niejednych drzwi.

Wokół chaty Kunegundy, samotnie stojącej na skraju lasu, rosły chwasty, jeżyny, włośchatki i cieciwki, pokryte łuskami niczym parchami, trujące jagody i cierniste krzaki, które zdawały się wyciągać swe kły na widok człowieka.

Matki zabraniały swym dzieciom zbliżać się do chaty Kunegundy, gdyż roilo się tam od węży.

Nawet kozy, jak mawiali mieszkańcy wioski, omijały ją z daleka.

Słowiki wily swe gniazda

180

na dachach innych chałup, ale nikt nigdy nie słyszał śpiewu ptaków z chaty Kunegundy.

Zdawało się, że Kunegunda czeka na burzę.

Jej zabiopodobna gęba wykrakała:

- To zaraza, zaraza.

Stamtąd zawsze przychodzi choroba.

Kogoś dosięgnie.

To śmiercionośne powietrze.

Starucha wyszła z motyką nie po to, aby wykopać ziemniaki, tylko żeby wygrzebać z ziemi korzonki dzikich roślin i zioła potrzebne jej do czarów.

Miała w swej norze całą aptekę: łajno diabła, jad węża, robaczywą kapustę i sznur, na którym został powieszony człowiek, mięsożmii włosy elfa, pijawki i amulety, wosk i kadzidło.

Kunegunda potrzebowała tego wszystkiego nie tylko dla tych, którzy zwracali się do niej o pomoc, ale również dla swego własnego bezpieczeństwa.

Diabelskie moce nie dawały jej spokoju od chwili, gdy postawiła swój pierwszy krok.

Jej matka, oby zgniła w piekle, wieczniej ją biła i szczypała.

Ojciec tłukł ją, kiedy był pijany.

Brat Józek dokuczał jej, strasząc opowieściami o Dziadzie i Babuku.

Bajki jej siostry Tekli również napawały ją strachem.

Dlaczego tak ją męczyli?

Kiedy inne dzieci bawiły się na łące, Kunegunda, choć miała zaledwieszę lat, musiała pasać gęsi.

Pewnego razu spadł tak silny grad o ziarnach wielkości kurzego jaja, że o mało nie potrzaskał jej czaszki i uśmiercił gąsiora- zaco Kunegunda dostałaby.

Nachodziły ją wszelkierodzaje zwierząt- wilki, lisy, kuny, skunksy, dzikie psyi jakieś garbate nieziemskiestwory z torbami, kłapiącymi uszami, podwiniętymi ogonami i wystającymi kłami.

Czaiły sięna nią wśród drzew i krzaków, warczały, śledziły ją i były bardziej okropne niż straszdyła, o których opowiadała jej Tekla.

Z nieba zszedł do niej kominiarz.

Usiłował przywiązać ją do swej szczotki i unieść ze sobą w przestworza.

Na pastwisku, gdzie pilnowała gęsi, ukazał jej się elf w kobiecej postaci, w czarnej chuście, z torbą naplecach i koszem opartym na biodrze, który latał nad polem.

Kunegunda rzuciła w niego kamieniem, ale kobieta-elf tak mocno uderzyła ją w piersi, że aż straciła przytomność.

Nocą do jej łóżka przychodziły diabełki, szczydziły z niej, moczyły jej prześcieradło, przezywały ją i kłując i podgryzając, plątały jej włosy.

Kiedy odchodziły, jedynymi śladami ich wizyt były mysie odchody i robactwo.

Gdyby Kunegunda nie zajęła się czarami, pewnie by ją już wykończono.

Szybko zauważyła, że radowała ją wszystko to, co raniło innych.

Kiedy ludzie i zwierzęta cierpieli, ona odpoczywała w spokoju ducha.

Zaczęła ściągać na wieś choroby, kłótnie i ubóstwo.

Chociaż

zazwyczaj dziewczęta przeraźliwie boją się trupów, Kunegunda lubiła przyglądać się zwłokom, białym jak kreda lub żółtym jak glina, leżącym nieruchomo w otoczeniu świec. Jęki płaczek dodawały jej Otuchy.

Uwielbiała patrzeć, jak chłopci ubijają wieprze, kroją nożami parzą je żywcem we wrzątku. Kunegunda też lubiła torturować zwierzątka.

Kiedyś ukreśliła łeb ptakowi i krajała dżdżownicę na kawałki, aby patrzeć, jak każdy z nich się wije, kurczy i rozkurcza.

Nabijając zabę na kolec, obserwowała jej śmiertelne drgawki.

Wkrótce zdała sobie sprawę z tego, że jej klątwy odnoszą skutek.

Przekląła na śmierć kobietę, która ją kiedyś oczerniła.

Kiedy jeden chłopiec rzucił jej szyszką w oczy, życzyła mu, aby oślepl.

Kilka tygodni później, gdy rąbał drzewo, wpadła mu do oka drzazga i rzeczywiście stracił wzrok.

Zaczęła więc stosować zaklęcia i czary.

Niedaleko bagien żyła w swojej norze sparaliżowana kobieta, która nieustannie paplała o czarownikach, czarnych zwierciadłach, jednookich olbrzymach, karłach, które mieszkają pod muchomorami, tańczą przy świetle księżyca i zaciągają dziewczęta do jaskiń.

Kobieta ta poradziła Kunegundzie, jak ma przepędzać diabły, bronić się przed podłymi mężczyznami, zazdrosnymi kobietami i fałszywymi przyjaciółmi.

Nauczyła ją, jak tłumaczyć sny wywoływać duchy zmarłych.

Rodzice Kunegundy marli, kiedy była jeszcze młoda.

Jej brat wziął sobie za żonę dziewczynę z sąsiedniej wsi.

Jej siostra Tekla poślubiła wdowca, ale wkrótce sama zmarła przy porodzie.

Wszystkie dziewczęta w wieku Kunegundy były już zaręczone, ale ona widziała w mężczyznach jedynie sprawców poronień, bólów porodowych i krwotoków.

Zostawiono jej małą chatę i trzy czwarte akra ziemi, ale nie chciała jej uprawiać.

Skoro wszyscy oszukiwali - młynarz, kupiec, bożowy, ksiądz i członek starszyny - to po co harować?

Zadawała się byle czym: rzodkiewką, surowym ziemniakiem, głąbem kapusty.

Chętnie jadała kocie i psie mięso, chociaż chłopcy uważali je za wstrętne.

Odkryła, że głód można zaspokoić zdechłą myszą znalezioną w polu.

Człowiek żyje, nawet jeśli pości przez wieki.

Kunegunda stroniła od kościoła, nawet w Wielkanoc i Boże Narodzenie; nie miała ochoty wysłuchiwać obelg kobiet i dokuczliwych uwag mężczyzn, nie miała również pieniędzy na buty, ubranie czy też na datki dla ubogich.

Nie chcąc się narażać na szyderstwa innych, Kunegunda na całe dni zamykała się w swej chacie, niewychodząc nawet po to, by załatwić swe potrzeby.

Nie zapraszano jej na święto zbiorów, kiedy

182

szat kowano kapustę przygotowywano kiszone ogórki, ani na weselach bierzmowania czy też czuwaniu przy zwłokach.

Cała wioska sprzy.

"mierzyła się przeciwko tej jednej jedynej sierocie, jakby była wyklęta.

Siedząc w ciemności, płacząco wymawiała swe zaklęcia.

Kiedy słyszała jakiś śmiech na zewnątrz, splotowała.

Okrzyki radości sprawiały jej ból.

Rozzłoszczona ryczeniem krów powracających z pastwiska, wymyśliła czary, które odbierały im mleko.

Tak, Kunegunda nie pozostała dłużna nikomu.



Wszyscy jej wrogowie umarli.

Nauczyła się rzucać uroki, okładać klątwą spichlerze i stajnie, przyciągać myszy do ziarna, zamykać łono rodzącej kobiety, lepić czyjaś podobiznę z gliny nakłuwać ją szpilkami, sprawiając ból rzeczywistej osobie.

Potrafiła sprawić, że kurczętom wyrastały na dziobach pypcie.

Ky, negunda już dawno przestała prosić Boga o ochronę przed wrogami - On był obojętny na modlitwy sieroty.

Diabeł natomiast miał swoje kaprysy, ale można się było z nim dogadać.

Prawie wszyscy rówieśnicy Kunegundy już umarli.

Była bardzo stara.

Nikt już się z niej nawet nie śmiał.

Ludzie obawiali się jej gniewu i nazywali ją Czarownicą.

Mówili, że każdej sobotniej nocy odlatuje na Czarną Mszę, gdzie się spotyka z innymi czarownicami.

Ludzie dotknięci nieszczęściem schodzili się do niej całej wsi - kobiety z guzaminą macicy, matka potworków, dziewczęta cierpiące na czkawkę, porzucone żony.

Ale cóż były warte te bochny chleba, które jej znosiły, te torby kaszy gryczanej, osetki masła, pieniądze?

Ponieważ prawie nic nie jadła, jej żołądek się skurczył.

Zęby jej wypadły ledwo mogła już chodzić z powodu żylaków.

Była półgłucha i po tylu latach spędzonych w samotności, kiedy mogła jedynie gderać do samej siebie, nie pamiętała prawie ludzkiej mowy.

Wysłała już do grobu prawie wszystkich swoich wrogów i wydawało się, że niema żadnych wrogów w nowym pokoleniu, a jednak z przyzwyczajenia powtarzała pod nosem swe klątwy: śmierć i kłopoty.

pożar i zaraza.

syfilis na ich jęczorach.

pęcherze w ich gardłach.

W środku lata rzadko zrywały się burze, ale już zimą Kunegunda przepowiedziała, że lato będzie pełne katastrof.

Węszyła śmierć, nieszczęście wisiało w powietrzu.

Wiatr nie był jeszcze bardzo silny, ale Kunegunda dobrze wiedziała, skąd nadchodzi.

Pachniał popiołem, zgnilizną, surowym mięsem i czymś jeszcze, czymś oleistym i zjełczałym, którego pochodzenia sama nie była w stanie określić.

Wykrzywiła swe bezzębne usta.

- To zaraza, zaraza.

Nadchodzi śmierć.

173.

Mimo wzmagającego się wiatru Kunegunda nie przestawała kopać. Każdy korzeń rosnący w pobliżu jej chaty miał wyjątkową moc. Niekiedy Kunegunda zbierała zioła przy bagnach, które rozciągały się aż po linię horyzontu. Kwiaty i liście pływały wśród omszałej wody. Nadmoczarami latały przedziwne ptaki i niezwykle, ogromne muchy. Choć wysłała już wszystkich swych wrogów na tamten świat, nie mogła ich wszystkich przegnać. Ich duchy unosiły się nad bagnami, tkając sieci zemsty. Czasami ściany jej chaty i słomiany dach rozbrzmiewały ich głosami, aż drżały żdźbła słomy zwisające pod strzechą. Kunegunda musiała bezustannie uważać na ukryte podstępny zmarłych. Nawet kot, którego uduśiła, potrafił jej przykrażyć życie. Niejednokrotnie to zamordowane stworzenie przychodziło do niej nocą chciało się na niej zemścić, drapiąc pazurami. Kunegunda słyszała skrobanie tego dobrze jej znajomego ducha, który się zasadził gdzieś w szmatach i łachmanach pod jej łóżkiem. Czasami duch kota był dla niej miły, przynosił jej królika, chorego ptaka albo jakieś inne zwierzątko, które mogła sobie upiec i zjeść, ale bywały dni, kiedy był bardzo złośliwy. Znikały gdzieś przedmioty, które odstawiała na swoje miejsce. Przeszawiał jej pojemniki z ziołami, chował smarowidła i psuł potrawy. Pewnego razu Kunegunda przykryła dzban pełen barszczu, który dostała od młodej chłopki, i postawiła go w kącie izby. Następnego dnia na powierzchni barszczu unosił się gruby kożuch, cuchnący smarem. W garnku z kaszą gryczaną znajdowała piach i kamyczki niewiadomego pochodzenia. Kiedy Kunegunda schylała się, aby skarcić duszka, szeptał do niej:

- Ty stara wiedzmo!

Wirujący wiatr przeszedł w zawieruchę, gdy tak kopała te swoje korzonki, i wydawało się, że krąży wokół niej dzikim piskiem. Po powrocie do chaty Kunegunda zaczęła wyglądać przez szczylinę w ścianie. Na polach leżały pokotem całe łany pszenicy, zbyt słabe, aby wytrzymać siłę wichury. Wietrzyśko rozdmuchało stogisiana. Nad wioską latały powyrywane gonty dachów. Kiedy chłopcy usiłowali zabezpieczyć dachy swych chałup, podeprzeć ściany i uwiązać konie oraz bydło w stajniach i oborach, zerwał się jeszcze silniejszy wiatr z deszczem. Ogromna ulewalała wioskę. Błyskawice jaśniały piekielnym blaskiem. Piorun uderzył tak blisko Kunegundy, że mózg w jej czasce

184

zatrząsał się niczym morze w łupinie. Zaryglowała drzwi, a kiedy usiadła na podnóżku, nie była już w stanie zrobić, jedynie mamrotać pod nosem. Jej chata miała najslabszą konstrukcję ze wszystkich chałup we wsi. Drżała w posadach, kiedy świnia ocierała się o jej ściany. Wzywając imiona Szatana i Lucyfera, Baby Jagi i Kadyka, Malfasai Pana Twardowskiego, postawiła w każdym kącie izby miseczki z woskami kozimi i bobkami. Dla lepszego zabezpieczenia otworzyła dębową skrzynię, w której trzymała kość kolanową dziewicy, zajęczką łapkę, róg czarnego bawołu, wilcze kły, szmatę umoczoną w

miesiączkowej krwi i (najbardziej skuteczny rekwizyt ze wszystkich) sznur, na którym powieszono zbrodniarza.

Mruczała:

Leopard jest siłaczem  
A jaszczur wciąż się boczy;  
Hudaku i Gudaku  
Sypnijcie zamiecią prosto w oczy.

Krew ma kolor czerwony,  
Ciemna jest otchłań nocy;  
Mistrzu piekielny, Użycz mi swej mocy!

Mimo że chata trzęsła się kołysała w różne strony, wszystko pozostało  
na swoim miejscu.

Niewypadło ani jedno źdźbło słomy zwisające ze strzechy.

Kiedy pojawiało się oślepiające światło błyskawicy, Kunegunda wyraźnie widziała czarnej jak  
sadza ściany, klepisko, garnek natrójnogo, wrzeczono.

Potem znów zrobiło się ciemno, strugi deszczu waliły niczym baty, strzelały pioruny.

Kunegunda, chcąc się pocieszyć, pomyślała, że i tak umrze pewnego dnia; prędzej czy  
później, każdy z nas zgnije w grobie.

Ale za każdym razem kiedy chata drgała, Kunegunda wstrząsała dreszcze.

Było jej niewygodnie na podnóżku, więc położyła się na łóżku i oparła głowę na słomianej  
poduszce.

Nie było zwykła, przypadkowa burza.

Zbierało się na nią od miesięcy.

Wśród chłopów we wsi szerzyło się zepsucie i niesprawiedliwość.

Do uszu Kunegundy dochodziły opowieści o chochlikach, wilkołakach i innych występnych  
stworach.

Rodziły się bękarty ze związków córek i ojców.

Wdowy współżyły ze swymi synami, pastuszkowie kopulowali ze swymi krowami, kłaczami i  
świniami.

Nocą nad moczarami ukazywały się błędne ogniki.

Chłopi przy kopaniu dołów, w których przechowywane są ziemniaki na zimę, znajdowali w  
ziemi ludzkie kości.

Piekło mówiło się przeciwko Kunegundzie.

Do tej pory Moce Piekielne

185.

trzymały jej stronę, ale mogły ją opuścić w każdej chwili i przejść na stronę tych, którzy knuli przeciwko niej.

Przymknęła oczy.

Niegdyś, dzięki swemu uporowi, potrafiła pokonać każdego przeciwnika;

zawsze zdarzał się cud: druga strona musiała się poddać.

Ale ta burza poprzedzająca zbiory napawała ją przerażeniem.

Może nie obstawiła wszystkich kątów izby?

Nieprzyjacielskie demony tylko czyhały, ujadając niczym psy gończe i drapiąc pazurami pod klepiskiem.

Kiedy Kunegunda przysypiała, śniła o kocurze wielkim jak beczka, o czarnej sierści, zielonych oczach i ognistym wąsie.

Wywalał swój jęzor i miauczał niczym dzwonek.

Nagle Kunegunda poderwała się ze snu.

Ktoś dobijał się do zaryglowanych drzwi.

Zapytała zestrachem:

- Kto tam?

Nikt się nie odezwał.

"To pewnie Topielec" - pomyślała Kunegunda.

Nigdy nie załatwiła z nim porachunków.

Nie mogła jednak przypomnieć sobie zaklęcia, które by go od niej oddaliło.

Potrafiła jedynie wymamrotać:

- Idź precz w bezludne lasy, gdzie ani człowiek, ani bydło nie zajdzie.

Błagam cię, w imieniu Amadeusza, Sagratana, Beliala i Barabasa.

Żadnego odzewu za drzwiami.

Twój szkielet wśród dymu i ognia sterczący, Twecierniste stopy, brzuch wodą pęczniący, Bezzębny stworze, próżnią wypełniony, Zgiń, przepadnij na cztery świata strony.

Drzwi stanęły otworem.

Wraz z wiatrem wkroczyła jakaś postać.

- O, mamuniu - wykrztusiła Kunegunda.

- Czy ty jesteś czarownicą Kunegunda?

- spytała szorstki męski głos.

Kunegunda zamarła, a potem odparła:

- Kim jesteś?

Miej litość nade mną.

- Jestem Stach, narzeczony Janki.

- Dlaczego przebrał się za mężczyznę!

- szepnęła do siebie Kunegunda.

- Czego chcesz, Stachu?

- Wiem o wszystkim, ty stara suko.

Dała jej truciznę, żeby mnie wykończyła.

Sama mi powiedziała.

A teraz.

Kunegunda chciała krzyknąć, ale wiedziała, że i tak nikt by jej nie usłyszał, nawet gdyby ustała burza.

Zaczęła mamrotać pod nosem:

186

- To nietrucizna, to żadna trucizna.

Jeżeli ty jesteś tym Stachem, to chcę, abyś wiedział, że nie życzę nikomu niczego złego.

Janka płakała, że umiera z miłości do ciebie i że ty, mój bohaterze, nie zwracasz na nią uwagi.

Dałam jej napar, aby zapomniała o tobie.

Przysięgłaś na Boga, że nikomu o tym nie powiesz.

- Napar, mówisz?

Jad żmii.

- Żaden jad, panie i władco.

Jeśli jej pragniesz, jest twoja.

Dam ci prezent.

Przyjdę na ślub i dam ci wamświe błogosławieństwo, mimo że ci zdradziła.

- A kto cię prosił o błogosławieństwo, ty przeklęta suko, bestiożądna krwi.

- Pomocy!

Litości!

- Nie.

Wywrócił wszystkie naczynia, jakie napotkał na swej drodze, podszedł do jej łóżka i zaczął ją tłuc.

Kunegunda cicho jęknęła.

Wywłókl ją klepisko i zaczął po niej deptać.

Kunegunda usłyszała trzepot skrzydeł koguta.

Wkrótce znalazła się wśród skał, dołów, bezlistnych drzew, w pociemniałej krainie pozbawionej nieba.

Patrzyła na jakieś magiczne sceny, które były jednocześnie scenami piekielnymi.

W powietrzu, niczym nietoperze, unosili się czarni mężczyźni, którzy wdrapywali się na drabinę, wisieli nasznurach, robili koziołki.

Inni, z głazami zawieszonymi na szyi, siedzieli zanurzeni w beczkach smoły.

Kobiety wisiały z sufitu zaczepione o włosy, piersi, paznokcie.

Odbywał się ślub i goście czerpali rękoma i pili spirytus prosto z koryta.

Nagle, nie wiadomo skąd, zeszli się wszyscy wrogowie Kunegundy, żądny zemsty tłum z siekierami, widłami i dzidami.

Grupa diabłów biegła wzdłuż tego korowodu.

Wszyscy sprzymierzyli się przeciwko niej: Belzebub, Baba Jaga, Babuk, Kulas, Bałwochwalec.

Z płonącymi pochodniami, charcząc i rżąc, biegli ku niej z mściwą radością.

- Święta Matko, ocal mnie!

- Wykrzyknęła Kunegunda po raz ostatni w swym życiu.

Następnego dnia chłopcy, którzy przyszli po Czarownicę, zastali jej chatę w ruinie.

Wyniesiono zmiżdżone ciało Kunegundy spod belek i zgniłej strzechy.

Mózg wypłynął z czaszki, tak że pozostała jedynie kupka kości.

Przewieziono jej ciało łodzią do kaplicy.

Mimo że burza zrobiła wiele ogromnych szkód, zginęła tylko jedna osoba - Kunegunda.

Janka dołączyła do konduktu pogrzebowego, uklękła i rzekła:

187.

- Babko, los się do mnie uśmiechnął.  
O świcie przyszedł do mnie Stach.  
Poślubi mnie przed ołtarzem.  
Twój napar oczyścił jego serce.  
Idziemy do księdza w przyszłym tygodniu.  
Moja matka już zaczęła piec ciasta.

Nie było już wiatru, ale na niebie wciąż wisiały ciężkie chmury, które tłumiły jasność dnia.

Wydawało się, że zaraz zapadnie zmrok.  
Znad bagien nadleciały całe stada kruków.  
W powietrzu unosił się wódz palenizny.  
Część wioski leżała w ruinie, a część była na wpół zalana wodą.  
W błotnistej wodzie widać było kawałki pozrywanych dachów, zwalone ściany i okaleczone pnie drzew.  
Trzy chłopki podwinęły spódnice powyżej kolan i przez cały dzień przetrząsały zalaną izbę Kunegundy w poszukiwaniu sznura, na którym kiedyś powieszono zbrodniarza.

188

Krótki piątek

We wsi Lapszyce żył sobie krawiec imieniem Szmul-Lejbele wraz ze swoją żoną Szoszą. Szmul-Lejbele był na wpół krawcem, na wpół kuśnierzem i kompletnym nędzarzem.

Nigdy nie był mistrzem w swym fachu.

Kiedy wykonywał zamówienie na marynarkę lub płaszcz, ubranie zawsze mu wychodziło za duże albo za małe.

Patki z tyłu były wyszyte albo za wysoko, albo za nisko, klapy zawsze były nierówne, a dziurka na guzik nigdy nie wychodziła wmuśrodku.

Ludzie mówili, że kiedyś tak zszuł spodnie, iż rozporek znalazł się z boku.

Szmul-Lejbele nie miał zamożnych klientów.

Prości ludzie przynosili mu swe znoszone ubrania do załatania lub przenicowania, a chłopcy podrzucali mu stare kozuchy do przeróbki.

Ponadto, jak wszystkie niedzary, był bardzo powolny.

Guzdrał się z jednym ubraniem przez kilka tygodni.

Mimo rozlicznych wad Szmul-Lejbele był jednak uczciwym człowiekiem.

Używał tylko mocnych nici i żadnego jego szwów nigdy nie puścił.

Jeśli ktoś zlecał mu szycie podszewki, choćby nawet zwykłej, z płótna na worki czy z bawełny, Szmul-Lejbele kupował wyłącznie materiał najlepszej jakości, tracąc w ten sposób większą część swego zysku.

W przeciwieństwie do innych krawców, którzy zostawiali sobie resztki materiałów, on zwracał swym klientom wszystko, co doskrawka.

Gdyby nie jego obrotna żona, Szmul-Lejbele prawdopodobnie zmarłby z głodu.

Szoszą pomagała mu we wszystkim.

W czwartki służyła u zamożnych rodzin, gdzie zagniatła ciasto.

Latem chodziła do lasu na jagody i na grzyby; zbierała także chrust na rozpalkę.

Zimą darła pierze na piernaty dla panien na wydaniu.

Była też lepszą krawcową niż jej mąż, więc kiedy on zaczynał wzdychać, marudzić

189.

i mamrotać pod nosem na znak, że ma już dosyć dłubaniny, Szoszabrała do ręki kredę krawiecką i pokazywała mu, co powinien dalej zrobić.

Szosza nie miała dzieci, ale wszyscy uważali, że to nie ona jest bezpłodna, tylko jej mąż. Wszystkie jej siostry urodziły dzieci, podczas gdy jedyny brat Szmula-Lejbele był również bezdzietny.

Mieszkańcy wioski bezustannie namawiali Szoszę do rozwodu, ale ona była głucha na te rady, ponieważ obojętnie się ogromną miłością.

Szul-Lejbele był niski i niezgrabny.

Miał zbyt duże dłonie i stopy, a czoło wypukło obu stronach niczym prostak.

Na jego czerwonych jak jabłka policzkach nie było nawet cienia zarostu, a z podbródka wyrastało mu ledwie parę pojedynczych włosów.

Prawie całe nie miał szyi - głowa wydawała się wyrastać z ramion, jak u bałwana.

Kiedy chodził, tak szurał butami, że już z daleka słychać było jego kroki.

Bez przerwy nucił coś pod nosem, a na jego twarzy zawsze malował się przyjazny uśmiech.

Zimą i latem chodził w tym samym kaftanie i w czapie z baraniejskiej skóry, z nausznikami.

Zawsze kiedy ktoś potrzebował gońca, wykorzystywał Szmula-Lejbele, a chętnie podejmował się zadania, bez względu na to, jak daleko musiał iść.

Dowcipnie nadawali mu całe mnóstwo przydomków i płatali mu różnego rodzaju figle, ale on nigdy się nie obrażał.

Kiedy inni ganili tych łobuziaków, rzucał niedbale:

- A cóż mnie to obchodzi?

Niech się bawia, skoro im to sprawia przyjemność.

W końcu to tylko dzieci.

Czasami dawał takiemu dowcipnisiowi cukierek albo orzech.

Nierobił tego z żadnym ukrytym zamiarem, tylko ot tak, z dobrego serca.

Szosza była od niego wyższa o głowę.

Za młodu uważano ją za piękność, a w domach, w których pracowała jako służąca, wychwalano ją za uczciwość i pracowitość.

Wielu młodzieńców starało się o jej rękę, ale wybrała Szmula-Lejbele, ponieważ był spokojny i nigdy nie przyłączał się do miejscowych chłopaków, którzy spotykali się przy drodze do Lublina, aby zaczepiać dziewczęta.

Jego pobożność i spokojna natura odpowiadały jej.

Jeszcze jako młoda dziewczyna, Szosza z przyjemnością studiowała Pięcioksiąg, chętnie pielęgnowała chorych w przytułku i słuchała opowieści starych kobiet, które siadały przed swymi domami i cerowały pończochy.

Pościławszy ostatni dzień każdego miesiąca, w Mniejszy Dzień Pokuty, i często uczestniczyła w nabożeństwach w żeńskiej synagodze.

Inne służące naśmiewały się z niej, uważały, że jest staromodna.

Zaraz po ślubie zgoliła włosy i nałożyła ściśle przylegającą chustę.

Nigdy nie dopuściła do tego, aby

190

wymknął się spod niej choćby jeden kosmyk peruki, mimo że inni młode mężatki często robiły to celowo, Łaziebnią chwaliła, ponieważ nigdy nie figlowała w czasie kąpieli rytualnej, lecz dokonywała wszystkich ablucji zgodnie z prawem.

Kupowała jedynie koszę mięso, którego pochodzenie nie budziło żadnych wątpliwości, mimo że kosztowało pół grosza więcej na funcie.

Kiedy zaś nie była pewna zasad dotyczących żywienia, zasięgała rady rabina.

Niejednokrotnie bez wahania wyrzucała całe jedzenie, a nawet tłukła gliniane naczynia, w których je przechowywała.

Krótko mówiąc, była mądrą, bogobojną kobietą i nie jeden mężczyzna zazdrościł Szmulowi-Lejbele, że ma takik lejnot za żonę.

Ze wszystkich błogosławieństw życia małżeństwu najbardziej wielbiło i czciło Szabas.

Każdego piątku w południe Szmul-Lejbele odkładał swe narzędzia i kończył pracę.

Był zawsze jednym z pierwszych w łaźni rytualnej i zanurzał się w wodzie cztery razy, ponieważ z czterech liter składa się Święte Imię.

Pomagał również stróżowi przy wkładaniu świec do lichtarzy i kandelabrow.

Szosza oszczędzała przez cały tydzień, ale Szabas nie żałowała ani sobie, ani mężowi.

Do gorącego pieca wędrowały ciasta, ciasteczka i chały.

Zimą przygotowywała czulent z kurzejszyjki nadziewanej ciastem i stopionym sadłem.

Latę szykowała kugel z ryżem lub makaronem, posmarowany kurzym tłuszczem i posypany cukrem i cynamonem.

Danie główne składało się z ziemniaków i kaszy gryczanej albo z kaszy perłowej z fasolą, do której zawsze dodawała ich ulubioną kość szpikową.

Aby mieć zupełną pewność, że potrawa będzie dobrze przyrządzona, zalepiała wszystkie szczeliny pieca surowym ciastem.

Szmul-Lejbele delektował się każdym kęsem przy każdym posiłku Szabasowym i mówił do niej:

- Szoszo, kochanie moje, to jest królewskie danie!

Nic innego, tylko smak Raju!

Na co Szosza odpowiadała:

- Jedz, nie żałuj sobie, niech ci wyjdzie na zdrowie.

Szmul-Lejbele był marnym uczniem, niezdolnym wyuczyć się na pamięć choćby jednego rozdziału Miszny, znał za tobiegłe wszystkie prawa.

Często czytał wraz z żoną Dobre Serce w jidysz.

Wolne popołudnia, święta i dni wolne od pracy poświęcał lekturze Biblii.

Nigdy nie opuścił choćby jednego kazania i mimo że był biedakiem, kupował od handlarzy całe mnóstwo książek o moralności oraz opowieści religijnych, które czytywał wraz z Szoszą.

Czytanie fragmentów Biblii nigdy go nie męczyło.

Rankiem, tuż po przebudzeniu, obmywał ręce

^ 191.



i zaczynał odmawiać wstęp do modlitw.

Później udawał się do domunauki, gdzie oddawał cześć Bogu jako jeden z twórczych quonim.

Codziennie recytował kilka rozdziałów Księgi Psalmów oraz odmawiał modlitwy, które mniej pobożni zazwyczaj pomijali.

Odziedziczył po swoim ojcu grubą modlitewnicę oprawioną w drewno, zawierającą opis rytuałów i prawa odnoszące się do każdego dnia w roku.

Szum i Lejbele i jego żona dokładnie się do nich stosowali.

Często mawiał do swej żony:

- Jestem pewien, że skończę w Gehennie, bo nieznajdzie się nikt na ziemi, kto by zmówił nade mną kadysz.

- Ugryź się w język, Szum i Lejbele - odpowiadała mu Szosza.

- Po pierwsze, wszystko może się zdarzyć, jeśli Bóg tego zechce.

Podrugie, będziesz żył aż do nadejścia Mesjasza.

A po trzecie, całkiem możliwe, że ja umrę przed tobą, a ty poślubisz jakąś młodą kobietę, która ciurodzi tużindzieci.

Słyszając te słowa, Szum i Lejbele wołał głośno:

- Broń Boże!

Musisz żyć w dobrym zdrowiu.

Wolałbym raczej trafić do Gehennie!

Mimo że Szum i Lejbele i Szosza rozkoszowali się każdym szabasem, to jednak najwięcej zadowolenia odczuwali w szabas zimową porą.

Ponieważ dzień poprzedzający wieczór szabasowy był krótki, a Szosza pracowała w czwartek do późna, małżeństwo zazwyczaj nie kładło się spać w czwartkową noc.

Szosza zagniatła ciasto w dzieży, przykrywała je ściereczką i poduszką, aby dobrze wyrosło.

Rozpalała w piecu drewnem i chrustem ściśle zamykała drzwi okiennice.

Niezaścielała łóżek, ponieważ o świcie ucinali sobie drzemkę.

Kiedy było ciemno, Szosza przygotowywała posiłek szabasowy przy świecach.

Skubała kurczaka albo gęś (o ile udało jej się tanio kupić), moczyła, a potem nacierała ptaka solą oraz zeskrobywała z niego tłuszcz.

Dla Szum i Lejbele piekano nad rozżarzonymi węglami wątróbkę oraz małą chałkę.

Niekiedy układała na niej swe imię z wałeczków ciasta, a potem Szum i Lejbele żartował sobie, mówiąc:

- Szosza, właśnie ciebie zjadam.

Szosza, już ciepło knąłem!

Szum i Lejbele uwielbiał ciepło, toteż wdrapywał się na piec i stamtąd obserwował, jak jego żona gotuje, piecze, zmywa i płucze naczyń, jak waży i kroimięso.

Chałka była okrągła i dobrze wypieczona.

Szosza z zęcznie zaplatała ją na kształt warkocza, że wydawała się tańczyć przed oczami Szum i Lejbele.

Krzętała się zwinnie ze szpatułkami, pogrzebaczami, chochlami i miotełką z gęsich

192

piór.

Czasami nawet chwyciła gołymi palcami rozżarzony węgielek.

Garnki kipiały i podskakiwały na kuchni.

Od czasu do czasu kropla zupy ściekała na płytę, a wtedy rozgrzany metal syczał i prycał.

A przez cały ten czas świerszcz koncertował w kominie.

Mimo że o te 5 porze Szum i Lejbele był już pokolacji, nachodził go taki apetyt, że Szosza podrzucała mu knyszę, żołądek drobiowy, ciasteczko, śliwkę z sosu albo plasterek pieczeni.

Jednocześnie strofowała go, wyzywając łokomczuchów.

Kiedy usiłował się bronić, wołała:

- Tak, tak, to moja wina, toprzecież ja ciebie głodzę.

Oświcie oboje padali z wycieńczenia.

Ale dzięki temu wysiłkowi Szosza nie musiała tyrać następnegodnia i mogła odmawiać błogosławieństwa nad świecami kwadrans przed zachodem słońca.

Ów piątek, kiedy wydarzyła się ta historia, był najkrótszym piątkiem roku.

Śnieg padał przez całą noc, zasypując chałupy aż po okna i barykadując drzwi.

Małżeństwo, jak zawsze, nie położyło się spać przed świtem.

Wstali później niż zwykle, gdyż nie usłyszał pianiakoguta, a ponieważ okna były pokryte szronem i zasypane śniegiem, w izbie panowała głęboka ciemność.

Po wyszeptaniu "Dzięki Ci, Boże" Szmul-Lejbele wyszedł z domu z miotłą iszufłą, aby odgarnąć śnieg przed wejściem, a potem wziął wiadro i przyniósł wodę ze studni.

Następnie, jako że nie miał nic pilnego do roboty, zdecydował się odpoczywać przez cały dzień.

Poszedł do domu nauki na poranne modlitwy, a po śniadaniu udał się do łaźni.

Ze względu na panującą zimno klienci łaźni bezustannie wołali: "Wiadro!

Wiadro!

", a łaźnielnicy chwila polewał wodą rozżarzone węgle, tak że otaczająca ich para była coraz bardziej gęsta.

Szmul-Lejbele złapał sękatą różgę wierzbową, wdrapał się na najwyższą ławkę i okładał się, aż mu poczerwieniała skóra.

Po wyjściu z łaźni skierował swe kroki do domu nauki, gdzie stróż zdążył już wysprzątać podłogę i wysypać ją piaskiem.

Szmul-Lejbele ustawił świececi pomógł rozłożyć obrusy na stołach.

Wrócił potem do domu i przebrał się w swoje szabasowe ubranie.

Jego niedawno podzielowane buty nareszcie przestały przemakać.

Szosza zrobiła cotygodniowe pranie i dała mu świeżą koszulę, kalesony, taś, a nawet czyste pończochy.

Zmówiła już błogosławieństwa nad świecami i z każdego kąta izby emanował szabasowy nastrój.

Miała na sobie swą jedwabną chustę wyszywaną srebrnymi nićmi, żółto-szarą sukienkę i buty z błyszczącymi, spiczastymi noskami.

Na szyi zawiesiła łańcuszek, który otrzymała od matki Szmula-Lejbele, świec Panienadziej duszą, w dniu podpisania ich kontraktu ślubnego.

Najej palcu

wskazującym jaśniała obrączka.

Płomienie świec odbijały się w oknach i Szmul-Lejbele wyobraził sobie, że z drugiej strony okien jest identyczny pokój i że inna Szosza zapala w nim szabasowe świece.

Pragnął powiedzieć swej żonie, że bardzo ładnie wygląda, ale me było już na to czasu, ponieważ modlitewnik zaleca, aby być wśród pierwszych dziesięciu wiernych w synagodze.

Tak się złożyło, że tego dnia był akurat dziesiątym wiernym.

Kiedy skończyli Pieśń nad Pieśniami, kantor odśpiewał "Składajcie Dzięki" i "Chwalmy Pana".

Szmul-Lejbele modlił się gorliwie.

Słowa same spływały mu na język, wychodziły z jego ust jakby niesione własnym życiem.

Miał wrażenie, że unoszą się nad wschodnią ścianą, przepływają ponad zasłoną Świętej Arki, połączonymi łwami i tablicami, aż ku sufitowi z dwunastoma konstelacjami.

Stamtąd jego modlitwy z pewnością trafią przed Tron Chwały.

2 - a

Kantor zanucił "Nadejdz, upragniony" i Szmul-Lejbele śpiewał wraz z nim.

Później rozpoczęły się modlitwy i mężczyźni odmówili "Obowiązkiem naszym jest chwalić", a Szmul-Lejbele dodał "Pana Wszechświata".

Następnie złożył wszystkim życzenia udanego szabasu: rabinowi, rytualnemu rzeźnikowi, przewodniczącemu gminy, pomocnikowi rabinowi i wszystkim obecnym.

Chłopcy z chederu zawołali:

"Udanego szabasu, Szmul-Lejbele", przedrzeźniając jego gesty i miny, ale Szmul-Lejbele odpowiadał im z uśmiechem, podszczypując nawet niektórych malców w policzki. Potem udał się do domu.

Śnieg sięgał tak wysoko, że ledwo można było dostrzec zarysy dachów.

Wydawało się, że cała wieś zatonała w bieli.

Niebo, które przez cały dzień było ciężkie od chmur, teraz jaśniało.

Spomiędzy białych obłoków spoglądał księżyc w pełni, rzucając na śnieg nieomalienne światło.

Nazachodzie przez skraj chmury przenikały ostatnie promienie słońca.

Tego piątku gwiazdy na niebie wydawały się większe i bardziej wyraziste.

Jakimś cudem Lapszyce zlały się z niebem w jedno.

Chata Szmula-Lejbele, która znajdowała się w pobliżu synagogi, teraz zawisła w przestrzeni, tak jak to jest napisane: "Zawiesił ziemię w nicości".

Szmul-Lejbele szedł powoli, ponieważ, zgodnie z prawem, nie należało się spieszyć wracając ze świętego miejsca.

Ale pragnął jak najszybciej być w domu.

"Kto wie?"

" - pomyślał.

"Amoże Szosza zachorowała?"

194

Może poszła powodę i, nie daj Boże, wpadła do studni?

Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Ileż to zmarłych może spotkać człowieka".

Na progu otrzepał buty ze śniegu, po czym otworzył drzwi i ujrzał Szoszę.

Widok pokoju sprawił, że poczuł się jak w Raju.

Pieckuchennyłśnił czystością, a płomienie świec w mosiężnych kandelabrach rzucały szabasowy blask.

Zapachy wydobywające się ze szczelnie zamkniętego pieca zlewały się z aromatem kolacji szabasowej.

Szosza siedziała na łóżku, jakby na niego czekała, a jej policzki tchnęły świeżością młodej dziewczyny.

Szmul-Lejbele złożył jej życzenia udanego szabasu, a ona odpowiedziała mu życzeniami pomyślnego nowego roku.

Zaczął nucić "Pokój z wami, duszpastercy aniołowie.

" i kiedy już pożegnał niewidzialne anioły, które towarzyszą każdemu Żydowi po wyjściu z synagogi, zmówił "Dzielną kobietę".

Doskonale rozumiał znaczenie tych słów, jako że często odczytywał je w jidysz i za każdym razem myślał, jak wspaniale wydawały się pasować do Szoszy.

Szosza zdawała sobie sprawę, że te święte słowa wypowiediane były na jej cześć i myślała sobie w duchu: "Oto ja, prosta kobieta, sierota, a jednak Pan Bóg zesłał mi oddanego męża, który mnie wychwał w świętym języku".

Oboje jedli bardzo niewiele w ciągu dnia, żeby nabrać apetytu na szabasowy posiłek. Szmul-Lejbele zmówił błogosławieństwo nad winem rodzynkowym i podał Szoszy filiżankę, aby mogła się napić.

Następnie opłukał palce w metalowej miseczce, potem ona umyła swoje i osuszyła dłonie tym samym ręcznikiem, każde z innego końca.

Szmul-Lejbele uniósł bochenek szabasowy i przekroił go odpowiednim nożem, odkrajając jedną kromkę dla siebie, a drugą dla swej żony.

Natychmiast powiedział jej, że upiekła wspaniały chleb, na co ona odparła:

- Daj spokój, przecież mówisz mi to co szabas.

- Ale taka jest prawda - powiedział.

Mimo że zimą trudno było o rybę, Szosza kupiła pół kilo szczupaka u sprzedawcy ryb. Pokroiła rybę razem z cebulą, dodała jajko, sól i pieprz i ugotowała z marchewką i pietruszką. Szmulowi-Lejbele aż zaparło dech z wrażenia i musiał wypić szklaneczkę wódki.

Kiedy zanucił pieśni biesiadne, Szosza cicho mu wtórowała.

Później podała rosół z makaronem, w którym pływały tłuste oka, lśniące niczym złote dukaty.

Między zupą a drugim daniem Szmul-Lejbele ponownie śpiewał hymn szabasowy.

Ponieważ gęsi były tanie o tej porze roku, Szosza dała Szmulowi-Lejbele drugie udko na dokładkę.

Po deserze

Szumal-Lejbele po raz ostatni umył ręce i zmówił błogosławieństwo.

Kiedy doszedł do słów: "Obyśmy nigdy nie byli zależni od darów ludzi ani nie musieli pożyczyc", uniósł oczy w górę i pomachał pięściami.

Nigdy nie przestawał się modlić o to, aby mógł zarabiać na siebie i nie zostać, broń Boże, zmuszonym doprzyjmowania jałmużny.

Po modlitwie dziękczynnej odczytał jeszcze jeden rozdział Misznic, a także mnóstwo innych modlitw, które znalazł w swym modlitewniku.

Następnie, jak co tydzień, zaczął czytać Pięcioksiąg, dwukrotnie po hebrajsku i raz po aramejsku.

Wyraźnie wypowiadał każde słowo, uważając, aby nie popełnić żadnego błędu w trudnych, aramejskich fragmentach Onkelos.

Kiedy doszedł do ostatniego rozdziału, zaczął ziewać, a oczy zaszyły mu łzami.

Ogarnęło go skrajne zmęczenie.

Ledwo mógł patrzeć na oczy i przysypiał na sekundę lub dwie w przerwach między kolejnymi fragmentami.

Kiedy Szosza to zauważyła, posłała mu łóżko i przygotowała dla siebie świeżo obleczone pierzynę.

Szumal-Lejbele z wielkim trudem zmówił modlitwę wieczorną i zaczął się rozbierać.

Kiedy już leżał na łóżku, powiedział:

- To był wspaniały szabas, moja bogobojna żono.

Taki jestem zmęczony.

On odwróciwszy się do ściany, natychmiast zaczął chrapać.

Szosza posiedziała jeszcze chwilę, wpatrując się w szabasowe świece, których płomienie już zaczęły dymić i migotać.

Zanim się położyła, ustawiła dzban z wodą i miskę na stoliku nocnym Szumala-Lejbele, aby rano, kiedy się obudzi, miał świeżą wodę do mycia.

Potem poszła do łóżka i również zasnęła.

Spali może jakąś godzinę lub dwie, co najwyżej trzy - a zresztą, czy to takie ważne?

- Kiedy nagle Szosza usłyszała głos Szumala-Lejbele.

Obudziła i wyszeptała jej imię.

Otworzyła jedno oko i zapytała:

- Co się stało?

- Czy jesteś czysta?

- Wymamrotała.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym odparła:

- Tak.

Wstał i przyszedł do niej.

Po chwili leżał w łóżku u jej boku.

Ogarnęło go pożądanie.

Serce biło mu przyspieszonym rytmem i czuł, jak krew płynie w żyłach.

Ciśnienie rozpierało mu łądźwie.

Pragnął połączyć się z nią natychmiast, ale pamiętał przepis, zgodnie z którym mężczyzna nie powinien spółkować z kobietą, zanim nie przemówi do

196

niej czułymi słowami, więc zaczął jej mówić o tym, jak wielka jest jej gomiłość i że z tego stosunku na pewno urodzi się męski potomek.

- A na dziewczynkę byś się nie zgodził?

- zbesztła go Szosza, co on odpowiedział:

- Wszystko, co Bóg nam dać raczy, będzie mile widziane.

-Obawiam się, że jestem już na toza stara - westchnęła Szosza.  
- Ależ skąd!  
- zakrzyknął.  
-Nasza matka Sara była dużo starsza od ciebie.  
- Jak można się porównywać z Sarą?  
Lepiej, żebyś się ze mną rozwiódł i poślubił inną.  
Przerwał jej, zakrywając usta dłonią.  
- Nawet gdybym był pewny, że z inną spłodziłbym dwanaście plemion Izraela, i tak bym ciebie nie opuścił.  
Nie mogę sobie wyobrazić siebie z inną kobietą.  
Jesteś perłą w mojej koronie.  
- A co byś zrobiła, gdybym umarła?  
- spytała.  
- Niech Bóg broni!  
Po prostu umarłbym z żalu.  
Pochowałiby następnego samego dnia.  
- Nie bluźnij.  
Musisz żyć długie lata.  
Jesteś przecież mężczyzną.  
Znajdziesz sobie kogoś innego.  
Ale cóż ja bym uczyniła bez ciebie?  
Pragnął jej odpowiedzieć, ale ona uciszyła go pocałunkiem.  
Wtedy wszedł w nią.  
Pieścił jej ciało.  
Za każdym razem, kiedy dawała mu miłość, zachwycał się tym na nowo.  
Jak to możliwe, myślał, że on, Szmul-Lejbele, posiada taką wyłączność dla siebie?  
Wiedział, że prawo zabrania oddawania się żądzy dla przyjemności.  
Ale gdzieś świętej księdze wyczytał, że można całować i obejmować żonę, którą się poślubiło zgodnie z prawami Mojżesza i Izraela, toteż pieścił teraz jej twarz, szyję i piersi.  
Ostrzegła go, że to rozpusta, na co on odparł:  
- Najwyżej będę łamać kołem.  
Wielcy święci również kochali swe żony.  
Mimo to obiecał sobie, że następnego ranka zażyje kąpiel rytualną, odśpiewa psalmy przeznaczony jakiegoś pieniądza na cele dobroczynne.  
Ponieważ go kochała i jego pieszczoty sprawiały jej radość, nie wzbraniała się przed nimi.  
Kiedy już zaspokoził pragnienie, chciał powrócić do swego łóżka, ale ogarnęła go ogromna senność.  
Odczuwał ból w skroniach.  
Szosze też bolała głowa.  
Nagle powiedziała:  
- Coś się chyba pali w piecu.  
Może powinnam otworzyć drzwi kido komina?  
- Wydaje ci się tylko - odparł.  
- Wtedy będzie strasznie zimno.

A oboje byli tak zmęczeni, że natychmiast zapadli w sen.

Tej nocy Szmul-Lejbele miał przedziwny sen.

Śniło mu się, zewyzionął ducha.

Przyszlibracia z Towarzystwa Pogrzebowego, ułożyli go, zapalili świece przy wezglowiu, otworzyli okna i zmówili modlitwę dla uzasadnienia wyroku boskiego.

Następnie obmyli jego ciało nastole do ablucji i na noszach zanieśli zwłokina cmentarz.

Tam gopochowali, a grabarzzmówił kadysz nad jego grobem.

"To dziwne" - pomyślał.

"Nie słyszę Szoszy, rozpaczającej i błagającej o przebaczenie.

Czy to możliwe, żeby tak szybko omnie zapomniała?

A może, nie dajBóg, i jąspotkało nieszczęście?

"

Chciał zawołać jej imię, ale nie był w stanie.

Chciał się wydostać grobu, ale nie miał siły.

Nagle się obudził.

"Co za straszny koszmar!

" -pomyślał.

"Mam nadzieję, że nic mi się nie stało".

W tej chwili Szoszarównie też się zbudziła.

Kiedy jej opowiedział swój sen, nie odzywała się przez jakiś czas.

Potem rzekła:

- Biada mi.

Miałam dokładnie taki sam sen.

- Naprawdę?

Ty też?

- spytał Szmul-Lejbele, teraz już przerażony.

-Zaczynamy się to nie podobać.

Usiłował usiąść, ale nie mógł, jakby go opuściły wszystkie siły.

Spojrzał w kierunku okna, aby sprawdzić, czy już nastał dzień, ale nie było widać żadnego okna, ani jednej szyby.

Wokół panowała ciemność.

Nadstawił uszu.

Zazwyczaj słyszał cykanie świerszcza albo chrobotanie myszy, ale teraz panowała wszędzie mierna cisza.

Zaprzagnął dotknąć Szoszy, ale nie mógł unieść ręki.

- Szosza - odezwał się cicho - jestem sparalizowany.

-Biada nam, ja też- odparła.

- Niemogę ruszyć ręką ani nogą.

Leżeli tak w ciszy przez dłuższy czas, czując swą niemoc.

Wtedy odezwała się Szosza:

- Obawiam się, że już jesteście pochowani.

-Niestety, chyba masz rację - odpowiedział Szmul-Lejbele martwym głosem.

- Na Boga, kiedy to się stało?

Jak?

- spytała Szosza.

-Przecież kiedy kładliśmy się spać, byliśmy cali i zdrowi.

- Pewnie zacządziliśmy się dymem z pieca - powiedział Szmul-Lejbele.

-Mówiłam przecież, żeby otworzyć drzwiczki do komina.

-I tak już jest za późno.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece, co my teraz zrobimy?

Byliśmy jeszcze młodzi.

- To nic nie da.

Tak nam było sądzone.

- Ale dlaczego?

Przygotowaliśmy szabas tak jak należało.

Przyrządziłam takie smaczne potrawy.

Cała szyjka kurczaka i flaki.

- Teraz jedzenie nie będzie nam już potrzebne.

Szosza milczała przez chwilę.

Usiłowała zbadać swewnętrności.

Rzeczywiście nie odczuwała głodu.

Nawet nie miała ochoty na szyjkę kurczaka i flaki.

Chciała płakać, ale nie mogła.

- Szmul-Lejbele, już jesteśmy pochowani.

Już po wszystkim.

- Tak, Szosza, niech będzie pochwalony jedyny Sędzia!

Jesteśmy w rękach Boga.

- Czy potrafisz powtórzyć przed Aniołem Dumachem przypisanyci fragment?

- Tak.

- Jak to dobrze, że leżymy obok siebie - wyszeptała.

- Tak, Szoszo - powiedział, przypominając sobie słowa: "Piękni i dobrzy za życia, po śmierci wciąż będą razem".

- A co się stanie z naszym domem?

Nawet nie sporządziłeś testamentu.

- Na pewno dostanie go twoja siostra.

Szosza chciała się jeszcze czegoś dowiedzieć, ale wstyd jej było zapytać.

Zastanawiała się, co się stało z szabasowym posiłkiem.

Czy wyjęto go z pieca?

Kto go zjadł?

Aleczuła, że zwłokom nie wypada zadawać takich pytań.

Nie była już Szosza od zagniatania ciasta, tylko oczyszczonym, zawiniętym w całuncialem, ze skorupkami na powiekach, kapturem na głowie i gałązkami mirtu wplecionymi w palce.

Anioł Dumach ze swymi pomocnikami mógł nadejść w każdej chwili i musiała być przygotowana na zdanie rachunku ze swojego życia.

Tak, te krótkielata zamieszania i pokusy dobiegły końca.

Szmul-Lejbele i Szosza znaleźli się w prawdziwym świecie.

Pogrążyli się w milczeniu.

W otaczającej ciszy słyszeli łopotanie skrzydeł i odgłos pieśni.

Zjawił się anioł, wysłannik Boga, który miał zaprowadzić krawca Szmula-Lejbele i jego żonę Szoszę do Raju.



"^sgeggo^  
U  
^oaD  
f-i  
-t-3  
W  
p^  
^  
"t-L.  
'rt T-I : 3-Ct,'"'-C,gQ.  
N  
^t^ ^li-g^l^^.  
'^!^-s^o^c.  
^^s.og^^^g^^^  
::  
0: :'  
E : :  
w:  
"0  
:^ 1 : S : ,  
I . ^.  
' : :  
^ ;  
al r  
3 ; N.  
; QQ'-1: (U  
'  
-ti : 'M"0 'V : ; R u .  
-  
s "g: s .  
"^2^11 l 11s i: ^ '5  
" ^i/^-ic;: : s  
^^  
: : ^  
v; I;  
N  
;5 : :  
u:S0 : :  
co a :  
^:!" ' v  
T? ?-;-("'  
SB j .  
S 1N .  
3-s E3 .  
-'  
^  
:  
^u^J

## Spis treści

	Tajbele i jej demon .
5	
	Duży i mały .
16	
	Krew .
25	
	Sam .
	Estera Kreindł Druga .
	Jaszidi Jeszida .
^....	
	Nóż .
;....	
78	
	Post .
92	
	Ostatnidemon .
100	
	Jentł, chłopiec jesziwy .
110	
	Trzy opowieści .
134	
	Papież Zeidł .
	Zaślubiny w Brownsville .
	Na nikim nie polegam .
	Kunegunda .
	Krótki piątek .
	Słowniczek .
	" ^ .

!